

De. 11
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 165.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1882.



SERYA V.

L u t y.

TOM I. — ZESZYT II.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 427 —

Ukończono druk dnia 6 lutego 1882 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Pokusy. Fantazya. Przez Gustawa Zielińskiego.	165
II. Dzisiejszy stan geografii, jęj badań i wiadomości. Skreślił dr. Franciszek Czerny.	183
III. Rodzina. Dramat w pięciu aktach. Przez J. I. Kraszewskiego i K. Zalewskiego.	221
IV. Księżę Bismarek jako mówca. Przez F. K.	239
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Wydawnictwa ilustrowane z działu sztuk pięknych.—Reprodukcyje ksylograficzne p. Adama Pilińskiego.—„Podróż do Maroko,“ przekład z włoskiego, autora Edmunda Amicis.—Tom VII Geografii Elizeusza Reclus: „Chiny i Japonia.“—James Rotshild: „Muza historyczna Lorcta.“—Kurs prof. Deschanel w Kolegium francuzkiem: „O romantyzmie we Francyi w XVII wieku.“—„Powieści ludu albańskiego,“ przez Augusta Dozon.—„Apostol,“ dramat Henryka Bornier.—„Herodyada,“ opera Masseneta.—Protestacya akademika belgijskiego przeciw wpływom paryzkim na literaturę.—Niemieccy profesorowie w Jeddo.—Opowieść starego wiarusa o Berezynie. Karpowicz.	274
VI. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Sbornik slovansky“ etc. (Zbiornik słowiański, artykuły z dziedziny etnografii, historii, kultury i dziejów życia literackiego i towarzyskiego). Redaktor Edward Jelinek, 1881, w Praze, 8 maj, str. 128. Przez Bronisława Grabowskiego.	300
„Najlepsza metoda języka niemieckiego,“ do nauczania się czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w trzech miesiącach, bez pomocy lub z pomocą nauczyciela; poczęści na sposób Ollendorfa, a poczęści na sposób Toussaint-Langenscheidta; opracował dla użytku Polaków Plato v. Reussner, nauczyciel języka niemieckiego. Wydanie pierwsze. Kurs niższy i wyższy. Warszawa. Nakład i własność autora, 1881. Przez S. S.	304
VII. Wiadomości bieżące, naukowe, artystyczne i społeczne. Gazeta „Słowo“ i „Echo Łomżyńskie“ (318).—„Przegl. pedag.“—(321). „Rocznik pedagogiczny“ S. Dicksteina.—l'osiedzenie kom. antropol. i wydz. historycznego Ak. um. w Krakowie (323—326).—Literatura bibliograficzna (327).—„Przegląd południowo-słowiański.“—Leopold Ranke (bist. Rzpltej rzm.).—Pomnik Al. br. Wielopolskiego	328
VIII. Od Redakcyi.—Zaproszenie do przedpłaty na rok 1882.	



De. II. 1
POKUSY.

FANTAZYA.

PRZEZ

Gustawa Zielińskiego *).

1.

Pędzi jeździec przez stopy w noc ciemną,
Jakaś żądzą trawiony tajemną.
Czy ucieka?... czy może w pogoni
Za tabunem porwanych mu koni?...
Czy go nuda w szeroki świat zenie?...
Może miłość, lub zemsty pragnienie?
Myśl człowieka,—to przepaść! któż zgadnie,
Jaki tam twór porusza się na dnie.

2.

W nagłym pędzie—koń stanął jak wryty;
Zarył w ziemię przednimi kopyty,
Zestrzygł uszy —i chrapaniem z garła,
Dawał znaki, że czuł wielką trwozę.
Czyby tygrys zastąpił mu drogę?...
Czyby przed nim przepaść się rozwarła?...
Nie!—w tej chwili przez nieboskłon czysty,
Przelatywał meteor ognisty,
I nim ugasał z łomotem i trzaskiem,
Tak nieziemskim objął stopy blaskiem,
Takim morzem świetlanego płynu
Oblał trawy—z ich puchem i kwiatem,
Że step, zdał się czarnoksiężkim światem,
Z iskier—złota, szafiru, rubinu.

3.

Jeździec—młodzian w życia pełnej sile,
Mało zważał na Niebios zjawisko;

*) Z rękopismów pośmiertnych ś. p. Gustawa Zielińskiego, udzielił Redakcyi syn zmarłego. Red.

Bo przy świetle, które trwało chwilę,
 Dojrzał inne, groźniejsze... tuż blisko.
 Czterech konnych, w rzeczy dzielnych gońców,
 Wprost nań biegło z czterech stepu końców;
 W inne barwy, każdy był przybrany,
 Koń każdego, innéj był odmiany.
 Widać—zdradnie został oskoczony;
 A tu znikąd pomocy, ni schrony.—
 Uciec!.. hańba i niepodobieństwo!..
 Czterech zwalczyć?... to istne szaleństwo!..
 Więc się tylko — osadził w strzemienu,
 Za nóż chwycił— dla bliższej obrony;
 I pozostał w miejscu niewzruszony,
 Zdając resztę—swemu przeznaczeniu.

4.

Ów, co nań pędził od strony wschodu,
 Na wiśnio-gniadym sadił bachmacie;
 Widać potomek Hańskiego rodu,
 Od stóp do głowy—cały w szkarłacie.
 A blask szat jego, takiéj był mocy,
 Że choć już ugasł ów wąż świetlany,
 On, świecił sobą, wśród cieniów nocy,
 Jakby w jutrzeńki ogniach skąpany;
 Gwiazdą z rubinów miał kaftan spięty,
 A na kołpaku—lychnis zatknięty.

Powitał jeźdźca, skłonieniem głowy,
 I doń przemówił takimi słowy.

5.

„Blyszczy gwiazda poranna na Wschodzie,
 Promieniami w świat daleki strzela;
 Rośnie róża w czarownym ogrodzie,
 Rozkosz— w uśmiech jéj listki rozdziela;
 Uśmiech róży—to serce dziewicze,
 Gdy przeczuwa miłości słodycze.
 Błaski gwiazdy—to młodzieńca oczy,
 Gdy je dziewicze swym czarem otoczy.
 Ty, młodzieńcze, chciéj być gwiazdą Wschodu:
 Ja ci różę ukażę ogrodu.
 Żadna hurys w Edenie Proroka,
 Niéma blasku tak czarnego oka,

Ani włosa — z tak bujnemi sploty,
 Ani ustek miłszych do pieśczoły. §
 Przy ognisku: potulna i cicha,
 Jak ów fijołek, co w trawce oddycha;
 Lecz niech w stepie dosiędzie rumaka,
 Z orłem, chartem, puści się po fali
 Traw szumiących... by polować ptaka, §
 Zgonić zwierza, co pomknął się wdali;
 Dziwny ogień żarzy się w jej łonie,
 Co z ocz tryska... i na licu płonie:
 Że rozpoznasz w stepowej dziewczynie,
 Krew sułtańską, co w jej żyłach płynie.
 Ale miłość, jak każdy dar nieba,
 Aby posiąść: zdobyć ją potrzeba.

6.

Tam, na Wschodzie, są góry olbrzymie
 Ciemnym lasem porośły ich boki,
 Wyżej skały, a ich szczyt wysoki
 W śniegach wiecznych i w lecie i w zimie.
 Do gór środka, jest przejście tajemne,
 Przez parowy głębokie i ciemne;
 Wązka ścieżka, którą dzikie kozy
 Wydeptały, pędząc przez wąwozy,
 Gdy je spłoszą wilki lub niedźwiedzie:
 Pełna trudów, w ten górski świat wiedzie.
 Nad huczącym w przepaściach potokiem,
 Przez drzew gestwy, przez skał rozpadliny
 Piąć się trzeba — aż tam... gdzie przed okiem
 Błyszczą fale wśród wielkiej doliny.
 Allah! Akbar! krzykniesz od zachwytu,
 Gdy w krąg ujrzysz otchłanie błękitu.

7.

Na jeziora rozległym obwodzie,
 Cudny obraz odbija się w wodzie;
 Z brzegów, lasy w głąb' piętrami rosną,
 Świérk z modrzewiem, wiąz miesza się z sosną;
 Niżej lasów — ciemne, nagie góry,
 Poszczerbione... burz i gromów ślady;
 Z ich rozpadlin, pędzą wodospady,
 A po grzbietach czepiają się chmury;
 Od chmur niżej — sterczą szczyty białe,
 Niby starców głowy posiwiące;

A pod niemi — na błękitów fali,
 Coraz niżej, głębiej... coraz dalej...
 Sunie księżyc i gwiazdy — lub słońce,
 W tych bezdennych przepaściach świecące.

8.

Za jeziorem, w zacisznej ustroni,
 Śród kwitnących morel i jabłoni,
 Zasiadł auł — i zajął w użytek
 Bujny padoł, pod liczny dobytek.
 Tam, zobaczysz, na rozkwitłej łące
 I wielbłądy z bydłem się pasące;
 Jak pomiędzy ich spokojne stada,
 Tabun źrebców pędzi jak kaskada;
 Jak po wzgórzach, pnąc się przez manowce,
 Rozproszone skubią trawę owce.

9.

Śród aułu — jest jurta osobna,
 Wyższa, szersza i więcéj ozdobna,
 Białym kryta wojłokiem, a zgóry
 W dół, ujęta przez jedwabne sznury;
 Tkań kaszmiru zdobi jurty ściany,
 Z boków skrzynie co mieszczą sprzęt drogi,
 W środku perskie wspaniałe dywany
 I wzorzyste kobierce pod nogi.
 A w téj jurcie — hoże dziewczę rośnie,
 Które tęskni i marzy miłośnie.

10.

„Mam strój piękny, barwny i bogaty;
 Z chińskich tkanin kosztownych mam szaty;
 Sznury pereł, moc złotych pierścieni,
 Co się błyszczą od drogich kamieni.
 Nic mi nie brak, a przecież ja czuję,
 Że mi czegoś do szczęścia brakuje.
 „Po jeziora gdy igram kryształe,
 Niby rybka, co pluśnie nad fale;
 Widzę jasno w przezroczu téj wody,
 Że mi Allah nie skąpił urody:
 Nic mi nie brak, a jednak ja czuję,
 Ze mi czegoś do szczęścia brakuje.

„Mam służebnic orszak na skinienia,
Co mi pracę w lekki trud zamienia;
Chcę swobody?... mam stopy na okół...
Jak wiatr leciem—koń mój, chart i sokół.
Nic mi nie brak, a przecież ja czuję,
Że mi czegoś do szczęścia brakuje.

„Gdy noc cieniem otoczy namioty,
Sny mnie budzą... bo czegoż się nie śni?..
Słucham... słowik powtarza me pieśni,
Ja tak lubię tę piosnkę tęsknoty;
Nic mi nie brak, a jednak ja czuję,
Że mi czegoś do szczęścia brakuje.

„Stary Mułta—z gwiazd wróżył mi szczęście,
Gdy mnie dzieckiem żądano w zamęcie;
Dziś, gwiazd pytam?—czy się z ich promieni
Krażek światła w jeźdźca nie przemieni?..
Gwiazdy milczą—i dopiero czuję,
Jak mi wiele do szczęścia brakuje.”

II.

Naręczony, o którym wspomina
Rozmarzona, w swych dumach dziewczyna,
Ty nim jesteś!.. wieść o tobie głucha,
Jak szmer liści, doszła do jój ucha,
I ubrała—w jój myśli młodzieńczej,
W gwiazd promienie i w kolory tęczy;
Teraz—wzrokiem śledzi na obszarze,
Czy się wdali choć pył nie ukaże,
A z za pyłu jaki jeździec dzielny,
Co wyprzedza swój orszak weselny;
Próżno czeka!... przez stepów przestworze
Pędzą—sarny i dzikie tabuny;
Lecą—wichry, orły i pioruny;
Kogo pragnie—dopatrzyć nie może.
Gdzież ów jeździec?.. powtórzę ci w treści,
Smutny wątek, niedawnój powieści.

12.

W Siedmiorzeczcu dwóch przyjaciół żyło,
W dwojgu piersiach jedno serce biło:
Na barantę, na bój, czy na łowy
Powstał zamiar, to jak z jednój głowy;
Tak we wszystkim zgadzali się wzajem,
Sultan Akbaj, z Bijem Karybajem.

Czy koczować?.. czy obrac siedlisko?..
 Zawsze razem, zawsze siebie blisko,
 Nigdy w sporze; nic im na zawadzie,
 Choć gromada chodzi przy gromadzie,
 Chociaż tabun przy tabunie hasa,
 Choć błoń szczupła ich stada wypasa.

13.

Raz rzekł sułtan: przyjaźń, co nas łączy,
 Niechże z nami w grobie się nie kończy;
 Tobie Allah dał pociechę, syna,
 W mojej jurcie rośnie mi dziewczyna,
 Gdy dorosną, jak dwóch pni gałązki,
 Niech się złączą przez małżeńskie związki;
 Jednym drzewem, niech się w górę wiją
 I nas starców—swym cieniem okryją,
 Ręka w rękę—i zamiar w tej chwili
 Obaj ojce przysięgą stwierdzili.

14.

Przyszła zima—ciężka, mroźna zima;
 Śnieg się sypie... dla stad karni niema,
 Próżno konie kopiać śnieg od głodu,
 Zamiast trawy, dokopiać się lodu.
 „Trzeba śpiesznie dobytek ratować,
 Zwinąć jurty... w góry odkoczować,
 Gdy z nas każdy inną pójdzie drogą,
 Łatwiej stada wyżywić się mogą.”
 Po naradzie—Karybaj z Akbajem
 Każdy innym powędrował krajem;
 A Karybaj trupem drogę znaczy:
 Stracił stada --i umarł z rozpaczy.

15.

U sułtana—to rozkosz i zbytek,
 Z każdą chwilą mnoży się dobytek;
 Aul coraz szerzej się rozpiera,
 U ogniska—tłumna czeladź zbiera;
 Allah w szczęściu i zdrowiu go chowa.
 Wtém, uboga przychodzi doń wdowa,
 Prosi wsparcia, pokazuje syna,
 Dawną przyjaźń i klątwy wspomina;
 Sułtan w złości, obelg im nie szczędził:

Wdowę z dzieckiem wyszczuł i wypędził.
 Precz mi z oczu!.. jam nie bogacz taki,
 Bym mógł wszystkie przygarniać żebraki;
 Wybrać zięcia, który jeść co niema...
 Ja nie oddam córki bez Kałyma.

O! Akbaju! gdzież święte umowy?..
 Czy je wichur rozpędził stepowy?
 Czy je słońce spaliło?.. czy morze
 W swe bezdenne schłonęło je łoże?..
 Gdzież twa przyjaźń?... co jak gwiazda lśniąca
 Miała obu przyświecać bez końca;
 Wszystkoż znikło?... wyszło, jak zdroj czysty,
 W twego serca pustyni piaszczystej?..
 A czas leci... oj! płynie powoli,
 Temu w szczęściu—a owym, w niedoli.

16.

Duch rycerski zawsze w twój rodzinie
 Stał wysoko—jój krew w tobie płynie,
 A do czynu nie brak ci odwagi,
 Więc się pomścij tak ciężkiej zniewagi;
 Twoje prawa niczém nie zachwiane.—
 Chcesz wziąć odwet za krzywdy doznane?..
 Teraz pora!...

Au! w górach skryty
 Mieści—starce, dzieci i kobiety;
 Sułtan o los swych skarbów spokojny,
 Wszystkich zdatnych na koń i do wojny,
 Na daleką wziął z sobą wyprawę,
 Zyskać nowe zdobycze i sławę.
 Śmiały napad na au! wśród nocy,
 Rzuci popłoch—a przy mój pomocy
 Znajdziesz szczęście—gdy twa narzeczona
 Chętnie w twoje skłoni się ramiona.

Ja ci drogę ukażę tajemną,
 Jeśli żądasz miłości?—jedź ze mną.

II.

I.

Gdy ów swe czynne zalecał usługi,
 Czwałem z południa nadbiegł konny drugi;
 Koń pod nim dzielny, maści był bułanój,
 Sam—w żółte barwy cały przyodziany,

Lśnił— niby złotym pyłem potrząśnięty,
 Na złote słońce miał kaftan zapięty.
 Noc była ciemna— ale w owój chwili
 W stronie południa, gdzie się niebo chyli,
 I krańcem swoim brzegów stepu sięga,
 Ciągnęła chmura, niby czarna wstęga,
 I takie blaski wciąż miotła z siebie,
 Że było widno na ziemi i niebie.

2.

Zręcznie osadził konia przybysz nowy,
 I temi jeźdźca powitał słowy:

„Młodość, miłość, krasne lice,
 To są tylko błyskawice;
 Czar rozkoszy, serc wzajemność,
 Gwiazdy — co spadają w ciemność.”

Na nikłym blasku któż swą przyszłość wspiera?
 Gdy dusza młoda na świat się wydiera,
 Żal, gdy ją zwicznie, lub w więzach zatrzyma,
 Jakież tam dziewczę z czarnymi oczyma.
 Kwiat róży piękny, ale krótkotrwały,
 Lada wiatr stąśnie... słoneczne upały
 Zzółcą i spalą— i rychłą przemianą
 Blaski ulecą... a kolce zostaną.
 Kwiat róży piękny... czyż dla jego woni,
 Wstrzyma się łowiec, gdy za zwierzem goni?...
 Gdy pierśią twoją owładła tęsknota
 Jak życie odziać w cudne szczęścia farby;
 Do szczęścia droga jedyna, przez skarby
 W postaci pereł, dyamentów i złota.
 Ale bogactwo, jak każdy dar nieba,
 Ażeby osiąść... zdobyć je potrzeba.

3.

Jest kraj, z którego wyżyn Amu płynie,
 Nim się w piaszczyste rozleje pustynie;
 Kraj żyznych dolin, wdzięcznie okolonych,
 Wiecznie kwitnących i wiecznie zielonych;
 Po wzgórzach lasy z balsamiczném techniciem,
 Wabią do siebie owocem i cieniem.
 Poza wzgórzami groźne wstają góry,
 Olbrzymie skały, co jak chińskie mury,
 Od wtargnień zimy bronią jak od wroga,
 A w końcu dolin— przez przepaście droga;

Szalona Amu hucząc wśród kamieni,
 Tysiące w siebie pochłania strumieni;
 A chcesz tam dotrzeć, z kąd czerpie swe wody?..
 Świat niedostępny... zamknięty przez lody,
 Sterczą iglasto w wiecznych śniegach szczyty,
 Na których niebo wspiera swe błękity.

4.

W owych dolinach—śród wiecznej zieleni,
 Wspaniałe słońce w ognistym turbanie,
 Jakby Padyszach na niebios rydwanie,
 Rozrzuca wkoło złoto swych promieni.
 To też smug każdy tej szczęśliwej ziemi,
 Wciąż się okrywa płodami złotemi;
 Złotym nektarem nalewa się trzcina,
 Winorośl złote swe grona rozpina
 Przez drzew gałęzie, w sploty łącząc drzewa,
 Gdzie złoty owoc wśród liści dojrzewa,
 A całe łany złoty blask odziewa.
 Ale nie tylko słońce z szcudrej dłoni,
 Wszystkie bogactwa składa do tych błoni;
 Tam każdy potok czystym złotem płynie;
 A gdy się spuścisz do krain podziemnych,
 W skałach głębokie odkryjesz jaskinie,
 Dziwnie błyszczące w swych kryjówkach ciemnych;
 Sądzisz, że iskry, że gwiazdy, że kwiaty,
 W zaczarowane objęły cię światy;
 A to opale, szmaragdy, rubiny,
 Które sam Allah spuścił w te doliny.

5.

Z tych ziem błogich wyszła karawana;
 Sto wielbłądów ugina swe garby,
 Sto wielbłądów dźwiga wielkie skarby
 Kupców Giaurów, których zęczność znana,
 Jak oszustwem, na drodze zamienniej,
 Dać zły towar—a wziąć drogocenny.
 Psy niewierne, co szydą z proroka,
 Z juk wielbłądzich nie spuszczaają oka,
 Bo ich dusze jakby za pokutę,
 Do tych skarbów chciwością przykute.
 To też sobie obliczyli z góry,
 Ile zysku da im przedmiot który;

Gdzie i komu... zbyć towar bogaty;
 Szale Indu, kitajskie bławaty,
 W licznych pakach sprzęt srebrny i złoty,
 I nad wszystko cenniejsze—klejnoty.

O! kto cząstkę tych skarbów posiędzie,
 Żyć... użyje—i szczęśliwym będzie.

6.

Karawana pójdzie przez pustynie,
 Przez szlak czarny, głodnym stepem zwany,
 Przez ruchomych piasków—oceany,
 Gdzie ślad każdy zsuwa się i ginie,
 Jak na wodzie... skoro łódź przepłynie.
 Tylko zdala ludzki, lub z wielbłąda
 Szkielet biały, z pod piasków wygląda,
 I wskazuje jakby dla przestrogi,
 Gdzie kierunek tej pustynnej drogi;
 Któżby zechciał w kraj przekleństw i grozy,
 Swe wędrowne posunąć obozy;
 Walczyć z tarczą rozżarzoną słońca,
 Kiedy pali ogniem swych promieni;
 Albo z wichrem, gdy z końca do końca,
 Na ogromnej tych pustyń przestrzeni
 Rwie kurzawy, zaćmi daytime blaski,
 I jak morzem, porusza te piaski;
 Któżby zechciał złożyć tam swe kości?...
 Gdyby nie miał wiary i pewności,
 Że po dziennym trudzie i po znoju,
 Cały tabor wypocznie u źródłu,
 Gdzie zaczerpnie nowych sił i życia
 Do dalszego tych pustyń przebycia.

7.

Nam te szlaki z dawien dawna znane,
 Więc możemy zdobyć karawanę.
 W stepach zbierzem ochoczą drużynę,
 Na łup zawsze gotowych junaków,
 Którzy na wzór tych drapieżnych ptaków,
 Krążą zdala, gdy wietrzą zwierzynę.
 Z tą drużyną ruszym na spotkanie
 Zagłębionej w piaskach karawanie.
 Zasypimy źródła na ich drodze.
 Gdy ich gniazda nie znajdą—więc w trwodze
 Czy kierunku złego nie obrali,
 Łatwo dadzą sprowadzić się dalej,

Przez omylne znaki—na bezdroża,
 W coraz dziksze tych pustyń przestworza.
 Dnia piątego, tonąc w piaskach wrzących,
 Śród oddechów powietrza duszących,
 Gdy wielbłądów część padnie... a ludzie
 Napół żywi i złamani w trudzie,
 Gdy pragnienie wzrośnie do szaleństwa,
 A znój weźmie resztę sił i meztwa;
 Wypadniemy z zasadzki—i strzały
 Puścim gęste—a w zębach kindzały...
 Zawre walka—i przy nas wygrana;
 A w zdobyczy będzie karawana.
 Potém podział—ty, jak wódz oddziału,
 Część najlepszą otrzymasz z podziału.

8.

Teraz zdjęć chciałbym zasłonę z twych oczu,
 I jak w sennego marzenia przezroczu,
 Przesunąć obraz dotąd jeszcze mglisty,
 Lecz który może wziąć byt rzeczywisty.

Kiedy na bujnej stepowej równinie,
 Stanie twój auł... i sto jurt rozwinie;
 A na około, jak zasięgniesz okiem,
 Cieszyć się będziesz własnych stad widokiem,
 Bydła i owiec, wielbłądów i koni,
 Gdy rozproszone śród rozkwitłych błoni
 Brodzą—w traw żyznych falistej powodzi.

Tymczasem słońce pod poziom zachodzi;
 W auł wracają wypasione stada,
 I za gromadą ciągnie się gromada,
 Niosąc wymiona wypełnione mlekiem.

I brzmi powietrze pastuchów okrzykiem,
 Psów naszczekaniem—krów głębokim rykiem,
 Przeciąglém owiec tysiąca beceniem,
 I kłusujących dojnych klaczy rzeniem;
 Tak, że źrebięta trzymane śród klatek,
 Gdy głos posłyszają wracających matek,
 Rwą swoje pęta... łamią opór wszelki,
 Rżąc—każde pędzi do swój karmicielki.
 A nad tę wrzawę i w zgiełk złane głosy,
 Wybija w górę dźwięczna pieśń pastusza,
 I czystą nutą uderza w niebiosy.
 Tak orzeł—kiedy unosi się w słońce,
 Gromady ptastwa u stóp wirujące,
 Jednym swym krzykiem—gromi i zagłusza.

9.

W aule coraz głośniejsze wre życie...
 Tylu stad na raz i ludzi przybycie,
 Wrzawa się wzmaga i rośnie i szerzy,
 Oprzętem zwierząt zajętych pasterzy,
 Krzątaniem niewiast około wieczerzy;
 I brzmią po jurtach gęśli skoczne tony,
 To je ryk przerwie, to znów śmiech szalony,
 Tak, że w noc późną ciągły zgiełk się słyszy;
 Aż sen się spuści i wszystko uciszy.

10.

A jeśli każesz na wysokie drzewce
 Zatknać chorągiew—zdaleka i blizka
 Gość nie ominie twego koczowiska.
 Pobożni Chodźcie i stepowi piewce,
 I podupadła lub skrzywdzona rzesza,
 Co się tak chętnie przy zamożnych wieszka,
 Cisnąć się będzie do gościunnej misy,
 By kęs twój spożyć i pić twe kumysy.
 A za to—cuda niestworzone prawić,
 I twoje imię uwielbiać i słać.
 Wieść zaś, co szybko krańców stepu sięga,
 Obudzi podziw... co to za potęga?
 Co to za gwiazda błysła światłem nowém,
 Ponad obszarem zamierzchłym koczowym?
 Bijów, Sułtanów najpiękniejsze córy
 Wyglądać będą, czy rychło do której
 Z nich, wyślesz strojne z podarkami swaty,
 I czy dasz kałym liczny i bogaty?
 A nawet ojciec twojej narzeczonej,
 Pierwszy ci przyjdzie uderzyć pokłony;
 Aby przebłagać—uzna własną winę,
 I za nie wielki kałym—da dziewczynę.
 Zresztą, cześć zyskać i rozgłos wśród ludu,
 Czyż to nie warto zabiegów i trudu?...
 Ja twą dolę chcę zrobić przyjemną.
 Jeśli pragniesz bogactwa? jedź ze mną.

III.

I.

Jeszcze ów swojej nie dokończył mowy,
 Gdy od północy, nadbiegł przybysz nowy;

Pod nim, koń arab, biały bez odmiany,
 Sam cały w bieli jak z srebra ulany,
 I z półksiężycem na kołpaku lśniącym,
 Raczej byź duchem zdał się—niż żyjącym.
 Ale się ciemną odznaczał urodą:
 Przy ogorzałej twarzy—czarną brodą.

2.

W tej chwili właśnie, na samą północy,
 Stały słupy czarniejsze od nocy;
 Lecz wraz, w ich środku, wśród ciemnego łona,
 Zabłyła jasność... ognista, czerwona:
 Rosnąć w potęgę... zdała się natężyć,
 A potem z wolna przygasać i zwężyć;
 Znow, obrót iskier wszczął się bezustanny,
 Każdy słup ogniem rozżarzył się nowym,
 Z każdego, trysły dyamentów fontanny
 Wkrąg otoczone deszczem rubinowym;
 I chwilę trwało to złudne widziadło;
 Aż znow przygasło—a kiedy już zbladło,
 Cień się od światła półkolem odgrodził,
 I tak się zdało, że ztamtąd dzień wschodził.

3.

Przybyły, jeźdźca powitał ukłonem
 I tak przemówił doń—poważnym tonem:
 „Miłość, bogactwo, są to dary cenne,
 Ale nie trwałe—bo łatwo odmiennie...
 Czas... ludzie... zresztą wypadków zawikość,
 Pochwycą skarby i ostudzą miłość.
 Ja, żądzom twoim radbym dać ostrogi,
 Na podnioslejsze myśl skierować drogi;
 Brak pragnień—zwykle niemoc ducha zdradza;
 Cel—jaki radbym ci wskazać—jest władza.
 Ale tę władzę, jak każdy dar nieba,
 Ażeby osiąść—zdobyć ją potrzeba.

4.

Jak gwiazdy gasną na niebios błękiecie,
 Tak i na ziemi—in świetniejsze życie,
 Tém większa ciemność—kiedy mąż zasługi
 Składa w grób żywot i plenny i długi.

Tak dogorywa Han na swój stolicy...
 Licznie zebrani rodów naczelnicy,
 Śród ciągłych kłótni, zbrojną ręką radzą,
 Komu po śmierci tę władzę oddadzą.
 Han nie zostawia potomków po sobie,
 Zaraza, w jednym złożyła ich grobie,
 Są, dalsi krewni—którzy postrach szerzą
 Wzajem się niszcząc — mordem i grabieżą.
 Obaj chcą władzy—naród zdjęła trwoga
 O wybawienie—śle modły do Boga,
 A nie śmie uznać żadnego — za wroga.

5.

Ktoby wystąpił... śmiało i otwarcie
 Przeciw obydwom—ten znajdzie poparcie
 W całym narodzie—i ci, co w tej chwili
 Padli na duchu—chwycą się oręża,
 Skupią swe siły — bo będą wierzyli,
 Że to sam Allah, zesał do nich męża,
 Który im spokój i pomyślność wróci,
 A wichrzycieli—złamię lub ukróci.

6.

Tobie przystało wziąć prym przed innemi,
 Wszak ród swój wiedziesz od władców tej ziemi,
 Walka cię czeka zacięta i długa,
 Lecz w miarę przeszkód, rośnie i zasługa;
 Gdy rozgromieni padną przeciwnicy,
 I wrócisz spokój wzburzonej krainie,
 Wówczas—przywodząc zwyciężkięj drużynie,
 Pójdziesz hołd złożyć do hanów stolicy.
 Grom dział, huk kotków i surm dźwięki grzmiące,
 Witac cię będą... a ludu tysiące
 Cisnąć się będzie, by dotknąć twój szaty;
 Złożyć ci wieńce i sypać ci kwiaty
 Po drodze—kiedy na dzielnym rumaku,
 W poważnych mężów i licznym orszaku
 Wjedziesz na zamek — i letniemu hanu
 Uderzysz czołem — jak ojcu i panu.
 A han przez wdzięczność serce ci otworzy,
 I swoją władzę w ręce twoje złoży.

7.

A rządu nie tak trudna sztuka,
 Gdy się własnych korzyści nie szuka;

Gdy do siły łączy się przebiegłość,
 Która wpoi bojaźń i uległość.
 Przymiemy bacność, gdy dostrzeżesz ślady
 Na twe życie czychającej zdrady,
 Zgnieść ją trzeba—jak szkodliwą zmięję
 Co z swym jadem pod trawą się kryje.
 Butnej dumie każesz podciąć skrzydła:
 Niech się nie dmie i niech się nie puszy;
 Na miłości własne włóż wędzidła;
 Gdy okiełznasz, żadna się nie ruszy;
 Głupców, błaznów, których zastęp mnogi
 Wciąż się będzie cisnąć w twoje progi,
 Każ przepędzać na stepowe łąny,
 Niech tam pasą osły lub barany.
 Dla potrzebnych, skrzywdzonych i nędzy,
 Bądź miłością i nie szczędź pieniędzy;
 Ale strzeż się jak ognia lub moru,
 Wpuścić podłość do swojego dworu,
 I pochlebstwo—które głaszcząc uszy,
 Wszystko dobre wysie i wysuszy
 Jak ów owad, co na drzewa pada
 I liść, kwiaty i owoc objada.
 Strzeż, niech podłość twój władzy nie kała,
 A pochlebstwo w swych splotach nie więzi:
 To i drugie, trzymaj zawsze zdala;
 A gdy blisko, to już na gałęzi.
 Bo rządzenia nie tak trudna sztuka:
 Mieć dłoń silną, to całą nauka;
 A zostawisz pamięć w lata długie,
 Żeś złe karciał, a wznosił zastługę.

8.

Wypoczynek znajdziesz po staremu,
 Śród rozkoszy i pieszczot haremu.
 Mur wysoki i obronne wieże,
 Ów przybytek osłania i strzeże;
 Obca stopa przekroczyć te progi,
 I wzrok obcy wcisnąć się nie waży,
 Bo rzezańców czarnych, zastęp mnogi,
 Dniem i nocą stoi tam na straży.
 Tam rozkoszne, cieniste ogrody,
 A w ich środku lustro czystej wody;
 Łódź wesota ślizga się i pędzi
 Stada białych i czarnych łabędzi;
 Rybki złote i błękitne w centki,
 W zastawione chwytają się wędki;

Rozproszone sarenki po błoni,
 Biorą pokarm podany im z dłoni;
 Śród kwiatników, w marmurowe wanny,
 Deszcz kryształów leją wciąż fontanny;
 A zwabiona latawców gromada,
 Przelatując od drzewa do drzewa,
 Błyszczą barwą piór cudnych i śpiewa
 I krawędzie fontanny obsiada.

9.

Czyje ramie porusza te łodzie?
 Kto na wędki łowi rybki w wodzie?...
 Komu ptaszki chwytają karm z ręki?...
 Kto pierzchliwe przyswaja sarenki?
 Kto kwiatami zdobi włosów sploty?...
 Kto się stroi w perły i klejnoty?...
 Oto orszak niewieścich piękności,
 Kwiat nad kwiaty. Które władcy swemu
 Z ziem dalekich wzięte do haremu,
 Dań składają z wdzięków i miłości.

10.

Więc w haremie, skoro zajdzie słońce,
 A w ogrodach błysnie lamp tysiące;
 W pysznym kiosku, lub też pod namiotem,
 Jedwabiami błyszczącym i złotem;
 Gdy na perskim odpocznie dywanie,
 Wonnych kadzideł otoczony obłokiem,
 A przed tobą, śliczny orszak stanie,
 Lic niewieścich z pałającym wzrokiem,
 Gdy śpiew jednych i muzyczne dźwięki,
 Innych taniec, rozwinie ich wdzięki
 W miękkie ruchy i zmysły podrażni
 W iskry, gwiazdy, słońca — wyobraźni.
 Cóż porównać da się z owym stanem?
 Jak być władcą i wyboru panem.

II.

Chociaż miłość z pieśczęcią edeńską,
 I odwaga — co zdobi pierś mężką,
 Nawet sława — która zwykle ludzi
 Silnie wstrząsa i do czynów budzi;

Są to czucia co pod niebo wznoszą,
 Ale zemsta, jest serca rozkoszą...
 Jeśli wroga, z duszą złą i hardą
 Który dąży, by cię okryć wzgardą;
 Ufny w siłę, zechce ci ubliżyć,
 W proch obrócić, shańbić lub poniżyć;
 Albo szkodzić, mienie twe zagrabić,
 Albo stawić zasadzki by zabić,
 Gdy go zdołasz w moc swoją pochwycić,
 Zgiąć kark dumny, krwią zemstę nasycić
 I miecz krwawy zatknąć na mogile,
 To najmilsze w życiu ludzkim chwile.
 Albo, gdy masz sobie przekazane
 Ciężkie krzywdy—przez przodków doznane,
 Które z ojca przechodzą na syna,
 I jak świętość, nosi je rodzina
 W głębi serca—aż doczeka chwili,
 Że potomkom tych, co ją skrzywdzili
 Zada odwet, co się zarumieni
 Krwi potokiem i falą płomieni.

12.

Nie działanie trwożne, tajemnicze,
 Może zemsty rozjaśnić oblicze
 Ani dać jój rozkosz i słodycze.
 Jój potrzeba aby jawną była,
 A tę jawność—daje tylko siła,
 Albo władza—która, można wrogi,
 Gnie jak trzcinę i ściele pod nogi.
 Ja ci przyszłość chcę rozjaśnić ciemną,
 Jeśli pragniesz mieć władzę!—jedź ze mną.

IV.

Gdy trzech wysłańcy z trzech stron jeźdźca stali
 I na odpowiedź w milczeniu czekali,
 Nadbiegł i czwarty od zachodniej strony,
 Znać pędził szybko, bo koń był spieniony,
 A na ognistym przybywał rumaku:
 Wronym bez zmiany. Sam, dorodny młodzian,
 Od stóp do głowy w czarne szaty odzian,
 Tylko miał orle pióro przy kołpaku.
 Wraz za nim, łuna smugami krwawemi,
 Coraz się wyżej wznosiła od ziemi,

Szła do pół nieba—jak gdyby odbicie
Stepów płonących, na nocy błękanie.
Przybyły, ręką wskazał na pożary...
„Tam walciał—spór to dawny, jak świat stary,
Dzikich najeźdzców co za łupem gonia,
I tych, co swobód i swój ziemi bronią...”
A nachylając się do jeźdźca ucha,
Szepnął mu słowo: tym jednym wyrazem
Tak rozpłomienił młodzieńczego ducha,
Że bez wahania wyrzekł: „jedźmy razem!”
Jakoż dwaj jeźdźcy wespół się objęli,
Pomknęli cwałem i w ogniach zniknęli.

D Z I S I E J S Z Y
STAN GEOGRAFII, JÉJ BADAŃ I WIADOMOŚCI.

SKREŚLIŁ

Dr. Franciszek Czerny,

Profesor geografii na uniwersytecie Jagiellońskim.

Jeżeli się zważy, że interes do ziemioznawstwa obudził się już w każdym niemal zakątku, roszczącym sobie pretensye do cywilizacyi; że wszędzie prawie mnożą się w szkołach niższych i średnich liczby godzin, poświęcanych téj nauce, a po uniwersytetach i politechnikach przychodzi do zakładania osobnych dla geografii katedr; że z roku na rok wzrasta z niezwykłą szybkością zastęp Towarzystw geograficznych; że nie brak ich już nawet w Rumunii, Argentynie i Japonii; że jeszcze szybszym krokiem mnoży się ilość czasopism geograficznych, a w ogóle ruch literacki na rozległym polu ziemioznawstwa zaczyna już apelować do rozmiarów osobnych bibliotek; że tymczasem u nas, w kraju, prócz słabego echa, przybywającego z zagranicy, nic jeszcze nie słychać o zbiorowych usiłowaniach około podźwignienia nauki geografii w szkołach, około popularyzowania jéj w kołach szerszych, około założenia osobnego polskiego Towarzystwa geograficznego i osobnego polskiego organu, któryby metodycznie i krytycznie zdawał sprawę z zakresu wszech badań i prac, odnoszących się do téj nauki—jeśli się to wszystko zważy, to mimowoli musi się w nas obok tylu innych przykrych i to nowe upokarzające obudzić uczucie, żeśmy podobno na polu ziemioznawstwa wyjątkowo bierne zajęli stanowisko i że wcale jeszcze nie pomyśleliśmy, o ile naturalnie stosunki nasze na to pozwalają, o zapełnieniu w tym względzie opróżnionego miejsca w koncercie narodów, rywalizujących tak chlubnie w szrankach nauki, która, ogarniając całą ziemię i obejmując całą ludzkość jako przedmiot swych badań, nietylko jest z natury swój syntezą wszystkich nauk, lecz zarazem także—i to więcej niż inna jakakolwiek umiejętność, węzłem narodów.

Każdy z nas wie i czuje podobno aż nadto dobrze, ile dałoby się

powiedzieć, gdyby chodziło o usprawiedliwienie tych naszych braków ¹⁾; ale czyż one w czémkolwiek przez to się pomniejszą?

W tém niepocieszném przeświadczeniu spełniam, sądząc, jedynie obowiązek, jeżeli pragnę zaznajomić społeczeństwo polskie z dzisiejszym stanem geografii, jako umiejętności, z jej metodą, zadaniem i zakresem badań i wiadomości i przedstawiam mu te kilka kartek, które oby mogły się stać szczęśliwym posiewem na niwie, tak uporczywie leżącej u nas odłogiem.

Jak w życiu pojedynczego człowieka, tak i w historii ludzkości całej dają się z łatwością odróżnić dwie odmienne epoki, dwa stopnie zapatrywania się na świat zewnętrzny. Z początku budzi się zaledwie dopiero świadomość tego, co nas otacza. To téż rozpoznanie świata i jego zjawisk jest jeszcze wtedy zbyt ogólnikowem i powierzchownem; poczucie pewnego związku, pewnej harmonii i prawidłowości w fenomenach przyrody nader naiwnem, wątłem i ciemnem, bo działające w naturze siły i czynniki uderzają jeszcze na uczucie i na wyobraźnię zbyt silnie, aby mogły dopuścić zimną refleksyę. Owszem, całe ludy w swych pierwiastkowych, dziecięcych jeszcze dziejach, zwykły z reguły zawsze upatrywać w tych siłach i czynnikach jakieś ukryte, niedocieczone, wyższe potęgi, którym winno się oddawać Bożą cześć i palić ofiary ku ich przebłaganiu. Nie ma téż podobno mitologii, któraby tych cech nie nosiła. Tém się zaś tłómaczy, że jak owe pierwiastkowe poglądy na świat wyciskały swoje niezatarte znamię na pierwotnych kultach i religiach, że tak samo na odwrót religijne systemy ludów, znajdujących się dopiero u świtu swjej historii i cywilizacji, dogmatyzowały z czasem te pierwotne pojęcia i zapatrywania na świat zewnętrzny, że podnosiły je niejako do rangi prawd niezachwianych, owiecznych. I oto przyczyna, dlaczego takowe, usłwicono nadto w dalszym ciągu dłuższą tradycją i czasem, stają się potem tak uciążliwym balastem, gdy chodzi o pozbycie się ich w obec nowo nagromadzonych doświadczeń i ścisłej nauki, ba, dlaczego takowe odzywają się długo jeszcze tu i owdzie to słabszém, to silniejszém echem, jako tak zwane przesady, pomimo, że już tymczasem społeczność ludzka, porwana na polu trzeźwych, pozytywnych badań rączym prądem postępu, dawnym apriorystycznym doktrynom przeciwstawia już wyraźnie empiryzm i krytykę.

Te zaś wprowadzają już właśnie ludzkość w drugą fazę, na drugi szczebel poglądu na świat i jego zjawiska. Wyzwolona więcj lub mniej od pierwotnej, dziecięcej jeszcze uczuciowości i wrażliwości, jakotóż od dawnego ubóstwiania sił przyrody, społeczność ludzka poddaje odtąd zjawiska świata bliższemu zbadaniu, zgłębia ich istotę, zestawia je i po-

¹⁾ Nieomieszkałem téż uwydatnić z całym naciskiem naszego wyjątkowego położenia, kreśląc, proszony o to, dzisiejszy stan badań geograficznych w Polsce („Bericht über den gegenwärtigen Stand der geographischen Forschungen in Polen”) w „Zeitschrift für wissenschaftliche Geographie,” 1881, Lahr in Baden, II Jahrgang, 76—80.

równywa-je ze sobą, szuka i doszukuje się ich związku, przyczyn i skutków i dochodzi w ten sposób, kosztem wprawdzie pierwotnych mitologicznych polotów swęj fantazyi, do innéj natomiast zdobyczy, bo oto do poczucia i zrozumienia porządku w wszechświecie, do świadomości nierozzerwalnej łączni między wszystkimi siłami, działającemi w przyrodzie, słowem, w miejsce dawnych udogmatyzowanych, apriorystycznych wyobrażeń i spekulacyi, dochodzi drogą badań empirycznych do systemu nauk ścisłych. Dziś czy znajdujem się u szczytów wiecznym śniegiem pokrytych Alp, Andów, lub Himalajów, czy na niezmierzonej okiem płaszczyźnie, pokrytej jednostajną szatą flory stepowej, czyli na falach rozburzonego oceanu, na wulkanie, czy w okolicy nawiedzanej trzęsieniami ziemi, czy też wśród odartéj z wszelkiego niemal życia pustyni lodów i śniegów polarnych: wszędzie jedno przenika nas uczucie, uczucie pewnego stałego porządku, wszędzie wśród tych tak różnorodnych tonów dosłuchujemy się harmonijnego akordu i wszędzie konstatuujemy niemylnie odwieczne prawidła, co wywołały właśnie do bytu i rozrzuciły po ziemi te różne jéj warunki i formy.

Wprawdzie to umiejętne, krytyczno-empiryczne badanie zjawisk otaczającego nas świata, zdaje się znowu grozić nam zbyt często zaturtą tego zadowolenia, jakim napawa nas w ogóle bliższe właśnie wtajemniczenie się w tajniki rządu i administracyi przyrody. Bo wszelkie badanie ma to do siebie, że równie wiele rozwiązuje dawnych pytań, ile nowych wskrzesza wątpliwości i zagadnień, tak, iż w istocie, badając przyrodę i jéj dzieje, zdajemy się poruszać nie gdzieindziej, jak w prawdziwym labiryncie bez końca. Wszelako każda zagadka nową budzi w nas ciekawość, każde nowo odkryte prawo natury każe się domyślać całego szeregu zakonów wyższych, każda podróż w nieznane jeszcze okolice ziemi, każdy wynalazek i każde ulepszenie instrumentów badawczych rozszerza nasz widnokrąg, a choć kresu natury, a więc i naszych badań przejrzyć nie pozwala, to przynajmniej wzniewa w nas coraz to głębszy i etyczniejszy podziw dla tego olbrzymiego, zarówno w czasie jak w przestrzeni bezgranicznego bogactwa zjawisk i życia w przyrodzie, a ze względu na nieskończoną rozmaitość i stopniowanie w formach i funkcyach badanych przedmiotów, utwierdza nas coraz silniej w tém podniosłym przeświadczeniu, że i ten wszechświat bez kresów, podobnie jak i jakabądź istniejąca w nim forma i najdrobniejsze indywiduum, nie jest czémś stałym i niezmiennym, lecz podlega, owszem, ustawicznemu przeobrażeniom, nicustannéj ewolucyi, ciągłemu rozwojowi, którego właśnie jedną tylko maleńką chwilę z jego odwiecznej historyi dano nam w życiu naszym rozpoznać i badać.

I.

Ziemia, ta niby kropla kosmiczna, zawieszona w przestworzu, w której, by powtórzyć piękne wyrażenie El. Reclusa, jak w kropelce rosy zwierciedlą się okalające ją światy, jest zarówno jedynym danym

nam punktem, z kąd możemy obserwować i badać cały wszechświat jako makrokosmos, jak zarazem jedynym ciałem, z którym obznajmiając się bliżej, możemy poznać tém samym wszystkie łączniki jego z wszechświatem i wszystkie prawa przyrody nie dla czego innego, jak tylko, że te i w niem, t. j. w ziemi, jako w cząstce jednej niezmierzonej całości, więcej lub mniej tkwić muszą; słowem, badając ziemię, poznajemy jednocześnie i on wszechświat w miniaturze—mikrokosmos.

Ziemioznawstwo, konwencyjonalnie ciągle jeszcze geografją nazywane, nie jest też czém inném, jak nauką o ziemi, pojętą jako osobne indywiduum kosmiczne, obdarzone właściwą sobie strukturą, ruchami i życiem, jako ciało niebieskie, zahaczające ze wszech stron o budowę i prawa wszechświata, jako jednostka jednej wielkiej, w nieskończoność rozrodzonej rodziny światów, z której ziemia wzięła swój początek i pod której wpływem ciągle się rozwija; ale zarazem nauką o ziemi, pojętą jako dom mieszkalny człowieka i scena dziejowa, w której organizacyi, warunkach i zasobach tkwią właśnie podstawy i warunki kulturalnego i cywilizacyjnego rozwoju ludzkości całej. Zaznaczyć więc ziemi stanowisko w plejadzie reszty światów, rozpoznać zależność jęj od tychże światów, wnikać w jęj genezę, z kolei zbadać jęj budowę wewnętrzną i zewnętrzną, ruchy, jakim podlega sama i jakim podlegają jęj dwa oceany: wodny i powietrzny, dalej zgłębić prawa rozpostarcia się na nięj życia organicznego, a nareszcie i w szczególności wykazać, w czém i o ile sam człowiek, ta istota *κατ' ἐξοχήν* historyczna, zawisł w swym rozwoju od fizycznych warunków swego otoczenia—oto olbrzymi problemat, jaki sobie dzisiejsza geografia za swój przedmiot stawia.

W tém znaczeniu jest dziś geografia niewątpliwie nie pod jednym względem niejako encyklopedyczną reasumpcyą wszystkich innych nauk. Siega bowiem zarówno w dziedzinę astronomii i astrofizyki, jak ogarnia meteorologię i klimatologię, najważniejsze części geologii i domaga się znajomości botanicznych, zoologicznych, etnologicznych, ekonomicznych i historycznych. Jest jednak encyklopedyczną reasumpcyą tychże nauk nie pojętą tak, iżby każda z wymienionych umiejętności wechodziła w jęj zakres z całym zasobem swych specjalnych studyów, lecz tylko *jako wspólne ognisko, w którym, jak to wykazemy dalej, wszystkie te umiejętności jednoczą i godzą swoje rozstrzelone, luźno rezultaty zupełnie tak, jak sama ziemia, której zjawiskami, własnościami i stworzeniami obdzieliły się te umiejętności celem ich szczegółowego badania, jest właśnie tylko nierozłącznym skupieniem wszystkich tych zjawisk, własności i organizmów.* Temu też charakterowi swemu zawdzięcza geografia, że idąc ręka w rękę z rezultatami tak licznego grona nauk, ciągle się odradza i w ustawicznie nową przybiera się świeżość, tak, iż słusznie nazwał ją Peschel ¹⁾ umiejętnością, która

¹⁾ „Die Erdkunde gehört zu den Wissenschaften, welche täglich neu erworben und immer von frischem aufgebaut werden wollen,“ *Gesch. d. Erdkunde*, München, 1878, str. 79.

codzieli na nowo musi być zdobywaną i ciągle na nowo odbudowywaną.

Nie trudno po tém, co się powiedziało, zrozumieć, dlaczego ziemioznawstwo w swém dzisiejszém znaczeniu i z tak rozległym zadaniem stało się stosunkowo tak późno jako odrębna gałąź wiedzy ludzkiej w rodzinie umiejętności. Oto geografia, będąc opartą na badaniach przyrody z jednej, z drugiej zaś strony na badaniach historycznych, nie mogła oczywiście wystąpić pierwój jako osobna umiejętność, zanim wprzód te nauki, których geografia jest do pewnego stopnia skupieniem i syntezą, same nie doszły do pewnego większego zasobu umiejętnych wyników, które połączone ze sobą, istotnie mogły wytworzyć pewną zaokrągloną całość wiedzy o ziemi i zanim jednocześnie metoda badań, przez te nauki przyjęta i wydoskonalona, t. j. dociekanie przyczynowego związku w pojedynczych zjawiskach morfologicznych i biologicznych, nie przeszła i w dziedzinę geografii.

Nie wynika z tego, jakoby dawniej geografii nie było. Owszem, skoro przedmiot jej, t. j. ziemia, był i pozostał jednym i tym samym, mogła być i była téż w rzeczywistości geografia nader starą, ba, rzeczy można, jedną z najstarszych właśnie nauk, skoro w ogóle początek jej należałoby odnieść już do czasów, kiedy człowiek jał swą uwagę kierować na świat zewnętrzny, spostrzegać i swe spostrzeżenia notować i porządkować. Z tego właśnie względu mógł téż słusznie jeden z największych geografów starożytności, Strabo, już Homera pierwszym nazwać geografem i dzieje geografii od niego datować. Nie należy tylko wszakże zapominać, że ta pierwotna geografia nie była, bo nie mogła być jeszcze, czém innym, jak jałowym katalogiem miejscowości i dat najrozmaitszych, że mieściła w sobie, by z Pliniuszem powiedzieć, jedynie „*locorum nuda nomina*,” że zbierała zjawiska i wiadomości bez związku i jakiegokolwiek zasadniczej myśli i że katalog ten mógł wprawdzie w ciągu wieków aż po najnowsze czasy wzbogacać się nie jednym nowém spostrzeżeniem i nową datą; że jednak tak długo musiał się czepiać nauk innych, nie mogąc stać o własnych nogach, póki z jednej strony i nauki te nie odrodziły się same, t. j. metodą swych badań i ich wynikami nie wzmocniły się dostatecznie, aby mogły wpłynąć zarazem na całkiem nową redakcyę geografii i póki z drugiej strony sama geografia pod ich wpływem nie zmieniła nawskroś swego pierwotnego chaotycznego charakteru, t. j. z prostego obserwatora i zbieracza nie przeobraziła się w systematyczny układ wszech zjawisk, form i organizmów ziemi na podstawie ich przyczynowego związku i wzajemnego oddziaływania i przez to właśnie nie zdobyła sobie racji bytu, jako osobna umiejętność.

Stan więc ziemioznawstwa, by krótko powiedzieć, odpowiadał zawsze stopniowi cywilizacji i stanowi nauk w pewnym danym okresie. Szły te nauki naprzód, jak w starożytności, postępowała téż i geografia, znalazły się tamte w zastoju, jak w wiekach średnich, cofnęły się téż i ziemioznawstwo, a gdy tamte znów się obudziły, by sięgnąć, jak

dzisiaj, po rozwiązaniu najśmielszych nawet problemów, wzbiła się też i geografia czémrychlej do rangi pierwszorzędnej umiejętności.

To też przebiegając jednym rzutem oka historią geografii, począwszy od najodleglejszej starożytności—obszerniej skreśliliśmy ją w osobnej pracy ¹⁾—przekonujemy się, że jakkolwiek świat starożytny wydał filozofów jak Tales, Anaksimander, Heraklit, Demokryt, Pytagoras, co się już nad początkiem wsech rzeczy zastanawiali, myśliciela tak uniwersalnego jak Arystoteles, astronomów jak Hipparch, geografów jak Eratostenes, Strabo i Ptolemeusz i encyklopedystę jak Pliniusz, że przecież geografia w starożytności z reguły krótkie tylko zawierała wzmianki o fizyce ziemi, o wielkości jój i kształcie, o projekcy map, o klimatach i życiu organiczném a więcej gubiła się w nomenklaturze miejsc i w lesie luźnych wiadomości o pojedynczych pasmach gór, o rzekach, o przyrodzonych płodach pewnych krajów, o ludach i miastach; że cały jój postęp w starożytności zasadał się na rozpoznaniu istotnego kształtu ziemi, jój stref klimatycznych, na dostrzeżeniu pewnych różnic florystycznych, faunowych i rasowo-etnicznych w różnych okolicach ziemi, a przedewszystkiém w rozszerzeniu widnokregu geograficznego, który początkowo ogarniając kraje między wschodnią częścią kotliny morza Śródziemnego a morzem Czerwoném i zatoką perską, sięgał już za cesarstwa rzymskiego Chin i świata malajskiego na Wschodzie, Himalajów, siedzib Scytów, Baltyku i wysp angielskich na północ a Nigrycyi i Madagaskaru na południe. Sama nazwa geografii, odnosiła się jeszcze w starożytności przedewszystkiém i głównie do map, to jest oznaczała wizerunek ziemi. W tém znaczeniu specjalném używał jeszcze Cycero i Plutarch nazwy „geografii,” zanim dopiero bizantyńscy Grecy nie przenieśli jój także i na opisowe traktowanie ziemioznawstwa ²⁾. Znacznie gorzej stała sprawa geografii w wiekach średnich, gdzie już samo odosobnienie, w jakim się jeden naród względem drugiego znajdował i którego pilnie przestrzegał, nie dopuszczało jakiegobądź uniwersalnego badania, i kiedy, ogólnie mówiąc, sam jeden Arystoteles tylko uchodził za całą wyrocznię w wiedzy o wszechświecie i ziemi. Dopiero z jednéj strony wojny krzyżowe, co izolowanym wprzód narodom pozwoliły się po raz pierwszy zbliżyć do siebie a nadto zapoznać się z światem arabskim i z jego tak bujnie zakwitłymi naukami, z drugiejj strony podróże i sensacyjne relacye Jana Plano Carpini, Ruysbroeka i Marka Polo; przedewszystkiém jednak odrodzenie się sztuk i nauk, rozpowszechnienie się geografii Ptolemeusza i wyprawy odkrywcze Portugalczyków, Kolumba i Magellana, wprowadziły geografią na tory, z których już nigdy zejść nie miała. W ten sposób wstąpiła geografia w czasy nowe, a wstęp

¹⁾ „Zarys rozwoju wiedzy o ziemi na tle historii odkryć geograficznych.” Warszawa, 1881.

²⁾ Zob. Klopert: „Lehrbuch der alten Geographic.” Berlin, 1878, str. 5, nota 2.

ten j6j charakteryzuje przede wszystkim stopniowe pozbywanie si6 wskaz6wek i przewodnictwa Ptolemeusza a natomiast coraz to wi6ksza oryginalno66 i coraz wyra6niejszy krytycyzm w zestawianiu nowych, mno6ących si6 dat i wiadomo6ci, jakote6 w kre6leniu map i planiglob6w. Temi to zaletami odznacza si6 ju6 geografia Sebastjana M6nstera z Ingelheimu, wydana po niemiecku r. 1544 a po łacinnie 1550 r., i atlasy dw6ch wsp66czesnych sobie flamandzkich kartograf6w, Abrahama Orteliusza z Antwerpii i Gerharda Merkatora (wła6ciwie Kremera) z ko6ncem XVI wieku.

Odt6d znacznie ju6 szybszym krokiem bogaci6 si6 zas6b wiadomo6ci geograficznych. Przyczyniały si6 do tego niepospolicie same ju6 podr66e odkrywcze; ale w równ6j mierze tak6e post6p nauk przyrodniczych i historycznych, z kt6rych geografia nieomieszkała ju6 coraz to pe6nniejsz6 czerpa66 d66wi6. Wedlug tego nawet, z jakich si6 Źródeł zasilala, zacz6ła coraz wyra6niej przybiera66 charakter dualistyczny: geografii fizycznej i historycznej.

Oto wickopomne odkrycia i prace astronom6w XVI, XVII i XVIII wieku: jak Kopernik, Galileusz, Kepler, Newton, Laplace, obok s6ynnych pomiar6w geodetycznych francuzkich w XVII i na pocz6tku XVIII wieku, zbudowały geografii fizycznej niewzruszon6 podstawa w j6j nauce o wielko6ci, kszt6acie i ruchach ziemi. Prace Bakona („*Historia ventorum*”), Halley'a („*O deklinacyi magnetycznej*,” 1683, „*O waryacyi barometru*,” 1685, „*O passatach*,” 1686); Mariotte'a („*Du mouvement des eaux et de la nature de l'air*,” 1717); Mairan'a („*Des variations du barometre*,” 1715, „*Sur la cause du chaud en 6t6 et du froid en hiver*,” 1719, „*De l'aurore bor6ale*,” 1731); Hadley'a („*O passatach*,” 1735); Bouguer'a („*Gradation de la lumiere*,” 1729); Musschenbroeck'a („*De magnete*,” 1756, „*Introductio ad philos. nat.*,” 1762); Marsili'ego („*Histoire physique de la mer*,” 1725); Scheuchzer'a („*Meteorologia helvetica*,” 1718); Richard'a („*Histoire naturelle de l'air et des m6t6ores*,” 1770); Cotte'a („*Meteorologie*,” 1774); de Luc'a („*Modifications de l'atmosph6re*,” 1772, „*Id6es sur la M6t6eorologie*,” 1786); de Saussure'a („*Hygrometrie*,” 1783); jakote66 prace Bernoulli'ego, Eulera, Maclaurin'a, d'Alemberta, Lamberta, traktuj6ce o przyptywie i odpływie m6r6, o przyczynach wiatr6w, o łamaniu si6 promieni 6wiatła, o deklinacyi magnetycznej i t. d., zakł6dały fundamenta pod budow6 meteorologii i klimatologii. Jednocześnie Burnet („*Telluris theoria sacra*,” 1680); Leibnitz („*Protogaea*,” 1683); Woodward („*Natural history of the earth*,” 1659); Whiston („*New theory of the earth*,” 1696); Buffon („*Th6orie de la terre*,” 1749 i „*Epoques de la nature*,” 1778); F6chsel („*Historia terrae et maris*,” 1762); Werner, profesor w Freiburgu, Hutton w Edinburgu i t. d., stawiali ju6 pierwsze teorye o powstaniu ziemi i j6j budowie, to jest zakł6dali geologi6, podczas gdy Linn6, Penant, Pallas, Zimmermann, Cuvier i Lamarek dostarczali materyałów dla p66niejszej geografii ro6lin i zwierz6t, a Buffon we Francyi („*Histoire naturelle de l'homme*,” 1749), Blumenbach w Niemczech („*De*

generis humani varietate nativa," 1775) i Prichard w Anglii („Researched into the physical history of mankind," 1813), nakreślali pierwsze zarysy dla dzisiejszej etnologii.

Nie obeszło się wśród tego i bez dzieł, które już wcześniej usiływały cały ten ogrom gromadzących się wiadomości w zakresie fizyki ziemi w jedną zespolić całość. Już dzieło Atanazyusza Kirchera „Mundus subterraneus," 1678, może być poniekąd za takie poczytanem, lubo właściwie pierwszą umiętną geografię fizyczną napisał Bernhard Varen (Varenius) p. t.: „Geografia generalis," 1651 i Riccioli (Geographia reformata," 1661). W sto lat potem wystąpił z podobną pracą Lulof („Anleitung zur mathematischen und physischen Kenntniss der Erdkugel," 1750, „Deutsch v. Kästner," 1755) a w dalszym ciągu Bergmann („Physikalische Beschreibung der Erdkugel," 1769), Bode („Anleitung zur allgemeinen Kenntnis der Erdkugel," 1786); Mitterpacher („Physik. Erdbeschreibung," 1790), Immanuel Kant („Phys. Geographie," 1801), Desmarest („Dictionnaire de géogr. phys.,") Hochstetter („Allgemeine physik. Erdbeschreibung," 1820) i t. d.

W miarę jak w ten sposób, na podstawie nauk przyrodniczych rozwijała się geografia fizyczna, nie pomijano jednocześnie w geografii i drugiej grupy nauk, to jest historycznych. Przyczepiano z nich owszem coraz to więcej do geografii dat historycznych i statystycznych, jak to widoczna z dzieł: Gottfrieda („Archontologia cosmica," 1638), Malleta („Description de l'univers," 1685); Büschinga („Neue Erdbeschreibung," 1754); Achenwalla („Staatsverfassung der europ. Reiche," 1749), albo Gaspari'ego, Hassela i Cannabicha („Vollständiges Handbuch der Erdbeschreibung," 1819) i t. d., póki pod koniec XVIII wieku, gdy obok historii politycznej przyszło i do uprawy historii kultury, nie zaczęto czémrychlej podobnych badań uwzględniać oraz i w dziełach geograficznych, to jest szukać poraz pierwszy przyczynowego związku między ustrojem zewnętrznym, klimatem i przyrodzonymi płodami pojedynczych krajów a historią rozwoju kultury odnośnego narodu lub szczerpu, i w ten sposób przygotowywać najwłaśniejszej właśnie reformy w nowożytniej geografii. Takim to duchem tehną już dzieła: Pallasa („Reisen im russischen Reiche," 1771); Forsterów, towarzyszów Cooka („Reise um die Welt," 1778 i „Bemerkungen über physische Erdbeschreibung," 1783); Montesquieu'go („Esprit des lois," 1743); Buache'a („Essai de géographie physique" w „Memoires de l'Academie," 1752); Gatterera („Kurzer Begriff der Geographie," 1789); przedewszystkiém jednak Herdera („Ideen zu einer Philosophie der Geschichte der Menschheit," 1785); Zeune'go („Gaea, ein Versuch einer wissenschaftlichen Erdbeschreibung," 1808); Zimmermanna („Die Erde und ihre Bewohner," 1802); Malte-Brun'a („Precis de la géographie universelle," 1810); zanim nie pojawiło się dzieło Karola Rittera „Erdkunde im Verhältniss zur Natur und Geschichte des Menschen oder allgemeine vergleichende Geographie" (od r. 1817), które, najumiejętniej pojmując i przeprowadzając ten kierunek badań geograficznych, roztwierało właśnie ziemioznawstwu nową zupełnie erę w jego części historycznej, tak samo,

jak prawie jednocześnie Aleksander Humboldt, objawwszy swym uniwersalnym geniuszem wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych, nakreślił znowu w swém dziele „Kosmos” (1844), pierwszy właśnie nawskroś umiejętny obraz fizyki świata i ziemi i tём samém fizyczną stronę geografii wprowadzał odtąd na wcale nowe tory rozwoju ¹⁾.

Jeżeli już współcześni tym dwóm założycielom dzisiejszego ziemioznawstwa geografowie, jak Leopold v. Buch, Raumer, v. Roon, Schouw, Hoffmann, Kapp, Guthe, Klöden, Daniel, pilnie wchodzili w ślady swych mistrzów, to tём skwapliwiej jeszcze musiała się rzucić do uprawy geografii w wytkniętych przez Rittera i Humboldta kierunkach dzisiejsza generacja geografów, współczesna właśnie najbujniejszemu rozkwitowi badań we wszech dziedzinach nauk, bo współczesna tak świetnemu gronu uczonych, jak Agassiz, Darwin, Wallace, Huxley, Haeckel, Jäger, Unger w biologii; Griesebach, Kabsch, Decandolle, Saporta w geografii roślin; Schmarda, Wallace, Sclater w geografii zwierząt; Dove, Maury, Marié Davy, Buys-Ballot, Mohn, Hann w meteorologii; P. Scrope, Sturry Hunt, Lyell, Elie de Beaumont, Seebach, Schmidt, Hochstetter, Credner, Süss w geologii, Kirchhoff, Bunsen, Secchi, Schiaparelli, Jansen, Lockyer, Huggins, Respighi, Tacchini w astrofizyce; Joule, Tyndall, Hirn, W. Thomson, Tait, Helmholtz w fizyce; Tylor, Lubbock, Wilson, Dawkins, Waitz, Broca, Virchow, Fr. Müller w antropologii i etnografii; Bopp, Pott, Schleicher, Max Müller, Whitney, Lepsius, Benfey w językoznawstwie; Herbert Spenser, Stuart Mill, Littré w socjologii i t. d. i t. d. Najwybitniejszą zaś dwójkę z tój współczesnej nam generacji geografów, tworzą niezawodnie Oskar Peschel i Elizeusz Reclus ²⁾. Oni jedni dopiero zdołali znowu całość geografii w sobie przetrwać i oprzecz na najnowszych zdobyczach wiedzy ludzkiej i w ten sposób zajaśnieć podobnym wzorem dla następców, jak im znowu przyświecali wprzód swą pochodnią Aleksander Humboldt i Karol Ritter.

Z całego tego historycznego przeglądu literatury geograficznej do dwóch jeszcze należy nam na chwilę zawrócić mężów: do Aleksandra Humboldta i Karola Rittera, aby zcharakteryzować nieco bliżej ów przewrót, ową olbrzymią w geografii reformę, jaką właśnie od nich zwykł świat uczony datować. Ich to bowiem rzeczywiście nieśmiertelną pozostanie zasługą, iż żywić i dotkliwiej, niż ktokolwiek przed nimi

¹⁾ Cf. Studer, „Lehrbuch der physikalischen Geographie und Geologie,“ Bern, Chur u. Leipzig, 1847, I, str. 1—10.

²⁾ Dzieła Oskara Peschla: „Geschichte der Erdkunde,“ „Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen,“ „Neue Probleme der vergleichenden Erdkunde,“ „Völkerkunde,“ „Europäische Staatenkunde,“ bearbeitet v. Krümmel, „Physische Erdkunde,“ bearbeitet v. Leipoldt, „Abhandlungen zur Erd- und Völkerkunde,“ herausgegeben v. Löwenberg.

Dzieła Elizeusza Reclusa: „La Terre,“ i „La nouvelle géographie universelle.“

uczuli niedostatki, nieporadność i chaotyczność dawniej geografii i, odrodziwszy ją, podnieśli ją do rangi osobnej umiejętności. Przewrót ten zaś skutecznili, pojawiając ziemię, jako jednostkę kosmiczną, tworzącą osobną organiczną całość, w szczególności zaś rozpostarty na niej świat nieorganiczny, jako podścielisko i warunek pulsującego na niej życia organicznego i postawiwszy ziemiaństwu za cel i zadanie, rozpoznanie wszech zjawisk i stosunków na ziemi nieinaczej jak tylko w ich wzajemnym, przyczynowym związku.

Jak silnie ta nowa, zasadnicza idea geografii obu tych mężów zarówno przenikała, jak dalece praca ich była z wielu względów wspólną, dowodzi, że jeden drugiego nazywał założycielem porównawczej geografii. I słusznie, bo usiłowali obadwaj w równiej mierze przedstawiać stosunki i zjawiska na ziemi nie w oderwaniu i luznie, lecz porównawczo, w ich wzajemnym odnoszeniu się i związku. A jednak, chociaż ta zasadnicza idea geografii zarówno w pracach Humboldta, jak Rittera była jedną i tą samą, punkt wyjścia i kierunki ich prac różniły się nie mało. Różnica ta zaś, by krótko ją zdefiniować, polegała na tém, że Aleksander Humboldt nadał swemu badaniu ziemi kierunek przede wszystkim empiryczno-przyrodniczy, Ritter zaś filozoficzno-etyczny. Dla Humboldta najważniejszą było rzeczą zbadać związek przyczynowy między wszystkimi zjawiskami nad ziemią z jednej, a na ziemi z drugiej strony, czyli, jak się sam wyraża, wewnętrzną spójnię między ogólnymi prawami uniwersum, a szczegółowymi zjawiskami i stosunkami na ziemi. Najbliższym ideałem i celem Humboldta, była wprawdzie fizyka ziemi. Skoro wszakże ziemia jest tylko częścią wszechświata, teluryczną częścią kosmosu, przeto dalszym, najwyższym znowu celem Humboldta, była fizyka świata, a ztąd ziemioznawstwo przedstawiało mu się jedną tylko częścią ogólnej umiejętności o przyrodzie. Inaczej u Rittera, wprowadzającego znowu do ziemioznawstwa przedewszystkiem element filozoficzny. Wprawdzie, podobnie jak Humboldt, pojmuje i Ritter ziemię, jako ciało, gdzie się jawią działania wszech sił i praw przyrody. Z tém wszystkiém nietylko i nie wyłącznie, jako część kosmosu posiada ziemia dla Rittera interes, lecz w daleko wyższym stopniu, jako kolebka narodów i jako scena, gdzie ludzkość ma działać i rozwijać się. Według niego, owo empiryczno-przyrodnicze badanie ziemi, a więc fizyka ziemi dostarcza tylko podstawy dla wyższego pojmowania ziemi, a mianowicie dla pojmowania jej jako domu mieszkalnego, jako jednej wielkiej ojczyzny rodu ludzkiego. Już samo motto, jakie przed swém dziełem położył „Die Erde ist ein grosses Erziehungshaus der Menschheit,” zdradza tę zasadniczą myśl Rittera. I rzeczywiście, najwyższym celem ziemioznawstwa, według Rittera, jest, w ogólnej organizacyi ziemi, a w szczególności jej powierzchni, gdzie wszelkie właśnie tętni życie, odnaleźć i rozpoznać prawa i warunki rozrostu, utrzymania się i wychowania rodu ludzkiego ¹⁾.

¹⁾ cf. artykuł Wappäusa w „Göttinger gelehrte Anzeigen,” Stłok 24,

Nie można twierdzić, jakoby Humboldtowi całkiem obcym było podobne zadanie geografii. Owszem, w wielu swych pismach np. w „Essai sur la Nouvelle Espagne” i w wykładach swoich berlińskich, wyraźnie wypowiadał Humboldt, jak wielkim jest wpływ przyrodzonych warunków pojedynczych krajów na losy i koleje osiadłych w nich narodów. Mimo to, Karol Ritter, a nie Humboldt, zatrzyma w dziejach ziemioznawstwa miejsce istotnego założyciela historycznej geografii. W każdym bowiem razie przeważały w Humboldcie wiadomości fizyczne i przyrodnicze, w Ritterze zaś historyczne i te usiłował nawet Ritter do tego stopnia rozświecać przyrodzonymi warunkami całych lądów i pojedynczych krajów, że niekiedy popadał w rodzaj „geograficznej teleologii,” t. j. próbował z zewnętrznych rysów planety naszego, z budowy powierzchni ziemi wyczytać niejako już a priori wytknięty wątek dziejów rodu ludzkiego. Podobne zapatrywania, z łątkością mogące prowadzić do predestynacji i fatalizmu w dziejach ludzkości, okazały się nawet z początku wprost niebezpiecznymi, skoro w Niemczech wytworzyła się osobna nawet w tym kierunku szkoła geograficzna, zwana „młodo ritterowską,” która, rozprowadzając i egzagerując tego rodzaju zapatrywania Rittera, siała na rachunek mistrza w szerszych kołach publiczności najmonstrualniejsze doktryny. Za to jednak niesprawiedliwem byłoby czynić, jak to właśnie czynił Peschel ¹⁾, odpowiedzialnym Karola Rittera. Zasługą jego bowiem pozostanie zawsze, że wszędzie dopatrywał się pewnej zależności między dziejami rodu ludzkiego, a areną tychże dziejów, wkładając dopiero na pokolenia późniejsze obowiązek wykazania, dokąd ta zależność sięga i o ile ona właśnie słabnie, w miarę postępu cywilizacji, która do pewnego stopnia tak wyraźnie emancypuje ludzkość z pod wpływów miejsca.

Ale, choć odmienne, jak widzimy, obadwaj rzeczeni, wielcy geografowie, zakreślili sobie w swych dziełach cele i kierunki, przecież prace ich bynajmniej nie wykluczały się, nie negowały wzajemnie. Jedynie pierwszy kładł na to więcej nacisku, co drugi skorym był położyć dopiero na drugim planie, a w istocie rzeczy burzyli oni społem jedną ręką dawną geografję, a wznosili drugą ręką niewzruszony piedestał dla nowj geografii i dla nowj jój metody.

Zapytajmy wszakże, na czém polegała ta reformatorska praca Humboldta i Rittera, czyli czém była stara, a czém odznacza się nowa, od nich datująca się szkoła w geografii?

Stara szkoła geograficzna, lubo jój daru obserwacyjnego i pilności w zbieraniu dat i wiadomości odmówić nie można, była przecież daleką jeszcze od świadomości istotnie umiejętnych podstaw ziemioznaw-

14 Juni, 1876 i Peschel „Abhandlungen zur Erd—u. Völkerkunde,” I (Leipzig, 1877), str. 275—368 i 371—423.

¹⁾ cf. Wagner: „Der gegenwärtige Standpunct der Methodik der Erdkunde,” w Behma „Geographisches Jahrbuch,” VII, 1878, str. 565 i nast. i VIII, 1880, str. 527 i nast.

stwa. Geografia w jej ręku przedstawiała się więcęj lub mniej, ale zawsze chaotyczną wiązką nazw i liczb, surowym agregatem dat i szczegółów to przyrodniczych, to historycznych i statystycznych, zbiornikiem najróżnorodniejszych wiadomości bez organicznej łączni i bez jakiegokolwiek przewodniej myśli, któraby je ożywiała i za logiczny służyła im cement. Jako taka, nie dziwna, że geografia dawniej szkoły, nie posiadając żadnej osobnej, sobie tylko właściwej firmy, własnego ściśle określonego hasła i celu, nie umiała się otrząść z roli pomocnicy nauk innych i zdobyć sobie samodzielny bytu, że owszem nieskupioną, rozstrzeloną samą w sobie przyczepiano z łatwością to do historii, to znów do nauk przyrodniczych. Przeczuwano wprawdzie nieraz, głównie od drugiej połowy XVIII-go wieku począwszy, że przedmiotem geografii jest stosunek ziemi i jej zjawisk do człowieka i jego rozwoju; już Strabo może uchodzić za praojca podobnej teorii geografii; ale głębiej pojąć tego stosunku i umiejętniej go określić jeszcze nie umiano i dlatego w dziełach geograficznych zestawiano mechanicznie tylko daty fizyczne obok etnograficznych, historycznych i statystycznych. Słowem, stara szkoła geografii stąpała jeszcze na zupełnie błędnych drogach. Brakowało jej wyraźnego programu, jasnego przeświadczenia o swoim zadaniu, a tём samém brakowało jej i umiejętniej metody w doborze materiału, ugrupowaniu jego i przedstawieniu. Nieświadoma bowiem jeszcze tego, że ziemioznawstwo, jak powiada Peschel, niczём nie jest, jeśli nie tłumaczy, a tłumaczy dopiéro wtedy, gdy odkrywa przyczyny i skutki, nie pomna słów Bakona, które i do geografii w pierwszej linii odnieść należy, *vere scire est per causas scire*, nie umiała tём samém wznieść się do zestawień i porównań, nie wnikała nigdzie w przyczynowy związek i nie siliła się wyprowadzać ogólnych wniosków; lecz przeciwnie, najwyraźniej zataczała sobie jak najciaśniejszy horyzont i przedstawiała swój przedmiot zbyt luźnie i aforystycznie i dlatego w szkołach apelować musiała do częzćj mne-moniki, a nie do pouczających spostrzeżeń i poglądów, mających zostać trwałą zdobyczą i jasnym przewodnikiem w życiu.

Przyczynę tej nieporadności i tych niedostatków starój szkoły geograficznej wytłómaczyliśmy już wyzěj. Leżała ona, by ją streścić raz jeszcze, w niedojrzałości samych nauk, których rezultatami musi się z natury rzeczy geografia zasilać, w niedojrzałości więcę zarówno kaźdej z gałęzi nauk przyrodniczych, jako tём w niedojrzałości samych badań historycznych. Wszak pierwszym brakowało jeszcze tych wszystkich dat i odkryć, jakie dopiéro udoskonalony teleskop, spektroskop, mikroskop, psychrometr, seizmometr, batometr i tyle innych instrumentów i narzędzi ze sobą przyniosły, brakowało całego szeregu analiz chemicznych i badań anatomicznych, zdobyczy fizyologicznych i wykopalisk paleontologicznych. Drugie zaś nietylko nie rozporządzały jeszcze całą kopalnią odkryć archeologicznych i rozległym obszarem badań lingwistycznych, lecz, co gorsza, gubiły się jeszcze w lesie luźnych faktów i same dopiéro szukały metody, któraby je wywiodła po nici

przyczyn i skutków z labiryntu szczegółów. Wreszcie i samą geografię pozostawiało na polu czyszczenia odkrywczym bardzo wiele jeszcze do czynienia, aby jej daty i spostrzeżenia mogły się stać, jak dziś właśnie, poprawniejszemi i pomnożyć się o całe muzea i biblioteki. Pozostawiało jej mianowicie zerwać stanowczo ze starą tradycją, która główny swój interes do wypraw odkrywczych czerpała w utilitaryzmie, w kupieckich zyskach i w polityce merkantylnej, t. j. ubiegała się przede wszystkim o posiadanie bogatych zamorskich spichrzy lub kopalń, a natomiast ująć w rękę inicjatywę do wypraw czyszczenia sciencey, badawczo-odkrywczych, podejmowanych z pobudek nawskroś naukowych. Wszystko to niezawodnie usprawiedliwia w zupełności ujmę, jakie charakteryzują starą szkołę geografii.

Dopiero przeto zupełny przewrót w charakterze wypraw geograficznych, jaki odbył się w drugiej połowie XVII-go wieku, dopiero nastanie umiejętnych podróży, łącznie z t. zw. przez Peschla dobą pomiarów, z drugiej zaś strony stopniowy postęp w rozwoju i metodzie wszystkich nauk przyrodniczych i coraz to bardziej i wyraźniej umacniająca się u historyków przeświadczenie, że socyalny, ekonomiczny i polityczny rozwój narodów, jako odbywający się na ziemi, nie może odbywać się bez pewnego wpływu gleby, jej składu, zasobów, warunków plastycznych, klimatycznych, roślinnych i zwierzęcych, przedewszystkiem dzieła Montesquieugo „*Esprit de lois*” i Herdera „*Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit*,” które poraz pierwszy głębiej i umiejętniej wnikać w związek między przyrodą a rozwojem człowieka, stały się zarazem tak potężnym bodźcem do badań historyczofizycznych w ogóle; dopiero te okoliczności i ten przewrót, jakie zrzędały w dotychczasowych wyobrażeniach i zakonach nauki, pomagały też i ziemioznawstwu wydostać się z dawnego zakłętego koła opisów, porzucić metodę suchego zestawiania, a odrodzić się nową metodą i nowym zadaniem i w ten sposób nietylko nowy rozpocząć okres własnego rozwoju, lecz jednocześnie także wyswobodzić się z pod opiekuństwa innych nauk i stanąć o własnych siłach w ich rzędzie, jako równouprawniona, osobna umiejętność.

Jak w tylu innych naukach, jak w astronomii Kopernik, Kepler i Newton, w astrofizyce Bunsen i Kirchhoff, w geologii Lyell, w meteorologii Dove, w biologii Lamarck, Darwin, Wallace i t. d., tak samo i w geografii przyszło do inauguracji tej nowójery za sprawą nielicznych myślicieli, za sprawą Humboldta i Rittera. Oni to bowiem zdołali zarówno objąć swym geniuszem rezultaty całej skali nauk przyrodniczych i historycznych i z nich, jakby z *disjectis membris* jedną organiczną spleść całość, t. j. naukę o ziemi, jak zarazem nakreślić dla niej tę nową metodę, zadanie i cele, które ją natychmiast na pewnych i samoistnych postawiły fundamentach.

Ta nowa metoda ¹⁾ jest dwojaką. Jedna odnosi się do sposobu

¹⁾ Jakkolwiek już w czasach Rittera nie brakło prac i rozpraw, ogła-

badania i jest z charakteru swego indukcyjną czyli analityczną, t. j. zmierzającą od pojedynczych elementów i szczegółów do syntezy; lecz ta metoda nie jest bynajmniej wyłącznie tylko dzisiejszej geografii właściwą, bo jak wiadomo, posługuje się nią także cały szereg innych nauk. Druga natomiast jest już znacznie wybitniej geografii właściwą i jest poprostu środkiem, jakim się geografia w swych badaniach posługuje ku dopięciu swych celów. Środkiem tym zaś jest porównywanie w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu, w czém też i powód, dlaczego Ritter swoje pomnikowe dzieło geograficzne obdarzył przydomkiem „porównawczego” (vergleichende Geographie).

Wprawdzie Oskar Peschel, w krytyce metody Ritterowskiej¹⁾, starał się wykazać, że, jakkolwiek Ritter pierwszy zatytułował swoje dzieło „geografią porównawczą,” nigdzie właściwie nie rozwiązał zadania tak pojętej geografii, bo jeśli porównywał historię narodów z naturą ich siedzib, popełniał błąd przeciw loice, porównując różnorodne ze sobą przedmioty. Wynikło nawet w skutek tego niemałe między geografami nieporozumienie, co właściwie należy przez „geografię porównawczą” rozumieć, i kiedy jedni, jak Peschel właśnie, Kirchhoff, Supan i w. i., odnosili lub odnoszą jeszcze nazwę porównawczej geografii, jedynie tylko do dziedziny morfologii powierzchni ziemi, to drudzy znowu, i to bezpośredni uczniowie Rittera, jak Wappäus, Curtius, Klöden, rozumieli przez porównawczą geografię w myśl Rittera, dociekanie zależności kultur ludzkich od geograficznych stosunków pojedynczych części ziemi. Nieporozumienie to i rozdwojenie w obozie geografów, nie mogło się wszakże na długo utrzymać, a to z tej prostej przyczyny, że wszystko w geografii jest przedmiotem porównań, a nie same tylko formy powierzchni ziemi, że właśnie wszystkie czynniki i zjawiska na ziemi, muszą być tą drogą, tą metodą badane, bo im lepsza analiza szczegółów, tém pewniejszą ich synteza i tém nieomylniejszymi wyprowadzone z nich wnioski i rezultaty, że w ten sam sposób i różne stosunki zależności, w jakich człowiek w różnych okolicach ziemi do przyrody zostaje, stosunki przeto jego historii do teatru wypadków téjże, nietylko mogą, lecz muszą i powinny być zarówno w przestrzeni, jak

szanych głównie w czasopismach geograficznych, około metodologii ziemioznawstwa, J. G. Lüdde w r. 1849 mógł już w tym przedmiocie zebrać 261 rozpraw, to przecież właściwie dopiero dzisiaj obudził się do niej interes i dzisiaj wzrasta osobna literatura, traktująca o metodzie, celu, zadaniu i stanowisku geografii. Przyczyny tego należy zaś szukać w mnożeniu się katedr geografii po uniwersytetach i fachowych dla tego przedmiotu nauczycieli w szkołach średnich, słowem, w coraz to liczniejszym zastępie mężów, którzy z obowiązku muszą systematycznie pracować nad metodyką geografii. cf. Wagner l. o. w „Geogr. Jahrbuch,” 1878, Bd. VII, str. 550 i nast.

¹⁾ p. „Neue Probleme der vergleichenden Erdkunde,” Leipzig, 1870, str. 1—8.

w czasie porównywane, jak to właśnie pojmował Ritter ¹⁾, i że nareszcie sam Peschel, który swą krytyką spowodował rzeczone nieporozumienie, de facto niczem się nie różnił w metodzie i pojmowaniu geografii od Rittera, bo, choć więcej położył nacisku na porównawczą metodę badania morfologii powierzchni ziemi, orzekał przecież za Ritterem, że ostatnim i najwyższym problemem geografii jest odpowiedź na pytanie, jak pojedyncze obszary ziemi oddziaływały na rozwój narodów i naszego całego rodu, lub, że tendencja ziemioznawstwa zmierza zawsze ku temu, aby obszary ziemi pojmować jako scenę zjawisk dziejowych ²⁾. Nie mylił się też Ritter, nie mylili się i jego wymienieni uczniowie i nie myli się dziś Richthofen ³⁾, jeśli powiada, że porównawcza metoda polega rzeczywiście na ciągłym szukaniu i dopatrywaniu się przyczynowych wzajemnych stosunków (der causalen Wechselbeziehungen), między powierzchnią ziemi z jednej, a organicznym światem z drugiej strony. Czyni on nadto słuszny zarzut Peschlowi z tego, jakoby metoda porównawcza odnosiła się w geografii wyłącznie do wyszukiwania podobieństw, czyli „homologii” w naturze. Podobieństwa te bowiem są same dopiero bodźcem do szukania ich przyczyn.

Metoda porównawcza w geografii, jako środek badania, prowadzi nas wprost do celu nauki, do którego sama właśnie zmierza. Celem zaś dzisiejszego ziemioznawstwa, jest wykazanie, o ile ziemia, pojęta jako całość, a więc jej ustrój, zjawiska i świat roślinny i zwierzęcy, jest, jak się Ritter wyraził „domem wychowawczym człowieka,” albo, jak powiada Peschel, o ile fizyczne własności ziemi i działanie praw natury dają się dowieść w dziejach rodu ludzkiego, albo, krócej jeszcze, wykazanie przyczynowego związku i oddziaływania między elementami przyrody a historią. Z tego wynika dalej, że przedmiotem geografii jest ziemia z całym zasobem swych zjawisk i własności, pojęta jako mieszkanie ludzkości i scena jej dziejowych losów, i że geografia z charakteru swego nie tylko jest dualistyczną, t. j. w jednej części fizyczno-przyrodniczą, w drugiej zaś historyczną umiejętność, lecz także z przyczyny, że wykazuje, mówiąc słowami Guthego, jak dalece człowiek od przyrody zawisł, a o ile pragnie się od tej zależności uwolnić, jest zarazem jedynym łącznym ogniwem między przyrodoznawstwem a historią.

1) cf. Wagner l. c. w „Geogr. Jahrbuch” VII, 1878, str. 580—598 i „Geogr. Jahrb.,” VIII, 1880, str. 534 i nast.

2) „Das letzte und höchste Problem der Erdkunde ist die Beantwortung der Frage, wie haben die einzelnen Planetenräume auf den Entwicklungsgang der Völker und unseres ganzen Geschlechtes zurückgewirkt,” p. Einleitung zur physischen Geographie v. Peschel-Leipoldt, Leipzig, 1879, I, 4, „Immer geht die Tendenz der Erdkunde dahin, die Erdräume aufzufassen als Schauplätze geschichtlicher Erscheinungen” p. „Einleitung zur europäischen Staatenkunde“ v. Peschel-Krummel, Leipzig, 1880, st. VII.

3) „China“ (Berlin, 1877) I, str. 732.

Dzisiejsze ziemioznawstwo ma się téż do geografii staréj szkoły, zbierającéj luźny tylko materiał, zupełnie tak, jak architektoniczna konstrukcyja budynku do zwożenia dłań budulcu. Tamta była magazynem, leksykonem, dzisiejsza zaś geografia organicznym, umiejętnym systemem.

Od czasów Humboldta i Rittera, może wszakże geografia pochwalić się jeszcze innego rodzaju niezmiernym postępem. Oto podczas, gdy dawniej tylko pojedyncy, nieliczni uczeni, uznawali w geografii osobną naukę i jako taką traktowali, natomiast zaś w kołach rządowych poczytywano geografią zbyt często, jak powiada Dalla Vedova, profesor geografii w Rzymie, wprost za niebezpieczną pokojowi, jako szerzącą nowe poglądy, albo nawet jako narzędzie rewolucyi, a w szkołach albo jéj skutkiem tego nie dopuszczano wcale, albo poruczano ją ludziom zupełnie do tego niepowołanym, tak, że ze względu na ogół, mógł niedawnemi jeszcze czasy Lavallé ¹⁾ nazwać geografię nauką *que tout le monde croix savoir et que tout le monde ignore*, to dziś od kilku lat dziesiątków same rządy nawet wzięły w rękę inicjatywę w szczegółowych topograficznych badaniach i pomiarach geodetycznych całych krajów, a równocześnie przyszło do założenia, blisko już 60 Towarzystw geograficznych, do redakcyi, około 100 czasopism specjalnie geograficznych, słowem do spotęgowania się interesu dla ziemioznawstwa w tym stopniu i do takiego uznania jego potrzeby, że dziś nie darmo powstają już i mnożą się z niebывałym pośpiechem osobne, temu przedmiotowi poświęcone katedry w szkołach wyższych (dotąd jest ich w Europie trzydzieści kilka), a jednocześnie coraz głośniejsze dają się słyszeć domagania, ażeby i w szkołach średnich miała geografia swych osobnych nauczycieli fachowych.

Skreśliwszy w ten sposób pokrótce historyczny rozwój ziemioznawstwa, jego dzisiejszą definicyę, jego przedmiot, cel i metodę badania, wglądnijmy z kolei w stosunek geografii do innych nauk, w jéj podział i granice.

Skoro geografia okazała się nam z natury swéj umiejętnością działystyczną, fizyczno-historyczną, i dualizim ten jéj najwybitniej właśnie wystąpił w samych reprezentantach jéj nowego kierunku, w Humboldcie i Ritterze, przeto nie obojętną jest rzeczą zapytać, czyli między temi obiema stronami geografii ma zachodzić zupełna równowaga, czyli téż jedna z nich ma używać przywileju przewagi. W téj mierze jednak, wyznać należy, daremnie szukalibyśmy między uczonymi zgody. Jedni bowiem więcéj kładą nacisku na historyczną stronę geografii, drudzy zupełnej przestrzegają równowagi, a jeszcze inni pragnęliby ziemioznawstwo uczynić przeważnie nauką przyrodniczą. Pierwszego, przeważnie historycznego kierunku i charakteru w geografii, przestrzegają np. podręczniki geograficzne Pütza, Daniela, Guthego, Wappäusa,

¹⁾ W przedmowie do „*Geographic universelle*,” Malte-Bruna, Paris, 1858.

Seidlitz, Steinhausera, a przyczyny tego należy szukać w samém dziele Rittera, w którym tenże w ciągu pracy swojej coraz to więcej zagarniał materiału historycznego tak, że nawet praca jego w ostatnich tomach jego dzieła przybrała niemal cechę pomocnicy historii, t. j. wydawała się jakby podjętą jedynie na usługi historii ¹⁾. Wprawdzie jako takie wywarło dzieło Rittera niesłychany wpływ na dziejopisarzy, którym odtąd niepodobna było pomijać geograficznej podstawy, geograficznego tła dziejów. Z drugiej strony wszakże nie obeszło się bez tego, że w szkołach zaczęto sprzęgać geografję z historją i powierzać je jednemu nauczycielowi i że zwyczaj podobny tak dalece rozpowszechnił się i utrwalił, że jeszcze dziś przepisy egzaminacyjne nie są wolne od łączenia historii i geografji w jedną niepodzielną grupę. Ale jednocześnie nie brakło już i objawów reakcyjnych przeciw temu, zbyt jednostronnie pojętemu kierunkowi. Głównie wystąpiła na jaw ta reakcya w ostatnim lat dziesiątku. Sama jednak rozszczepiła się znowu na dwa obozy. Peschel bowiem, Klöden, Kirchhoff, Marthe w Niemczech, Lefebvre i El. Reclus we Francji, Marinelli we Włoszech, stanęli na gruncie najczyściej dualistycznym, traktując z pewnym równoprawnieniem tak fizyczną jak historyczną stronę geografji, podczas gdy Niemcy v. Richthofen i Supan, Holender Bos, Duńczyk Löffler, Włoch Dalla Vedova i Anglicy: Strachey, Geikie, Markham, zajęli drugie skrajne miejsce, t. j. geografję pojmują jako naukę przeważnie przyrodniczą, a historycznej jej części znacznie szczuplejsze zakreślają ramy, poczytując ją to za część „zastosowanej geografji” (Zweig der angewandten Geographie), jak Richthofen, to znowu za część biologicznej geografji (jak Dalla Vedova), do której i fito- i zoogeografję wliczają ²⁾. Najdalej, z pomiędzy tych ostatnich, idzie Löffler, profesor w Kopenhadze, bo definiuje geografję, jako naukę o stosunkach przyrodniczych i życiu ludzkim w dzisiejszym ich kształcie ³⁾, a więc pierwiastek historyczny sprowadza w geografji niejako ad minimum.

Niepodobna się wahać, gdy idzie o wybór między temi trzema kierunkami a tém samém i o scharakteryzowanie ziemioznawstwa w stosunku do innych nauk. Najwłaściwszą bowiem i najracjonalniejszą, jest droga pośrednia, przestrzegająca zupełnej równowagi między fizyczną a historyczną stroną geografji. Najwłaściwszą i najracjonalniejszą jest zaś dlatego, że z pomiędzy istot organicznych sam jeden tylko człowiek jest czynnikiem mogącym oddziaływać i oddziaływającym rzeczywiście na przyrodzone warunki swego otoczenia i to tak dobrane nieorganicznego jak organicznego świata, że przeto pod względem antropologicznym tylko, należy go uważać za przedmiot „geograficznej

¹⁾ cf. Wagner l. c. w „Geogr. Jahrbuch,” VII, str. 606.

²⁾ p. Wagner l. c. w „Geogr. Jahrbuch,” VII, str. 607—614 i VIII, 554—588; oraz „Zeitschrift für wissenschaftliche Geographie,” II (1881), str. 168.

³⁾ „Zeitschrift für wissenschaftliche Geographie,” II, str. 3.

biologii” a zresztą wyjąć go z niej i postawić w systemie ziemioznawstwa na osobnym miejscu, w pewnym przeciwieństwie do reszty natury żywej i nieżywej, na miejscu, tak chlubnie przezeń zdobytém, to jest w historycznej geologii. Inaczej groziłoby nawet ziemioznawstwu niebezpieczeństwo, miasto być naturalnym wspólnym węzłem wszech nauk przyrodniczych i historycznych, zostania jedynie jednym wielkim morfologiczno-biologicznym wstępem do historii, tak jak znowu z drugiej strony, musiałoby się ziemioznawstwo przemienić w geograficzną tylko metodę traktowania dziejów powszechnych, czyli w rodzaj geograficznej lub topograficznej historii, gdyby nie uwzględniało w równej mierze tej całej dźwigni, na jakiej wspiera się właśnie ród ludzki i jego historia, to jest całego łańcucha fizycznych i biologicznych warunków ziemi.

Z tych powodów trudno też oświadczyć się za podziałem geografii, jaki np. proponuje Supan ¹⁾, który ją rozkłada na *a*) astronomiczną, *b*) geologiczną i *c*) geografją w ściślejszem znaczeniu (a tę ostatnią znowu na α) geografją nieorganicznego świata i β) geografją świata organicznego), albo jaki stawia Bos ²⁾, dzieląc ją na fizyograficzną i biologiczną, albo Dalla Vedova ³⁾, dzieląc ją na morfologiczną i biologiczną, albo znowu Richthofen ⁴⁾, rozróżniający 1) geografją czystą, to jest naukę o powierzchni ziemi i jej formach i 2) geografją zastosowaną, to jest naukę o oddziaływaniu tej powierzchni na fizykę ziemi i klimat a łącznie z klimatem i fizyką ziemi na życie organiczne w ogóle, a w szczególności zaś na ludzkość; nie pochwalilibyśmy także zwyczaj, tak często praktykowanego w podręcznikach geograficznych, dzielenia geografii na trzy części: matematyczną, fizyczną i historyczną, bo nie ma racji oddzielania nauki o kształcie, wielkości, gęstości i ruchach ziemi, oraz nauki o stosunkach ziemi do uniwersum, czyli tak zwaną matematyczną i astronomiczną geografją od reszty jej części fizycznej, a natomiast jesteśmy zupełnie w duchu dualistycznego charakteru ziemioznawstwa za podziałem jego na dwie części to jest na część fizyczną i historyczną, jak go właśnie geografowie tacy jak Peschel i El. Reclus podają i przeprowadzają.

W myśl tego podziału pierwsza, to jest fizyczna geografia ma zajmować się najprzód opisem ziemi jako ciała niebieskiego, a więc kształtu jej, wielkości, gęstości, ruchów, co stanowi 1) dział matema-

¹⁾ „Ueber den Begriff und Inhalt der geographischen Wissenschaft und die Grenzen ihres Gebietes“ w „Mitteilungen der k. k. geogr. Gesellschaft in Wien,“ 1876, str. 54—75.

²⁾ „De plaata der Aardrijkskunde in het systeem der Wetenschappen,“ Groningen, 1878.

³⁾ „Il concetto popolare e il concetto scientifico della geografia,“ p. „Zeitschrift für wissenschaftl. Geographie,“ II, 1881, str. 123—126 i 164—168.

⁴⁾ „China,“ I Bd., str. 729—732.

tyczny geografii fizycznej, potem stosunkiem ziemi do innych ciał niebieskich, i jest to jój dział 2) dział kosmologiczny, dalej wytworzeniem się i ukształtowaniem ziemi a zatem historyczną i dynamiczną geologią i jest to jój 3) dział geologiczny, następnie dzisiejszym ustrojem powierzchni ziemi i jest to jój 4) dział fizyograficzny lub morfologiczny, z kolei meteorologiczno-klimatycznymi stosunkami ziemi i jest to jój 5) dział meteorologiczny, a w końcu rozmieszczeniem świata roślinnego i zwierzęcego na ziemi, co stanowi jój dział ostatni 6) fito- i zoogeograficzny. Wprawdzie należałoby w tym ostatnim dziale geografii fizycznej pomieścić także człowieka, o ile jest on właśnie przedmiotem antropologii. Z uwagi wszakże, że fizyczna, cielesna strona człowieka, tworzy dopiero jedną z jego cech charakterystycznych i nie może być jako taka oddzieloną od całego szeregu innych znamion, jakimi są język, kultura i religia, a te już są historycznymi, przeto należy antropogeografię, czyli etnografię już poczytać za wstępny dział geografii historycznej, której to ostatniej znowu specjalnem i najwyższem zadaniem jest wykazanie wzajemnego stosunku między ziemią i jój niższym światem organicznym po jednej, a człowiekiem po drugiej stronie, albo inaczej, wykazanie, by powiedzieć z Peschem, o ile historyczny rozwój pewnego narodu stoi w harmonii z przyrodzonymi własnościami zamieszkałego przezeń kraju a o ile rozstrzygało o nim samo już uzdolnienie narodu i po której stronie wypadła pewne plus lub minus.

Od niezgody, jaka jeszcze panuje między geografami w pojmowaniu charakteru geografii jako umiejętności i w jój podziale, zależy naturalnie i niezgoda ich co do odgraniczenia ziemioznawstwa od innych nauk. W tej mierze jednak byłoby rzeczą wcale już nieproduktywną chcieć się rozglądać, jakie ziemioznawstwu pojedynczy geografowie zakreslają granice. Dość powtórzyć słuszną uwagę, jaką pod tym względem czyni Marthe ¹⁾, powiadając, że granice między geografją a umiejętnościami, do których pomocy ziemioznawstwo się odwołuje, nie dadzą się obiektywnie, lecz tylko subiektywnie poprowadzić. Tém więc wszakże czujemy się w obowiązku w tej sprawie własne zaznaczyć stanowisko i wytknąć geografii granice, jak je sami pojmujemy.

Ponieważ ziemia jest przedewszystkiem jednym z ciał niebieskich, przeto geografia nie może się obejść bez pomocy astronomii. Ale podczas gdy astronomia kładzie sobie za zadanie poznanie specjalne całej mechaniki i budowy wszechświata, którego jedną, maleńką tylko cząstką jest ziemia, to geografia baczyć musi oczywiście tylko na te prawa i zjawiska astronomiczne, jakie bezpośredni wywierają wpływ na życie globu ziemskiego, a celem zaznaczenia stanowiska ziemi w wszechświecie, musi ogólny tylko nakreślić obraz światów innych. Nie inaczej ma się rzecz ze stosunkiem geografii do astrofizyki. I tu bowiem należy się geografii ograniczyć do ogólnych tylko rysów włas-

¹⁾ „Ueber Begriff, Ziel und Methodo der Geographie“ w „Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde“, Berlin, 1877, Bd. XII, str. 442.

ności fizycznych innych ciał niebieskich, aby raz t \acute{e} m lepiej uwidocznic \acute{c} r $\acute{o$ żnice lub podobieństwa w budowie, składzie i fizyce ziemi w przeciwieństwie do innych ciał kosmosu, drugi raz zaś, by zaczerpnąć t \acute{e} m pewniejszych danych ku rozwiązaniu tyle ważnego pytania genezy ziemi.

Natomiast nauka, co specjalnie bada termiczne warunki globu ziemskiego i prawa cyrkulacji j \acute{e} y powietrza i wody, to jest meteorologia i klimatologia, w całości do geografii wcieloną być musi.

Podobnie i stosunek ziemioznawstwa do geologii nasuwa się sam przez się. Skoro bowiem ziemia wraz z swą geotektoniką, plastyką, klimatem i rozpostartemi na ni \acute{e} y organizmami, nie przedstawia się wcale jako coś raz na zawsze skończonego, lecz owszem ciągl \acute{e} y choć powolnej podlegała i podlega metamorfozie pod wpływem całego szeregu sił i czynników, więc t \acute{e} ż i część geologii, traktująca szczegółowo o wpływie tych sił i czynników, to jest geologia dynamiczna w całości należy do zakresu geografii tak samo, jak ogólny rys geologii historycznej, przedstawiającej właśnie wątek kolejnych przeobrażeń wszech stosunków na ziemi. Ogólne wiadomości z geologii historycznej i z najważniejszej j \acute{e} y części, to jest paleontologii, mają dla geografii i to jeszcze szczegółowe znaczenie, że obok historycznego rozwoju jestestw organicznych podają jedyny właśnie, niezbędny klucz do wytl $\acute{o$ maczenia dzisiejszego rozmieszczenia roślin i zwierząt.

Fito- i zoogeografia nie ma zaś być bynajmniej rodzajem repertorium botaniki i zoologii, lecz przypuszczając takowe jako przedmioty juź znane, pragnie tylko wykazać prawa i warunki bytu i rozpostarcia się po ziemi głównych formacji i państw flory i fauny, a szczególniejszą tylko uwagę zwrócić na te grupy roślin i zwierząt, które pod sterem człowieka zamieniły się w przedmioty jego kultury, przemysłu i hadlu.

W etnografii i geografii historycznej zdawałoby się wprawdzie, że należałoby ziemioznawstwu podobnie jak w fito- i zoogeografii, ograniczyć się do wykazania jedynie przyczyn rozpostarcia się człowieka po ziemi, jakot \acute{e} ż warunków jego bytu i rozwoju. Skoro wszakże człowiek zajmuje w naturze uprzywilejowane stanowisko ze względu, że on jeden tylko oddziaływa na swoje otoczenie i skoro nadto najwyższ \acute{e} m zadaniem geografii jest właśnie badanie stosunku między ziemią a człowiekiem, ich wzajemnego oddziaływania, przeto słuszna, by nauka o człowieku znalazła w ziemioznawstwie szersze dla siebie miejsce, a zat \acute{e} m by czerpała zarówno główne przynajmniej wiadomości z antropologii i etnologii jak z dziejów powszechnych rodu ludzkiego, aby mogła t \acute{e} m umiejtniej rozwój historyczny pojedynczych lud \acute{o} w i narod \acute{o} w zestawić z fizycznymi warunkami okolic ziemi, przez nie zamieszkałych i badać, o ile ten rozwój stał lub stoi w pewnej korelacji z przyrodzon \acute{e} m uposażeniem tychże części ziemi, to jest o ile i gdzie człowiek liczył się z niemi i od nich zawisł, a gdzie i o ile g $\acute{o$ rował nad niemi dzięki swemu wyższemu, wrodzonemu juź uzdolnieniu.

Ale i statystyki nareszcie, to jest nauki o stosunkach, siłach i zasobach państw i ich socyalnym stanie niepodobna z umiejętnego systemu geografii wykluczać, pomimo, że państwa, ich granice i podstawy ciągłym i stosunkowo nader szybkim ulegają zmianom a więc jako takie nie są właściwie przedmiotem umiejętności, mającej się opierać na stałszych podstawach. Państwa bowiem są z dawien dawna właśnie panującą formą zewnętrzną, w jaką ludzkość została i zostaje ujęta i same wytwarzały się i przekształcały z reguły znowu tylko na podstawie i na warunkach geograficznych. Prócz tego geografia nie może się w zupełności wyzuć i celów i potrzeb praktycznych, z jakimi się właśnie statystyka liczy, notując wygasłe i żyjące narody, wykazując militarną siłę państwa, zliczając zasób podatków, regulując finanse a w ogóle nakreślając stan całego gospodarstwa narodowego i poniekąd etyczny i intelektualny bilans całych narodów, dzięki czemu kupiec zaznajamia się w niej z drogami i z ruchem handlowym, jakoteż z obrotem towarów, przemysłowiec ze stanem produkcji industryjnej, rolnik z przeciętnym zbiorem płodów surowych w danym kraju, podczas gdy uczony wyczytuje z szeregu zestawionych cyfr niejako budżet ekonomii, moralności i inteligencji społecznej w pewnej danej chwili.

Oglądając się na ten tak rozległy obszar dzisiejszego ziemioznawstwa, przypominają się mimowoli słowa Rittera, który, bacząc zarazem, że wszechstronność, jakiej się ziemioznawstwo domaga, nie pozwala jego uprawiaczom być jednocześnie specjalistami we wszystkich naukach, na których się geografia wspiera, wiedzę geografów porównał z oceanem, płaskim ale bezgranicznym. Chciał on przez to wyrazić, co wypowiada i Peschel w słowach: „żadna inna umiejętność nie zależy bardziej od pomocy tyłu nauk co ziemioznawstwo i z nią żadna uniwersalnością mierzyć się nie może,” to jest, że geografia ogarnia wszystkie umiejętności, „toutes les connaissances humaines,” jak powiedziano na kongresie geograficznym w Paryżu 4 sierpnia 1875 r., lub że jest—by powtórzyć za Anglikami—„the meeting-ground for all sciences,” i że jako taka, przybiera coraz wyraźniej charakter „geozofii.”

Usiłowano już nieraz z przyczyny, że geografia odwołuje się do pomocy tak licznej plejady nauk, odmówić jej charakteru umiejętności i nazywano ją to kompleksem, to repertoryum najróżnorodniejszych wiadomości, innym naukom wydartych. Zapominano jednak, że specjalne umiejętności mają wcale inne niż ziemioznawstwo, właściwe sobie cele, że mianowicie, jak trafnie podnosi Dalla Vedova ¹⁾, albo 1) badają typy i charaktery swych przedmiotów, niby ich statykę, albo 2) ich siły, funkcyje i modyfikacye to jest ich dynamikę, albo 3) ich warunki bytu w przestrzeni to jest na ziemi; że przeto jako takie raz rozrywają materyalną i idealną jedność ziemi, drugi raz wszakże, wnikaając w prawa roznieśczenia swych przedmiotów na ziemi, same znowu najwyraźniej apelują do osobnej umiejętności, któraby tę jedność na

¹⁾ „Zeitschrift für wissenschaftliche Geographie,” II, str. 167.

nowo sprowadziła a w szczególności ze wszystkich specjalnych nauk zabrała w swą dziedzinę to, co się odnosi do przestrzeni—do geograficznego rozpostarcia. Zapominano nadto, że geografia nie tylko posiada także swą własną specjalność, to jest badanie ustroju powierzchni ziemi, nie tylko zbiera, sprawdza i porównywuje zjawiska i fakta, to jest zajmuje się czynnością, praktykowaną również przez każdą inną umiejętność, ale że co ważniejsza, zrywając owoce w ogrodzie innych nauk, zestawia je w myśl właściwego sobie tylko celu i według własnej metody w jeden wielki system korelacji i oddziaływań między naturą martwą a życiem organicznym w ogóle i między całą organizacją przyrody z jednej a rodem ludzkim z drugiej strony w szczególności, co przecież jest procesem nawskroś umiejętnym ¹⁾. Zresztą w gronie nauk tylko jedna geografia, jak mówi Towarzystwo geograficzne londyńskie, w adresie do wicekanclerzy uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, łączy w sobie ściśle fizyczne, historyczne i polityczne stosunki, ona jedna jest badaniem lokalnych wzajemnych oddziaływań („local correlations” ²⁾).

Zaznaczywszy metodę, cel, przedmiot, jakoteż granice dzisiejszego ziemioznawstwa i jego stanowisko w rodzinie innych umiejętności, nie trudno jest nam w końcu ocenić i wysokie znaczenie, jakie sobie geografia w dzisiejszych zdobyła czasach. Oto, zostając w tak bliskim, codziennym związku z innymi dziedzinami badań ludzkich i tak dalece korzystając z ich ciągłego rozwoju i postępu, geografia daje przedewszystkiem i ze swojej strony nader potężny bodziec ku temu rozwojowi nauk innych. Z pomocą astronomii, która nam otwarła oczy na budowę i mechanikę niebios, zapoznaliśmy się wprawdzie dokładniej i z ziemią, ale jednocześnie, badając ziemię i odkrywając w niej coraz to nowe i dalsze lądy i kraje, zapoznaliśmy się zarazem lepiej i zapoznaliśmy się z większą liczbą ciał niebieskich. Podobnie i reszta nauk przyrodniczych nie ma powodu żałować darów, jakich się od nich domaga ziemioznawstwo, skoro naodwrot znowu geografia swymi podróżami badawczo-odkrywczymi przyniosła im i przynosi zawsze nowe, tyle cenne zdobycze, nowe formy i o nowych opowiada zjawiskach. Dostarcza zaś historia powszechna geografii dat i wypadków, to w zamian geografia rozświeca znowu scenę tych wypadków, tłómaczy częstokroć ich głębsze powody, ba, wnika nawet w tajniki życia socjalnego i ekonomicznego całych narodów. Znaczenie geografii sięga wszakże jeszcze i dalej. Ziemioznawstwo rozszerza bowiem nawet pod względem moralno-filozoficznym nasz widnokrąg, bogaci i kształci nasz dar spostrzegawczy i nasze sądy a przez zestawienie charakteru i warunków rozwoju pojedynczych narodów, czyni te sądy coraz sprawiedliwszymi i więcej bezstronnymi, podczas gdy wyprawy geograficz-

¹⁾ Patrz Wagner, „Der gegenwärtige Standpunkt der Methodik der Erdkunde“ w „Geogr. Jahrb.“ 1880, str. 538—549.

²⁾ Ibidem, str. 561.

no-odkrywcze i badawcze mogą poniekąd uchodzić, czém zresztą tak często są i były, za apostołstwo cywilizowańszych narodów w krajach barbarzyńskich, ciemnych jeszcze plemion. „Geografia jest przeto, powiada Vivien de St. Martin ¹⁾, zarówno niezbędną filozofowi jak mężowi stanu, kupcowi, jak badaczowi nauk ścisłych, jest jednym z najgłośniejszych warunków inteligencji ludzkiej w ogóle, wspólną osią dla wiadomości fizycznych i moralnych, pierścieniem jednoczącym ludy i podstawą ich wzajemnych stosunków.” Nie mylił się też już Strabo, mówiąc, jeżeli jest umiejętność godna filozofa, to jest nią geografia.

Takim przedstawia się dzisiejszy stan ziemioznawstwa jako umiejętności. A jeśli geografia nie poprzestaje na tém, jeśli ciągle się jeszcze udoskonala i coraz bardziej postępować obiecuje, to mniej zapewne w zasadach i podstawach, jakie sobie zdobyła, ile raczej w szczegółach, w zagłębianiu i rozszerzaniu starych lub roztwieraniu sobie nowych widnokręgów i przedmiotów swoich porównań. Największa trudność, jaką ma w najbliższym pokonać czasie, leży dziś w odszukaniu najwłaściwszego sposobu i miary, w którychby mogła nawskroś umiejętna metoda geografii być zastosowana i w szkołach średnich. Lecz i w tej mierze nie ma już wątplenia, że metoda nauczania geografii nie może być w istocie swój różną od metody jej badań, że tylko w ilości lecz nie w jakości jej rozległego przedmiotu może zachodzić różnica między akademickim a scholarskim jej traktowaniem, i że sposób przedstawienia, ściśle scyntyficzny w szkołach wyższych, winien być tém popularniejszym i przystępniejszym w szkołach średnich, im młodszymi uczniowie. Innemi słowy, dzisiejsza metoda nauczania geografii w szkołach średnich nie ma już więcej polegać na czczej mnemotechnice tylko, do której odwoływać się musiała dawna szkoła geograficzna, podająca przeważnie jeszcze same „*locorum nuda nomina*,” ale raz na rozpoznawaniu zjawisk fizycznych i biologicznych i ogólnem przyczynowem powiązaniu ich ze sobą, drugi raz na porównawczej charakterystyce pojedynczych krajów na podstawie map i ich odrysowań, na charakterystyce ich warunków produkcji i na podnoszeniu ich znaczenia dla kulturalnego rozwoju mieszkających w ich granicach narodów. Pamiętamy bowiem, jak to wszyscy z własnego wiemy doświadczenia, pewne nazwy i daty tylko wtedy, gdy do nich wiąże się pewien interes, pewna idea, pewne prawo powszechnie obowiązujące i gdy je spaja, a więc chroni od luźności i abstrakcyi, zwarty łańcuch porównań lub przyczyn i skutków. Taka zresztą a nie inna metoda, to jest metoda porównań i wyszukiwania oddziaływań, może dopiero spełnić prawdziwe zadanie dydaktyczne i pedagogiczne ²⁾. Tém więcej ma powołanie spełnić je w dzisiejszych właśnie czasach, kiedy, jak zauważył z taką

¹⁾ „Histoire de la géographie“ (Paris, 1873), str. 587.

²⁾ Cf. Peschel „Die Erdkunde als Unterrichtsgegenstand“ w „Abhandlungen zur Erd- und Völkerkunde“, I, str. 427—453.

prawdą Dalla Vedova ¹⁾, przyszło w szkołach do takiego rozstrzelenia nauk i do takiej ich rozmaitości, że coraz wyraźniej daje się czuć skutkiem tego brak nauki, któraby tamte jak rozbiegłe członki w jedną zbierała organiczną syntezę. Taką zaś syntetyczną nauką jest właśnie, jak to staraliśmy się wykazać, dzisiejsza geografia.

II.

Charakterystyka dzisiejszego stanu ziemioznawstwa nie byłaby jeszcze dość wyczerpującą i wierną, gdybyśmy nie starali się także odmierzyć jego dzisiejszego zasobu wiadomości, obliczyć jego obecnego budżetu i nie wytknęli w nim tych niedostatków, tego niejako deficytu, jaki pokryć i uzupełnić pozostaje dopiero zadaniem najbliższych pokoleń. Taka statystyka wiedzy ludzkiej o ziemi wy pływa zresztą wprost z istoty geografii, jako jednej wielkiej syntezy nauk przyrodniczych i historycznych i jako nauki zarazem, zmierzającej nieustannym szeregiem wypraw do odkrycia i zbadania całego globu ziemskiego aż do jego biegunowych kresów. Spytajmy zatem, co podziś dzień wiemy o ziemi i rozpostartém na nią życiu organiczném i gdzie te mety, do których dobiegły dziś badania przyrodników i historyków z jednej, a stopa odkrywców z drugiej strony?

Przedewszystkiém zdobyła sobie dzisiejsza geografia niczém niewzruszoną pewność, że ziemia nie jest bynajmniej jakimś wyjątkowém, uprzywilejowaném ciałem w niezmierném państwie Stworzenia. Taż sama bowiem materya, z jakiej są zbudowane inne ciała kosmosu, i też same siły, które rozstrzygają o bycie i ruchach innych światów, ulepiły także glob ziemski i tchnęły w niego życie. Nawet ranga ziemi w hierarchii ciał uniwersum okazała się wcale skromną, skoro w pośród niezliczonych słońc, jawiących się nam jako milionowa rzesza iskrzących się w przestworzu punkcików, vulgo zwanych gwiazdami, ziemia jest jedynie jednym z wazalów, t. j. jednym z planet jednego stosunkowo bardzo małego systemu, a w nim zuowu planetą, należącym do kategorii mniejszych trabantów słońca. Nie wiadomo jeszcze wprawdzie—i w téj mierze hipotezami wypełniamy luki naszej wiedzy—czyli ziemia tworzyła pierwotnie osobny embrion, ku któremu ciążyła i około którego układała się materya kosmiczna, zanim siła atrakcyi ze strony większej masy słonecznej nie przerwała tego procesu i nie zaanektowała mglistej jeszcze masy ziemi pod swoje panowanie, czyli téż ziemia, podobnie jak i inne planetarne jój siostrzyce, wyszła dopiero z macierzystego łona pierwotnie znacznie większej, niż dzisiaj, masy słonecznej. To wszakże pewna, że, jakakolwiek była jój geneza, historia ziemi, jako ziemi, rozpoczęła się, odkąd ziemia wirując około swój osi, zaczęła obiegać około słońca, bo odtąd zyskała zarazem miarę czasu dla swego rozwoju, t. j. dzień i rok.

¹⁾ Por. „Zeitschrift für wissenschaftliche Geographie,“ I, str. 125.

Choć na zawsze zakrytemi pozostaną dla nas pierwsze karty se-dziwych dziejów ziemi, nie jesteśmy przecież i w tej mierze pozbawio-nymi tak dalece wszelkich danych, byśmy nie śmieli zajrzeć w tajniki najstarszego, pierwiastkowego stadium rozwoju naszego planety. Na-sze słońce i innych słońc miliony, odkąd tylko wyłoniły się z rozpie-rzchłych mas mgławic, zaznaczają właśnie swoją wysoką temperaturą i stanem gazowym najstarszy okres w życiu ciał niebieskich i pozwala-ją nam tym samym wnosić przez analogią, że w podobnym stanie za-rzających się gazów musiała się znajdować pierwiastkowo i ziemia i wraz z innymi planetami tworzyć wspaniałą orszak świecących własnym światłem satelitów słońca. Życia organicznego nie szukać nam jeszcze na ówczesnej ziemi, ziejącej w zimne przestworze żar własnej ciepłoty, kilka lub kilkadziesiąt tysięcy stopni Cels. wysokości. A jednak i wów-czas już nie brakło jej tętn życia. Okolona zimnym przestworzem, w którym rozbiegały się promienie jej światła i ciepła, doznawała na powierzchni swjej kulistej masy systematycznego oziębienia, podczas gdy w jej łonie najwyższa właśnie panowała ciepłota. Różnice temperatu-ry ztąd powstałe nie mogły ni na chwilę pozostać obojętnymi ze wzglę-du na równowagę całej masy gazowej ziemi, ułożonej kocentrycznymi warstwami według ciężaru atomistycznego pierwiastków, masę tę skła-dających. Przyszło więc do krążenia, do cyrkulacji masy ziemskiej, oziębionej i cięższej z powierzchni ku środkowi i mas lżejszych o wyż-szej ciepłocie ze środka ku powierzchni, ale jednocześnie i do tego zja-wiska, że masy wydobywające się z wnętrza, gdzie zbyt wysoka ciepłota utrzymywała je jeszcze w zupełnej dysocjacji chemicznej i gdzie skutkiem tego były ciemnymi, oziębiając się na powierzchni, przemie-niały ją w jedno wielkie laboratorium związków chemicznych, a tym samym w jedną zwartą, gorejącą sferę, czyli fotosferę, z której natych-miast znowu spadały, jako oziębione i względnie cięższe ku wnętrzu, i tam ponownemu ulegały rozkładowi, póki ich znowu prąd wstępujący masy środkowej nie wywiódł na powierzchnię i nie kazał im części ich ciepła wyzionąć w zimne przestworze.

Na takich wyziewach ciepła zbiegły zapewne długie lat tysiące, zanim ziemia nie ostygła do temperatury, przy której cała jej masa mogła wejść w związki chemiczne i, skraplając się, przechodzić znowu powoli z pierwotnego stanu lotnego w stan kipijącej masy płynnej, oko-lonej gęstą atmosferą pary chemicznej. Jeżeli już przez to pierwotna objętość ziemi niezmiernie zmalała, to musiała się i nadal nie mało po-mniejszać, gdy ziemia, straciwszy jako płynna, cechy małego słonecznego globu, zaczęła nowe ilości własnego ciepła tracić niepowrotnie i tę-żać, czyli zamieniać się w stan stały i to najprzód na powierzchni, któ-rą zimne pieluchy przestworza bezpośrednio obejmowały, ale, być mo-że, i jednocześnie w swoim wnętrzu, gdzie już samo wysokie ciśnienie i nagromadzenie mas stosunkowo gęstszych sprzyjało teżeniu ich, czyli sodyfikacji. Ostatecznie przyszło do tego, że ziemia we wnętrzu swo-jem w zupełności lub częściowo jeszcze płynna, powlekła się po wierz-

chu skorupą stała, a ta znowu zaczęła się pokrywać powodzią opadów chemicznych, pochodzących ze skraplających się par ówczesnej atmosfery.

I ten ustęp z dziejów ziemi, odkąd przestała być słońcem dla mieszkańców księżycy, nie jest bez wymownych dokumentów. Jeden czerpiemy z porównania obecnej gęstości ziemi z gęstością słońca i innych planet, a z którego to porównania przekonujemy się, że słońce posiada gęstość tylko cokolwiek większą od wody, podobnie i Jowisz i Neptun, natomiast Saturn i Uranus nawet nieco mniejszą, ale za to objętością swoją i masą ogromnie górują nad objętością i masą ziemi, podczas gdy ziemia, 92 razy co do swjej masy mniejsza od Saturna, 310 razy od Jowisza, a 355000 razy od słońca, posiada gęstość $5\frac{1}{2}$ razy większą od wody, a najmniejszy z planet, Merkury, nawet blisko 7 razy większą, że tém samém gęstości gatunkowe planet i słońca wyraźnie stoją w odwrotnym stosunku do ich mas i objętości, czyli, że im planeta był *à priori* mniejszym, tém rychlej musiał uleść większemu oziębieniu i zgęszczeniu. Drugi dowód podają nam zjawiska wulkaniczne, w szczególności lawy bądź-to stare, zastygłe, bądź świeżo się wydobywające, jakotóż gorące źródła i przyrost ciepłoty z rosnącą głębokością w ziemi, skoro są one niezbitém świadectwem, że płynne rozżarzone masy istniały niegdyś w łonie ziemi i wylewały się ze szczelin jej skorupy i że dziś jeszcze nie zastygły w jej wnętrzu zupełnie, jak nie wygasło jeszcze w zupełności jej pierwotne ciepło. Zupełne zastygnięcie jest wprawdzie nieuniknionym kiedyś losem ziemi, w ślad za czém powietrze i wody oceanu, dziś przez ciepło wnętrza ziemskiego wstrzymywane już w głębi $\frac{1}{50}$ promienia ziemskiego, będą mogły wsiąknąć w ziemię aż do jej środka. Wszelako podobny los, jaki już zresztą najprawdopodobniej spotkał trabant ziemskiego, stać się może udziałem ziemi przynajmniej dopiero tyle razy później, ile razy objętość księżycy przedstawia się mniejszą od objętości ziemi.

Odkąd chemiczne opady z atmosfery, przeciążonej gazami wszelakich kwasów i zasad, zaczęły osadzać się na stałej skorupie ziemskiej w warstwy dzisiejszych skał krystalicznych, a ciepło wewnętrzne ziemi już tylko drogą przewodzenia dostawało się na powierzchnię i już częściowo tylko wynagradzało straty ciepła, jakie przez promieniowanie jego w przestworze ponosiła powierzchnia ziemi i jej atmosfera, wtedy mógł się już drugi okres w historii ziemi rozpocząć; okres, w którym pod działaniem dalszego ciągu tego samego procesu oziębienia spadły z atmosfery skroplone stopniowo masy pary wodnej, atmosfera tém samém stała się przejrzystą i równie łatwo przecieplną dla jasnych promieni słońca, jak dla ciemnych promieni ciepła, dochodzącego drogą przewodzenia do wierzchnich warstw ziemi z jej wnętrza, kiedy słowem glob ziemski zaczął coraz mniej własném, a coraz więcej żyć ciepłem słonecznym i kiedy, co właśnie najważniejsza, już pierwsze, choć jeszcze najmniej doskonałe, mogły się na ziemi pojawić istoty roślinne i zwierzęce. Jak i wśród jakich warunków obudziło się na ziemi życie orga-

niczne, nie umie jeszcze dzisiejsza geografia wytłómaczyć, podobnie jak niezdolną jest jeszcze ze stanowczém wystąpić zdaniem co do genezy ziemi samej. Biologowie dłuży ją są bowiem zarówno odpowiedzi na pierwsze pytanie, jak astrofizycy na drugie. Dalszy natomiast wątek tego okresu historii ziemi lepiej jest już znanym, bo rozświeca nam go coraz dokładniej dzisiejsza geologia. W miejsce dawniej cyrkulacji całej masy ziemskiej ze środka na powierzchnię i z powierzchni do środka, wystąpiły obecnie znacznie liczniejsze czynniki do akcyi, a działalność swą skierowały przeważnie ku modelowaniu wierzchnich warstw naszego planety. Przedewszystkiém ciepło słoneczne, zdobywające sobie coraz to więcej wpływu w miarę słabnącego ciepła własnego ziemi, jęło wywoływać do bytu ten system cyrkulacji wód oceanicznych i powietrza, który tak niezbędnym stał się odtąd warunkiem życia organicznego na ziemi, ale zarazem tak nieznużonym pracownikiem około ciągłego przeobrażania fizyognomii naszego globu. Pod działaniem bowiem chemiczném i mechaniczném powietrza i wody ulegały odtąd pierwotne skały krystaliczne wietrzeniu, wyłabianiu, podmywaniu i dostarczały w kolei czasu coraz to nowego materiału do coraz to nowych formacji osadowych, pod ich działaniem zasiewała się ziemia nasionami i nie jedno zwierzę ujrzało się popchniętém do mimowolnej wędrówki. Taż sama woda, wsiąkając w głąb ziemi, wyłabiała i wymułała w pokładach skalnych całe jamy i jaskinie, aby znów po swój dłuższej lub krótszej podziemnej odysei wydobyć się na powierzchnię ziemi w kształcie źródeł zimnych lub ciepłych, nasyconych mineralnemi częściami, lub też, dostając się jeszcze głębiej w ziemię, zamienić się w parę wodną i jako taka, posłużyć lawom za dźwignię przy wybuchach wulkanicznych. Sam nawet proces oziębiania się ziemi jęł odtąd w swych skutkach uwidocznić się głównie na powierzchni ziemi i najwięcej właśnie przyczyniać się do plastycznego urozmaicenia jej pierwotnych rysów. Oziębianie się bowiem ziemi i postępujący skutkiem tego proces tężenia jej mas wewnętrznych, jeszcze płynnych, sprowadzały za sobą z konieczności kurczenie się i ściąganie masy ziemi, czyli inaczéj opadanie jej warstw, bliżej powierzchni położonych, ku wnętrzu, zaczém warstwy te raz zrzędały na powierzchni, tak jak i dziś w znaczéj części wypadków zrzędzają, trzęsienia ziemi, drugi raz, dostając się do coraz to ciałniejszych miejsc w łonie ziemi, usiłowały odzyskać w kierunku pionowym to, co traciły na swém pierwotném rozpostarciu w kierunku horyzontalném, t. j. układały się w większe lub mniejsze fałdy, tém samym podobne zapadania się i spiętrzania warstw wywoływały na powierzchni ziemi i w ten sposób ostatecznie dawały początek kotlinom oceanicznym z jednéj, a łądom i ich rzeźbie pionowój, t. j. nizinom, wyżynom i pasmom gór z drugiej strony. Jaka zaś współcześnie przypadała geologiczna rola światu organicznemu, opowiadają o tém choćby tylko dzisiejsze pokłady węgla kamiennego lub brunatnego i całe archipelagi wysp koralowych.

Innego wszakże jeszcze rodzaju czynnik geologiczny zasługuje

w tym okresie na osobną uwagę. Był nim klimat i jego stopniowe zmiany. Dziś nie podlega już żadnej wątpliwości, choć rozświecenie wszystkich przyczyn w tej mierze pozostawia jeszcze bardzo wiele do życzenia, że klimatyczne warunki ziemi, odkąd tylko takowa ujrzała się pod wpływem ciepła słonecznego, były wcale odmiennymi od dzisiejszych, że np. jeszcze na początku formacji kredowej posiadała Grenlandya klimat podobny temu, jaki dziś panuje na wyspach Kanaryjskich, a nawet jeszcze w dobie miocenicznej świat polarny północny cieszył się klimatem, jaki dziś jest własnością środkowej Europy, że przez to samo istoty organiczne nie tylko musiały być, lecz były rzeczywiście dawniej innymi i inaczej na ziemi rozmieszczonymi, jak o tym świadczą ich skamieniałości, i to przy każdej stopniowej zmianie klimatycznej innymi i inaczej rozpostartymi; że przeto jednym słowem zmiany klimatu w ciągu peryodów geologicznych były jednym z najważniejszych czynników, który przekształcał formy i typy roślinne i zwierzęce, zanim nie sprowadził tych między innymi różnic, jakich jesteśmy świadkami dzisiaj, gdy klimat ziemski już się o tyle ustalił, że stał się produktem jedynie wpływów słońca i warunków lokalnych na ziemi.

Zmiany, jakim klimat ulegał w ciągu drugiego okresu historii ziemi, podzielonego znowu przez geologów na szereg peryodów, są tym ważniejsze, że wśród nich to, i właśnie niedługo przed ustaleniem się dzisiejszych stref klimatycznych na ziemi, pojawiła się najszlachetniejsza z istot organicznych — człowiek. I jest to jedyne zdanie, jakie nauka dzisiejsza może śmiało wypowiedzieć w kwestyi przyścia na świat człowieka. Bo choć jęj nie brak już pewnych umiejętnych argumentów, przemawiających za tym, że już do czasów poprzedzających diluwium należałoby cofnąć genezę człowieka, ścisłe oznaczenie daty tego najważniejszego w dziejach ziemi wypadku niezdołnym jest mimo to podziś dzień jeszcze wybrnąć z dziedziny więcej lub mniej prawdopodobnych przypuszczeń i wniosków. Pewniejsza natomiast, że człowiek był już „diluvii testis” i że w starym świecie, najprawdopodobniej w Azji, miał swą kolebkę.

Tém niewątpliwsza jeszcze, że pojawienie się człowieka na ziemi było rzeczywiście najważniejszym w dziejach ziemi wypadkiem. Nie tylko bowiem przybywało w człowieku nowe, oryginalne, najdoskonalsze ogniwo w łańcuchu jestestw organicznych, lecz jednocześnie przybywała z człowiekiem nowa siła, z którą odtąd sama nawet ziemia liczyć się miała, bo jedyny czynnik, dzierzący w sobie zadatek i możność oddziaływania do pewnego stopnia na świat go otaczający, t. j. posiadający warunki do częściowego przynajmniej modyfikowania przyrodzonych stosunków pojedynczych okolic ziemi, do pożytkowania dla swych celów sił przyrody i poddawania ich zbyt często pod wolę swą i kierownictwo, a tém samym do częściowego przynajmniej emancypowania się z pod ich wpływów; słowem czynnik, który tém oddziaływaniem tylko miał właśnie pisać na ziemi swą własną historję, zostać w własnej osobie zarówno autorem, jak przedmiotem cywilizacji. Słu-

szna téż od pojawienia się człowieka na ziemi datować nowy, trzeci okres w dziejach ziemi; okres, w którym dzieje te niejako się rozszczepiają między dwóch bohaterów, między potęgi przyrody z jednej, a geniusz ludzki z drugiej strony. Nie pierwój zresztą, jak dopiéro od wystąpienia rodu ludzkiego, zyskała sobie sama ziemia własnego obserwatora i historyografa.

Geografia, wysnuwszy w ten sposób z pomocą astronomii, astrofizyki, biologii, geologii i paleontologii dzieje ziemi aż do przyjscia na świat człowieka, zwraca się odtąd do pomocy innego rodzaju pracowników, ażeby zbadać stan obecny ziemi, poznać jój organa i tychże funkcje, na ich podstawie wytlómaczyć znowu warunki bytu dzisiejszój flory i fauny ziemskiej a ostatecznie rozjaśnić warunki kulturalne i cywilizacyjne rozproszonych po ziemi plemion jednéj wielkiej familii rodu ludzkiego.

Najprzód więc na podstawie całej seryi pomiarów geodetycznych oznacza geografia wielkość i kształt ziemi a w szczególności wykazuje, oparta na doświadczeniach z wahadłem sekundowém, że ziemia nie jest doskonałą kulą, że nawet nie jest dokładnym sferoidem, że mianowicie istotny jój kształt wcale znacznie się różni od idealnego sferoidu, że nawet poziom morza nie jest prawdziwym, sferoidalnym poziomem, skoro w pobliżu lądów wody oceanu doznają atrakcyi i pewnego skutkiem tego podniesienia. W każdym razie spłaszczenie u biegunów a nabrzmienie w pasie równikowym zbyt są wybitnemi, aby nie należało ich przypisać ruchowi wirowemu ziemi, a tém samém ruch ten stwierdzić. Ruchem tym tłómaczy wszakże geografia i cały szereg innych zawistych od niego zjawisk, jakoto: pionowy kierunek wzrastania roślin, zbaczanie prądów morskich, wiatrów i rzek na północnej półkuli ziemi na prawo, a na południowej na lewo, zbaczanie spadających na ziemię ciał zawsze nieco ku wschodowi i nareszcie pozorny obieg wszystkich ciał niebieskich naokół ziemi w ciągu 24 godzin, a przedewszystkiém słońca. Pozorne ruchy wszystkich gwiazd w ciągu roku, czyli t. z. aberracya światła, pozwalają geografii z kolei rozwiać w równym mierze wszelkie wątpliwości co do drugiego ruchu ziemi, t. j. jój rocznego obiegu około słońca i wytlómaczyć w ten sposób z pomocą ruchu pierwszego, wirowego ziemi, pory dnia, a z pomocą drugiego pory roku i strefy ziemskie. Płaszczyzna, po której obiega ziemia naokół słońca, idealna linia osi świata, będąca przedłużeniem osi ziemskiej, płaszczyna, na której leży równik ziemski w przestworzu i nareszcie horyzonty pojedynczych miejsc na ziemi obok różnic czasu w różnych miejscach na ziemi, pochodzących z jój wirowego ruchu—oto znowu elementy, z pomocą których w dalszym ciągu geografia poucza o sposobach orientowania się na niebie, a przedewszystkiém orientowania się na ziemi, t. j. oznaczania szerokości geograficznój miejsc i ich długości geograficznój.

Z takimi to zasadniczymi wiadomościami dopiéro wybiera się ziemioznawstwo w wędrówkę po ziemi, mierzy lądy i oceany, oznacza

wzajemny stosunek ich powierzchni i ich rozmieszczenia, szuka w ich ustroju zewnętrznym podobieństw i różnic, bada ich rozczłonkowanie, czyli ustrój poziomy i oznacza, które lądy są przystępniejszemi z zewnątrz, a więc i więcej powołanemi do oddziaływania na zewnątrz. Te fizyograficzne badania i porównywania dają geografii tém jeszcze nieomylniejsze już z góry wskazówki na cywilizacyjną misję pojedynczych lądów, gdy drogą niwelacji, lub pomiarów geometrycznych, barometrycznych, albo termometrycznych, bada plastyczną rzeźbę lądów i stosunek pojedynczych form plastycznych względem siebie w granicach pojedynczych kontynentów. Od niedawna zdobyła sobie geografia i środki w podobny sposób porównywać ze sobą i kotliny oceaniczne, t. j. płastykę ich dna, odkąd mianowicie sondami i batometrami zaczęła mierzyć głębokość oceanów. W ostatnich téż dopiero czasach ujrzała się w możności oznaczyć stosunek, jaki zachodzi między masą lądu stałego a masą wód oceanicznych. I stosunek ten okazał się wielce korzystnym, skoro masa lądów, o ile te sterczą ponad poziomem morza, przedstawia się blisko $22\frac{1}{2}$ razy mniejszą od masy wody, a blisko $2\frac{1}{2}$ razy mniejszą, jeśli się liczy masę lądów od poziomu dna morskiego, z którego właśnie wznoszą się ich piedestały. Korzystnym zwie zaś geografia ten stosunek dla tego, że ocean jest w pierwszej i ostatniej instancji źródłem téj wilgoci i tych opadów atmosferycznych, które używają lądy, i że przeto, skoro nie wszystka opadająca na lądy woda wraca rzekami napowrót do oceanów, będąc albo mechanicznie absorbowaną, albo chemicznie więzioną przez skały lądów stałych, tak, że jak to obliczono, już $\frac{1}{17}$ część pierwotnej masy wody została dotychczas z oceanów niepowrotnie wyczerpaną, lądy ziemi nie mają powodu jeszcze na długie lat tysiące obawiać się zabójczej dla ich życia organicznego posuchy.

Stosunek lądów do oceanów i ich wzajemne rozmieszczenie, to próg, po którym ziemioznawstwo wstępuje w dalszym ciągu w dziedzinę fizjologii ziemi, t. j. stosunków jęj ciepłoty oraz zjawisk i praw cyrkulacji jęj powietrza i wody, czyli w dziedzinę meteorologii i klimatologii. Stosunek bowiem lądów do oceanów i ich wzajemne rozmieszczenie, stanowi wraz z działaniem promieni słońca na ziemię i jęj wirowym ruchem główne właśnie czynniki, regulujące stosunkami ciepłoty, ciśnienia powietrza, wiatrów i opadów atmosferycznych w różnych okolicach ziemi. Zdawałoby się, że, skoro część geografii, o tych stosunkach traktująca, nie zdołała dojść jeszcze do pewników, z pomocą których mogłaby się pokusić o prognozę, t. j. o przepowiadanie stanu powietrza, musi tém samém rozporządzać jeszcze bardzo szczerpłemi wiadomościami. Tymczasem jestto tylko po części prawdą. Meteorologia, choć stosunkowo bardzo młoda umiejętność, może się pochwalić od ostatnich lat trzydziestu, w ciągu których liczba stacyi, t. j. obserwatoryów meteorologicznych, niezmiernie wzrosła, zdobyczami pierwszorzędnej już doniosłości, nawet praktycznej, i rezultatami, które wykryły niedługo już prawo tam, gdzie niedawno jeszcze oko zwykłych spostrzega-

czy widziało tylko ślełą walkę rozszalałych żywiołów. Oto najprzód, co do rozpodziału ciepłoty na ziemi, wykazała meteorologia, że temperatura pewnego miejsca nie od saméj tylko szerokości geograficznój tegoż, czyli oddalenia od równika ziemskiego zależy, lecz, że nadto zależy jest od stopnia przecieplności atmosfery w témże miejscu, od położenia tegoż miejsca nad morzem, które powoli się ogrzewa i powoli stygnie, lub w środku lądów, które natomiast szybko się ogrzewają, ale i szybko oziębiają, nadto od panujących prądów atmosferycznych, od sąsiedztwa ciepłych lub zimnych prądów morskich i od wielkości wzniesienia danego miejsca ponad poziom morza, że przeto, w skutek tego miejsca o jednéj i téj saméj temperaturze średniój roczniój, bynajmniej nie mogą leżeć i nie leżą na jednych i tych samych równoleżnikach, lecz na zupełnie innych, krzywych liniach, zwanych isotermicznymi. Ponieważ zaś stosunki ciepłoty na ziemi, zależą od tak wielu warunków i okoliczności, a nadto podlegają ustawicznym zmianom, ze względu na zmieniające się położenie ziemi względem słońca w ciągu roku, przeto nie dziwna, że roczny przebieg temperatury jednych i tych samych miejsc w ciągu szeregu lat musi być i jest rzeczywiście nadzwyczaj niestałym, i że średnia temperatura roczna miejsc staje się dopiero tém pewniejszą, im z większego okresu lat odbytych spostrzeżeń zechcemy ją oznaczyć. Prócz tego zebrała meteorologia dostateczną ilość danych, które jéj dowodzą, że jakkolwiek zimne powietrze jest cięższém, a ciepłe lżejszém, mimo to roznieśczenie ciśnienia powietrza na ziemi bynajmniej nie może się tłómaczyć w zupełności samém rozpodziałem ciepłoty, czyli inaczej, że na zmiany ciśnienia powietrza muszą działać obok zmian temperatury inne jeszcze przyczyny. Skoro wszakże te ostatnie nie zostały jeszcze przez naukę dostatecznie określone, przeto nie posiada meteorologia jeszcze i środków do oznaczania już naprzód kierunku wiatrów, które niczém właśnie inném nie są, jak napływem powietrza z okolic wyższego ciśnienia atmosferycznego do okolic niższego stanu barometru, i które téż jako takie sprowadzają bądź pogodę, gdy płyną z północy ku południowi, bądź opady, gdy z nad oceanów okolic cieplejszych unoszą ze sobą parę wodną i, płynąc ku okolicom zimniejszym, takową stopniowo skraplają. Trudność w stawianiu umiejętnych horoskopów meteorologicznych na krótszy lub dłuższy czas naprzód wzmaga się tém więcej, że częstokroć przychodzi nagle z przyczyn, również nie dających się jeszcze dokładnie wytłómaczyć, do anormalnych wirowych wzburzeń atmosfery, zwanych orkanami lub cyklonami, które co do swéj roczniój ilości zdradzają wprawdzie pewną peryodyczność, ale natomiast pojedynczo wzięte, są zjawiskiem nieperyodycznym. Trudności ztąd powstające, dla prognozy meteorologicznój, muszą się nam jeszcze większemi przedstawić, jeżeli się zważy, iż w ostatnich latach wykryła meteorologia w peryodycznie powtarzających się maximach i minimach plam słonecznych nowy jeszcze czynnik, wywołujący taką samą mniejwięcej jedenastoletnią peryodyczną zmienność niemal we wszystkich zjawiskach meteorologicznych,

a jednocześnie zdobyła sobie pewność, jak dalece sam nawet człowiek wpływa na zbroczenia klimatyczne w pewnych okolicach przez trzebieżenie lasów lub też przez zalesianie krain pierwotnie bezleśnych, przez nawadnianie całych okolic lub osączenie ich i osuszanie, i znowu jak mało posiadamy prawa do poczytywania, z wyjątkiem jedynie szerokości i długości geograficznej, samychże najgłówniejszych tellurycznych warunków klimatu, jako to: wzniesienie miejsc ponad poziom morza, wysokość gór, które zagradzają drogę bądźto wiatrom zimnym, bądź ciepłym i wilgotnym, sąsiedztwo pewnych miejsc z jeziorami, rzekami, morzami i nareszcie stosunek areału lądów do obszarów wód oceanicznych, za stałe i niezmiennie, skoro wszystkie te warunki klimatu są przemijającymi i zmiennymi. Nie jest bowiem rzeczą już więcej tajną, wobec danych geologicznych, że w dłuższych okresach czasu, rzeki zmieniają swój bieg i ujścia, podczas gdy jeziora i moczary w jednej okolicy ziemi stopniowo wysychają, a tworzą się natomiast gdzieindziej nowe, że podobnie i góry ustawicznie się obniżają, tracąc materyał, z którego są zbudowane, pod erozyjnym działaniem powietrza, wody, lodników, podczas gdy gdzieindziej całe obszary ziemi zwołna się dźwigają lub opadają skutkiem kurczenia się ziemi i fałdowania jej warstw wewnętrznych, a jeszcze gdzieindziej całe płaty lądu suchego wyłaniają się z morza lub przeciwnie właśnie pod destrukcyjnym wpływem fal morskich obrywają się i zapadają w wodę, co wszystko, nie będąc bez wpływu na kontury lądów i ich plastykę, kierunek wiatrów, przebieg prądów morskich, to znowu na stosunki ciepłoty, wilgoci i opadów, sprawia tém samém, że i te stosunki meteorologiczne ustawicznie, choć nader powolnie ulegają zmianie, a tém trudniejszej znowu do odmierzenia lub obliczenia, że brak nam w tój mierze po dziś dzień jeszcze miar niemylnych i dat, z dłuższego pochodzących peryodu czasu, a dających się zestawic i ze sobą porównać. W obec takiego zaś stanu rzeczy, łatwo zrozumieć, że o absolutnie stałym, niezmiennym klimacie, czyli to w pojedynczych strefach ziemi, czy w jakimbądź punkcie na globie ziemskim nie może być mowy. A jednak wzmaga to tylko niepopolicie tryumf dzisiejszej meteorologii, że ta przy tylu, a tak niesprzyjających okolicznościach nie tylko znalazła sposób przepowiadania z wielkim prawdopodobieństwem stanu powietrza przynajmniej na dzień następny, lecz, że oraz zdobyła sobie podstawę do wykrycia i zbadania tych jeszcze tajemniczych przyczyn i wpływów, od których zależy najwალniejsza zmiana w stosunkach atmosfery, t. j. zmiana ciśnienia powietrza i jego rozmieszczenia na kuli ziemskiej. Sposobem tym zaś i środkiem są tak zwane synoptyczne mapy meteorologiczne, kreślone w głównych zakładach meteorologicznych na podstawie przysyłanych telegrafem co dzień rano stanów powietrza ze stacyj meteorologicznych drugorzędnych. Z map tych bowiem uwidocznia się natychmiast, przedewszystkiém rozmieszczenie ciśnienia powietrza na większych obszarach, t. j. położenie jego maximum i minimum, a tém samém uwidoczniają się kierunki i siła wiatrów, jakich się należy spodziewać. W miarę, jak ilość stacyj meteorologicznych będzie się mnożyć i umiejtne, metodyczne obser-

wacye stanu powietrza coraz to większe będą sobą obejmować obszary ziemi, a wszczególności gdy pomnożą się obserwatoria meteorologiczne na górach i gdy balony znajdą większe niż dotychczas zastosowanie do badań temperatury i wiatrów w wyższych warstwach atmosfery, zyska naturalnie i prognoza meteorologiczna, na mapach synoptycznych się opierająca, na coraz to większej pewności i będzie mogła wyrokować o stanie powietrza, o coraz to więcej dni naprzód. Wtedy także, t. j. gdy meteorologia rozporządzać będzie większą ilością własnych stacyi, rozrzuconych po całej ziemi, będzie w stanie orzec o istocie i prawach elektryczności i magnetyzmu ziemskiego, które po dziś dzień są jeszcze zagadką tak, jak i ich wpływ na stan powietrza.

Łądy, ich rozmieszczenie i plastyka, atmosfera i hydrosfera, składają się razem w warunki, wśród których odbywa się byt i rozwój życia organicznego na ziemi, tworzącego niejako osobną jej sferę—biosferę. W ten sposób przechodzi geografia w dalszym ciągu do rozpoznania praw rozmieszczenia na ziemi roślin i zwierząt. I prawa te, za wskazówkami klimatologii, dają się rzeczywiście bez większego trudu odszukać i stwierdzić, i znowu na ich zasadzie dają się na globie ziemskim w przybliżeniu nakreślić granice całych formacyi roślinnych i państw zwierzęcych, pewnym okolicom i ich warunkom charakterystycznych i właściwych. Trudniejszém wszakże staje się już zadanie, gdy idzie—a co geografii istot organicznych najwięcej obchodzi, o wytómaczenie tych różnych form i typów, na jakie się rozprysło życie organiczne w ogóle, gdy idzie o wykrycie ich początku, a tam, gdzie zachodzą pewne podobieństwa w typach i formach, pomimo różnicy okolic i ich oddalenia wzajemnego, o wysledzenie przyczyn tych podobieństw i pokrewieństw. W tych pytaniach widzi się geografia zmuszoną jeszcze pomagać sobie hipotezami, raczej tą hipotezą, która, czerpiąc swe argumenty z paleontologii, t. j. z rozwoju jestestw organicznych przeszłych peryodów geologicznych, pragnie z wątkiem tego rozwoju połączyć i dzisiejszy kalejdoskop stworzeń, t. j. dzisiejszy świat roślinny i zwierzęcy wysnuć ze skamieniałego, i która tém samém jest jedyną, mogącą rościć sobie pretensye już nawet do tytułu teoryi ściśle naukowej. Ona jedna, teorya Darwina, próbuje bowiem wytómaczyć umiejętnym językiem, t. j. wędrówkami organizmów, ich walką o byt i zastosowywaniem się do warunków otoczenia, to najprzód pochodzenie całych rodzin, to ich podobieństwa w różnych okolicach ziemi, to nareszcie ich różnice na miejscu, słowem, tę mozaikę florystyczną i fauniczną, która takim wdziękiem przybiera fizyognomię ziemi, a nie ma dla siebie kresów ni w strefach biegunowych, ni na dnie oceanów, choćby pod ciśnieniem kilku tysięcy metrów wysokiego stupa wody, i która, co rzecz najcharakterystyczniejsza, wykazuje dziś w przestrzeni ten sam łańcuch form i typów od najmniej do najwięcej doskonałych, jaki wytworzył się niegdyś w czasie, w długiej kolei lat tysięcy. Prawda, i dzisiejsze stosunki fito- i zoogeograficzne nie przedstawiają się absolutnie trwałemi. Lokalne bowiem zmiany kli-

matyczne potworzyły już niejedną szczyrbę w geograficzném rozpostarciu i rozmieszczeniu pewnych roślin i zwierząt, a tém większe jeszcze zrządził swą kulturą człowiek, tępiąc drapieżne, a rozmnażając i rozpościerając oswojone przez siebie zwierzęta i rozsiewając uprawne rośliny kosztem obojętnych lub na razie mniej mu korzystnych. I w rozmieszczeniu flory i fauny przeto, podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach i kierunkach swych badań, stwierdza i stwierdzać musi geografia obok norm bytu jednocześnie i prawa ciągłej, choć powolnej zmienności.

A człowiek? cóż wie o nim dzisiejsza geografia?

Ustawwszy go na wierzchołku piramidy jestestw organicznych już z samych względów cielesnej jego organizacyi i oznaczywszy w przybliżeniu czas i miejsce jego pojawienia się na ziemi, ku czemu czas i miejsce pojawienia się najdoskonalszych zwierząt ssących, są dla niej, jak na dzisiaj, najsilniejszą podstawą, geografia odbywa i w swój etnograficznej części podwójną wędrówkę, jedną w czasie, drugą w przestrzeni, celem poddania człowieka jaknajdokładniejszemu porównawczemu studyum i odkrycia pedagogicznych wpływów ziemi, zarówno na jego cechy cielesne, jak i na jego stan kultury. Zagląda więc zarówno do antropologii przedhistorycznej, zabytków archeologicznych i paleontologii językowej, jak do antropologii porównawczej dziś żyjących ludów, do lingwistyki porównawczej, do historyi kultury i znowu do kultury porównawczej, którą zresztą sama najwięcej dopomogła zbudować i sama najwięcej się trudni, i przychodzi w ten sposób do tój kardynalnej zdobyczy, że pojedyncze typy w rodzie ludzkim, czyli tak zwane rasy, nie były czémś pierwotném, że owszem wytworzyły się dopiero kolejno, że mianowicie coraz to młodsze, późniejsze typy, musiały być coraz to dzielniejszymi, i że rozpościeranie się ich po ziemi odbywało się zawsze kosztem poprzednich, starszych typów, stojących stosunkowo niżej zarówno pod względem cielesnej organizacyi, przedewszystkiém czaszki, jak pod względem kulturalnym, i że niedarmo właśnie na najniższym szczeblu kultury stojące ludy, utrzymały się po dziś dzień jeszcze u samych krańców i kończyn kontynentów lub po części w ich trudniej dostępnym środku, skoro wyraźnie rozsiadły się one niejako na obwodzie koła, w którego wnętrzu przychodziło właśnie do wytwarzania się coraz to nowych, doskonalszych typów ludzkich, a z którego rozchodzące się plemiona parły przed sobą, jakby w kierunku rozbiegających się promieni tego koła, ludy o archaistycznych typach i starszego początku.

Taką samą, drugą zasadniczą zdobyczą etnografii dzisiejszej, jest, że języki, jakie dziś spotykamy u ludów, od najmniej do najwięcej wykształconych, że systemy ich religijne, począwszy od fetysyzmu, aż do zasad chrystyanizmu, że nareszcie ich tyle rozmaite stopnie kultury, poczynając od najskrajniejszego barbarzyństwa i braku pewnego wybitnego zatrudnienia, tworzą dziś w przestrzeni taką samą skalę, w jaką układały się w czasie w ciągu dziejów rozwoju człowieka; że przeto dziś jeszcze, współcześnie po tych „skamielinach” history-

cznych, jakie się nam utrzymały w ludach barbarzyńskich (niesłusznie wszakże nazywanych „dzikimi”), możemy odmierzać etapy postępu, przez które ród ludzki przechodził niegdyś w historii swego rozwoju. W ten jedynie sposób rozumié téż geografia i tónomacy, dlaczego ludy starsze i niższe typem cielesnym i kulturą, takim jawią się dziś uderzającym anachronizmem w obec cywilizowanej części rodu ludzkiego i dlaczego naodwrot czują się same względem niej tak dalece obcemi, że albo w zetknięciu się z nią zastraszającą wymierają szybkością, albo, krzyżując się z ludami cywilizacji. dopiero następnym, ale już mieszanym, nieczystym rasowo pokoleniom, zostawiają możność zbliżenia się i zbratania z narodami, górującemi oświatą.

Po nici podobnych problemów, przechodzi etnografia z kolei tém wyraźniej jeszcze z dziedziny przyrodoznawstwa na pole historii człowieka, we wszystkich jój kierunkach badanej, gdy, rozbierając zwyczaję, obyczaję, kulturę i dziejowe losy pojedynczych ludów, zestawia je ze sobą i porównywuje, i gdy odnosi je do położenia geograficznego ich siedzib, do fizycznych warunków miejscowych, do otoczenia, w jakich się te ludy znajdują, i do wpływów, jakim ulegały lub ulegają ze strony swych dawniejszych i dzisiejszych sąsiadów. Wtedy bowiem zyskuje sobie niewzruszone dane ku wytłómaczeniu przyczyn téj całej drabiny kultur, jakie się dziś obok siebie znachodzą w przestrzeni, a jakie niegdyś po sobie wytworzyły się w czasie, a mianowicie odkrywa te przyczyny raz w rozpościeraniu się człowieka z okolic ziemi o najobfitszych stosunkowo płodach surowych i najłagodniejszych warunkach klimatycznych do okolic, apelujących do coraz to twardszój walki o byt, drugi raz w odosobnieniu geograficzném, w jakim się pewne ludy, bądźto skutkiem mimowolnych wędrówek, bądź téż przez odcięcie się ich siedzib, skutkiem zapadnięcia się i zatopienia pewnych, dawniej istniejących łądowych przesmyków, ujrzały, albo nareszcie w łatwém właśnie ścieraniu się i komunikowaniu innych znowu familii ludów między sobą, a tém samém w ciągłym zsumywaniu się i bogaceniu ich doświadczeń. Wtedy również z łatwością geografia odpowiada na pytania, dlaczego dzisiejsze ludy barbarzyńskie były właśnie aż do czasu zetknięcia się z nimi ludów cywilizowanych najzupełniej izolowanemi, dlaczego od niepamiętnych czasów, aż po dni ostatnie, pozostały niezmiennie na jednym i tym samym szczeblu kultury: w lasach strefy tropikalnej, jak naprzykład w Brazylii, jedynie zbieraczami owoców w nieprzebranej obfitości dziko rosnących w lasach lub na stepach strefy umiarkowanej mięsożernemi łowcami, nad większemi rzekami i morzami rybołowcami, i dlaczego tém samém były i zostały biernemi, niehistorycznemi ludami, a dlaczego natomiast inne ludy, mogące łatwiej oddziaływać na siebie i wśród korzystniejszych warunków miejscowych rozwielmożnione, przedewszystkiém nad rzekami, które peryodycznemi wylewaniami, jak Hoangho, Ganges, Nil, Eufrat i Tygrys, doliny swe same użyzniały i niemal uprawiały, lub wśród najumiarkowańszych zjawisk przyrody, jak na wyżynie Peruwii

i Meksyku, zagospodarowały się na zupełnie inną modłę, dlaczego mianowicie rzuciły się do uprawy roślin chlebobajnych i hodowli bydła i swe pierwiastkowe namioty zamieniły w stałe chaty, aby z konstrukcji tychże i z najpierwotniejszych narzędzi rolniczych, jako też z wymiarów swoich pól ornych i przestrzegania ich nietykalności, wznieść się długą koleją stuleci do arcydzieł dzisiejszej sztuki, do narzędzi i wynalazków takich, jak lokomotywa, telegraf, fonograf i t. p., do rachunku różniczkowego, geodezyi lub pomiarów parallaksy ciał niebieskich, do kodyfikacji ustaw i do instytucji państwa prawnego, słowem do tej cywilizacji, która jedna ochrzciła je dopiero dumnym, ale zasłużonym tytułem ludów czynnych, ludów historycznych quand même i uposażyła zarazem w środki do rozniesienia jej, o ile tylko klimatyczne warunki nie stają temu na zawadzie, tam nawet, gdzie po dzień uganiał tylko w pełni swój dziewiczej swobody, wśród dziewiczych borów, myśliwy nie lepiej uzbrojony od troglodyty z doby marmuta.

Jeżeli po tém wszystkiém ziemioznawstwo przystępuje jeszcze do szczegółowego opisu pojedynczych łądów i terytoriów, to według ich naturalnych, to państwowych, czyli politycznych granic, to już prosto zastosowuje tylko normy i rezultaty, jakie sobie zdobyło, i metodę, jaką się postugiwało w swój fizycznej i etnograficznej części, do szczegółowych danych krajów i stwierdza, że dzisiejszy stan danych krajów niczém inném nie jest, jak tylko rezultatem ich warunków fizycznych i zasobów surowych z jednej a dziejów ekonomicznych i politycznych ich mieszkańców z drugiej strony, czyli inaczej, że jest ostatnim właśnie, lubo znowu chwilowym tylko, przejściowym wyrazem oddziaływania otoczenia na jego mieszkańców i mieszkańców na ich otoczenie w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu. Umiejętnym owocem tej zastosowanej, szczegółowej geografii jest wszakże toż samo przeświadczenie, jakie wynosi ziemioznawstwo z porównawczego studium pojedynczych warunków i zjawisk fizycznych i biologicznych, to jest że każda formacja społeczna i każdy stosunek w życiu społeczném, jest prosto tylko wypadkową całego łańcucha przyczyn i wpływów fizycznych i historycznych; że przeto ziemia zarówno w swój całości jak i w każdej swój części i w każdym swym organie jest rzeczywiście „domem wychowawczym” człowieka. Niemniej i owoc praktyczny jest jednym i tym samym, czyli doń dochodzimy drogą badań analityczno-porównawczych pojedynczych form, zjawisk i warunków, czyli téż drogą badań syntetycznych nad pojedynczemi krajami wraz z całym zasobem ich warunków fizycznych i form życia. Jest nim mianowicie również pedagogiczny, choć innego rodzaju wpływ na człowieka, to jest poprawa jego sądów i sprawiedliwsza miara własnej jego roli w wspólniejszej organizacji przyrody.

Nie tu już wszakże kres wiedzy i działań niezmordowanej w badaniach a tak wszechstronnej nauki o ziemi. Jakkolwiek ściśle ograniczona przestworzem, ziemia nie jest bowiem jeszcze znaną człowie-

kowi we wszystkich swych częściach i we wszystkich organach. Jak teleskopem uzbrojone oko astronoma zatrzymuje się jeszcze przed ciętami wszechświata, które dopiero optyczne instrumenty przyszłości odkryją i rozpoznają; jak świder górnik lub geologa nie odważył się jeszcze przebieć skurupy ziemskiej nawet tak głęboko, jak zanurzył się w łono gór wierząc tunele, jak aeronauta nie zdołał dotrzeć jeszcze do górnych kresów atmosfery: tak samo i podróżnik-odkrywca, ów pionier geografii, nie odkrył jeszcze całej powierzchni ziemi, choć stąpa po niej tak dawno, jak starą jest w ogóle historia człowieka. Jeszcze dziś po tak mnogich wyprawach odkrywczych i badawczych, kryje się glob ziemski bardzo znaczną częścią swoją w pomroce niewiadomości i jakby chciał człowiekowi przywoływać na pamięć skromność, o której tenże tak często w swych porywach fantazyi, dyalektyki, sofisteryi lub spekulacyj filozoficznych zapomina, ciągle jeszcze wzbrania się uporczywie zrzucić z siebie ostatnich strzępów swój zasłony i wyjawić mu ostatnich swoich mysteryów. Oto okolice bieguna północnego, płat ziemi o promieniu 8—14 stopni szerokości geograficznej, pozostają ciągle jeszcze geograficzną terra incognita, i trudno przewidzieć, kto i kiedy przedrze się przez jego tajniki. Tém większą lukę tworzy w naszej wiedzy geograficznej świat biegunowy południowy, obejmujący sobą obszar dwa razy większy od Europy. A jednak nie sama tylko niska temperatura, nie same tylko wieczne śniegi i lody zawalają cywilizacyi dzisiejszej drogę do jój rozpościerania się w przestrzeni, jak w ogóle zbudowały od dawien dawna niegościnne szańce przeciw trwałemu osiedleniu się poza nimi człowieka. Gdzieindziej podobną zawadę zbudowały odkrywcom śpiętkę i suche pustynie lub nieprzejrzane stepy, lub znowu zbyt wysoka temperatura i zbyt wielka wilgoć powietrza i ziemi, które nietylko bujnie rozrosła vegetacyę strefy gorącej splatają w nieprzebyte, zwarte lasy, rojące się nadto od jadowitych i drapieżnych zwierząt, lecz nadto zbyt często także zapewniają powietrze temi zabójczemi wyziewami, które już tylu podróżnikom miało sławy, zgotowały przedwczesny grób w dalekiej obczyźnie. Gdzieindziej jeszcze, dla podboju ziemi przez geografją, nie małą jest zaporą sam nawet człowiek. Mianowicie w łonie Afryki równikowej, już i tak ze względów klimatycznych niezmiernie trudno dostępną dla synów inną, umiarkowaną strefy, rozlegają się jeszcze obszary, niemal tak wielkie jak pół Europy, nieznane nam wprost z winy mieszkających tam, ciemno zabarwionych krajowców, którzy szczególniejszą pałają nieufnością ku białym, a o których barbarzyństwie najlepiej podobno świadczy praktykowane jeszcze przez pewne ich plemiona ludożerstwo. Swobodna praca odkrywco-badawcza tém więcęj jeszcze utrudnioną musi się nam z tego względu przedstawić, że są nawet cywilizowane ludy—żółtej, mongolskiej rasy—jak Chińczycy, Tybetanie, Koreanie, Birmańczycy, Anuamici i t. p., które wychowane od wieków w ciasniejszych kołach wpływów i wyobrażeń aniżeli ludy białe, przywykły tak dalece do izolacyi w swych siedzibach na wschodnim, geograficznie już

niebotycznymi górami, pustyniami i oceanem odosobnionym biegunie starego świata, że przybysz z Zachodu jest dla nich ciągle jeszcze równie obcym intruzem, jak jego najczyściej nawet naukowe cele podejrzanymi i niebezpiecznymi i ciągle jeszcze musi w ich krajach zwalczać niechęć i opór lub wprost wracać się z przed ich granic, pilnie przed nim strzeżonych.

Nie będąc zaś dotychczas w stanie przy podobnych warunkach poznać całej ziemi, nie zdolną jest też jeszcze geografia nakreślić w całości dokładnego wizerunku ziemi i wykończyć kartograficznie wszystkich jej rysów i zarówno nie zdolną jest jeszcze sprzegnać wszystkich ogniw swych specjalnych studyów w jeden zainknieity łańcuch, skoro brak jej jeszcze wielu ważnych dat paleontologicznych, geologicznych, orograficznych i hydrograficznych; brak jej lepszej znajomości pewnych form powierzchni ziemi, jak np. wyżyny tybetańskiej i Pamiru, brak jej zbadania wielu jeszcze gatunków roślin i zwierząt a przede wszystkim tych danych klimatycznych, jakie staną się jej udziałem, gdy dotrze w samo sąsiedztwo jednego i drugiego bieguna ziemskiego i będzie w stanie tam nawet swoje meteorologiczne założyć stacje. Szczególnie zapuszczając się coraz dalej na północ i południe, w strefę arktyczną i antarktyczną, zanurzając swe sieci i termometry coraz głębiej w oceanach biegunowych, wydobywając skamieniałości ze starych pokładów Spitzbergu, Grenlandyi, Kraju Wrangla (czyli Nowej Kolumbii), lub ładu Wilkesa i Wiktoryi, oraz obserwując tam coraz pilniej ruchy gór i kier lodowych, różę wiatrów, kierunki prądów morskich i tyle ciekawe zjawisko, jakim jest zorza polarna, obiecuje sobie geografia niepospolite żniwo zdobyczy we wszech gałęziach badań ludzkich, bo wtedy dopiero odsłonią się jej w zupełności tajemnice życia pulsującego wśród tak napozór anormalnych warunków, wtedy zdobędzie sobie cały szereg nowych zjawisk i przedmiotów do swoich porównań, wtedy dopiero rozwiąże nie jedną zagadkę klimatyczną, tkwiącą, jak się zdaje, właśnie w ruchach lodów polarnych i wtedy, być może, roztworzy się jej dopiero to laboratorium, do którego podziś dzień z tak małym skutkiem szukała i szuka ustawicznie klucza, a w którym zdaje się wyrabiać głównie właśnie jedna z najmniej jeszcze znanych jej sił, to jest magnetyzm ziemski.

W takim stanie rzeczy dzisiejsze i przyszłe zadanie geografii na polu odkrywczym, wprost też wypływa z jej dzisiejszych braków i niedostatków, to jest ziemioznawstwo ma i nadal w trudnej, ale tak chlubnej roli Prometeusza wydzierać tajemnice to Neptunowi, to Plutonowi, to Jowiszowi, to Gei, bogacąc przez to siebie, bogacić jednocześnie wszystkie inne nauki, z którymi tak zażyłe obcuje, i w szczególności znowu wdzierać się ciągle naprzód, jak to dotychczas czyniło, jako awangarda cywilizacji w okolice ziemi mało lub całkiem jeszcze nieznanne, celem ostatecznego odczucia wszystkich funkcji tego wielkiego organizmu, jakim jest ziemia i celem odczytania kiedyś z jej hieroglificznych rysów przewodniej myśli, którą niezbadany Pan Stworzenia tchnął w jej tyle urozmaicone ciało.

RODZINA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego i K. Zalewskiego.

OSOBY:

Jan Ręczalski, obywatel ziemski.

Róża, jego żona.

Teresa

Jadwiga.

Michał, student Akademii.

Pani Kowerska, wdowa.

Henryka.

Stefan.

Szelkiewicz Armand.

Szelkiewicz Edward, syn jego.

Telesfor Klecki, stary kawaler.

Stanisław Wolski.

Jakub, stary sługa Kowerskich.

Stużba Ręczalskich i Szelkiewicza. — Muzykanci.

Rzecz dzieje się w Lubelskiem w r. 1868. Akt I na polance w lesie. Akt II u Ręczalskich. Akt III u Kowerskich. Akt IV u Szelkiewicza. Akt V u Ręczalskich.

AKT I.

Scena przedstawia polankę wśród lasu, na około drzewa stare i zarośla, na pierwszym planie z lewej strony wielka lipa. Przy podniesieniu zasłony, przez chwilę scena pusta, potem słychać z lewej głos Ręczalskiego.

Scena 1.

Ręczalski, potem Róża, później Teresa i Jadwiga.

Ręczalski (z lewej strony).

Hop! hop! hop! hop! (*wchodzi*). Hop! hop! A to mi śliczna historia, dotąd ani żywej duszy! (*do żony, która wchodzi za nim*). My pierwsi na miejscu zborném, a w dodatku nasze panny przepadły!

Róża.

Nie obawiaj się, nic się im złego nie stanie, są przecież pod opieką Kleckiego.

Ręczalski.

Śliczny mi opiekun, dziadek kościany, niedołęga, mógłby być ojcem moim.

Róża.

A! już też przesadzasz, Jasieczku!

Ręczalski (*uśmiechając się*).

O! ho! Pani go broni, bo, jeśli się nie mylę, konkurował jeszcze o piękną rączkę twoją, tak jak teraz gotów do Teresi lub Jadzi. O! chciało mu się gorąco téj rączki, której zdobycie tyle mnie trudu kosztowało. Jaśnie Wielmożny papa Kulczyński ani chciał przypuścić, aby jego jedynaczka, najpiękniejsza pauna na mil kilkadziesiąt w około, mogła wyjść za biédnego dzierzawcę Krzeczunoskiej Woli. No, przyznajże, na pociechę moję, żeś może nie miała powodu żałować tego wyboru.

Róża (*żartobliwie*).

Hm! Jak... kiedy!

Ręczalski.

No, no! ale na seryo, ręka na sercu...

Róża (*z uczuciem*).

Nie wiem, z kąd ci się zebrało na to pytanie, mój Jasiu... Nie wątpisz przecie, że czuję to i przyznaję, iż byłeś najlepszym z mężów i najlepszym z zięciów, bo gdy nieboszczyk ojciec stracił majątek, wziąłeś

go do nas i z prawdziwie synowską obchodziłeś się z nim czułością... Nie zabrakło mu na niczym do śmierci... to też błogosławieństwo jego nietylko nam, ale dzieciom u Boga pomyślność wyprosi...

Ręczalski (*wzruszony*).

Tak! to błogosławieństwo ojcowskie, ten krzyżyk jego, towarzyszył nam w drodze życia i dodawał otuchy. Dzięki Bogu, wiodło się potem wszystko i praca nie szła na marne; dzieci się zdrowo i pocztwie wychowały, majątku się nie straciło, ale przyrosło go... Trzy folwarki i troje potomstwa! Czegoż chcieć. Terenia żywy twój portret, Michał do mnie podobny, rozumię się, jak byłem przed trzydziestu laty... a Jadwisia—Jadwisia, jak to mówią, do gości..

Róża.

Ależ, mężu mój! co znowu.

Ręczalski.

A! nie można słowa pisnąć, jejmość zaraz w ogniu i rumieni się jak za dobrych czasów, jak owa panna Różyczka... oj, ty! ty! moja stara! (*zbliża się, chcąc ją pocałować*).

Róża.

No, proszę, na czułości mu się zebrało! Gdyby kto nas podpastrył, dopióroby się śmiać musiał...

Ręczalski.

Alboby się powinien pokłonić, widząc, że po dwudziestu ośmiu latach pożycia, trwają dla nas jeszcze miodowe miesiące! Przecież widok to nie tak pospolicity. Nie mamy się czego wstydzic, kochaneczko!

Róża.

Dość-że już, mój ty pocztwy Jasiu! (*ogłąda się*); ale gdzież się one podziały? nie widać ich i nie widać. Krzyknij-no na dziewczęta nasze.

Ręczalski.

Alem już wołał co siły (*woła przez rękę w trąbkę złożoną*): Hop! hop!—hop! hop!

Teresa (*z prawej strony*).

Hop!...

Ręczalski.

Otóż jest, słyszę głos Tereni, adoratorowie ich nie pochwycili. Są!

S c e n a 2.

Ciż.—**Jadwiga, Teresa, Telesfor**, nadchodzą.

Ręczalski.

Gdzieżeście się to zabłąkały, moje panny, w dodatku jeszcze z kawalerem...

Jadwiga.

Pan Telesfor zrywał dla nas kwiaty na bukiet, a my zbierałyśmy grzyby. Oto są grzyby z panem Telesforem i bukiet.

Ręczalski.

Grzyby? pokaż-że no! Myślałem, że rydze, a to muchomory, no, i bukiet z łopuchu i ziela...

Telesfor.

Przepraszam, co do grzybów nie będę się sprzeczał, ale w bukiecie jest wiele polnych znakomitości: chaber, lilijki, tymianek, macierzanka...

Teresa.

Pan Telesfor brał co znalazł za dobrą monetę, ja za jego lilie i tymianek nie ręczę... Znajdzie się prędjéj kąkol.

Róża.

A ty, Jadwiniu, cóżeś znalazła?

Jadwiga.

Mam tylko ot ten bukiet chabru...

Telesfor.

Ale z gustem ułożony! Sliczności! Panna Jadwiga czego dotknie, wszystkiemu taki wdzięk nadać umieć, tak estetyczne poczucie...

Ręczalski.

Że przy niéj i ty się nawet wdzięczysz i córki mi chcesz bałamuć. Stary...

Telesfor (*żywo przerywa*).

Stary! co to, stary! Stary! nie jednego młodego jeszcze w kąć zapędzę.

Ręczalski.

Masz słuszność, najlepszy dowód, że my starsi, z pannami najpierwsi jesteśmy na stanowisku, a panów młodych ani widać. Bądź

cobądź, nie czekając na nich, bierzmy się do roboty. Niech panny przypaszą fartuszki, Wojciech już nastawia samowar; proszę się wziąć do krajania ciast i pieczenia: to wydział wasz...

Teresa.

Zaraz, mameczko, tylko nam daj spocząć trochę.

Róża.

Spocząć! no, to już wiem, że na mnie wszystko spadnie, a panny będą się trzpiotać.

Telesfor.

Gdyby pani pozwoliła mi się wyręczyć.

Teresa.

Dopierobyśmy dobrze na tém wyszły! Pieczyste znalazłoby się w szklankach, cukier w samowarze, a baby w sosie musztardowym...

Telesfor.

Czyż na taką opinię zasłużyłem u pani? Zatem rezygnuję...

Teresa.

No, proszę się nie dąsać, bo toby było złą wróżbą dla zabawy. Ażeby zażegnać burzę, przyjmiemy pańską pomoc i damy mu misyę... przynoszenia i odnoszenia półmiseków razem z nami! Nie kontent pan jesteś?

Telesfor.

Szczęśliwy! Pani jesteś... ach! jak anioł dobrą i piękną jak anioł!

Teresa.

Do roboty! bo mama będzie gdęrać, żeśmy leniwi.

Telesfor (*biegnie*).

Biegnę! (*potyka się o pieńnek*). Aj!...

Jadwiga (*podbiega do niego*).

Skaleczyłeś się pan?

Telesfor.

Nie, pani, lekkie potknięcie się... Biegnę! (*wychodzi*).

Ręczalski (*woła za nim*):

Bój się Boga, nie zaszparko tylko, bo znowu się potkniesz... Hm! Jednak my, stara gwardya, pierwsi na placu, młodzieży ani słychu: ta-

ki to ten świat nowy. Ja byłbym do kobiet o drugiej rano wyskoczył, a tych o szóstej po południu nie widać—każą czekać na siebie!

S c e n a 3.

Ciż.—**Wolski**, potem **Telesfor**.

Wolski.

Przepraszam pana radzcę dobrodzieja, ja już jestem! Stawiam się do apelu, punkt szósta.

Teresa.

A! to się panu chyba pierwszy raz w życiu trafiło—nie spóźnić... Pokaż pan zegarek! Domyślałam się tego! Nie nakręcony.

Wolski.

Istotnie! Stanął! Przysięgam pani, nie wiedziałem! nie miałem wyobrażenia!

Teresa.

Jaki pan, taki kram. Zegarek tak jak pan chodzi.

Wolski.

Ale, nie! Trzy dni temu zawiódł mnie, spóźniłem się z jego przyczyny na kolój, dałem go wyregulować Szlomie, a ten partacz mi go popsuł.

Telesfor.

Oto są te śliczne fartuszczyki... Służę pani, panno Jadwigo!

Jadwiga.

Dziękuję...

Telesfor.

A to pani! (*do Teresy*): Mam dopomódz zapiąć?

Teresa.

O! dziękuję, sama sobie dam radę. Panie Stanisławie, prosimy do pomocy.

Wolski.

Całym sercem na usługi...

Teresa.

Zalecam ostrożność przy samowarze, abyś pan sam siebie i nas nie poparzył.

Wolski.

A! niech-że się pani nie lękał (*d. s.*). Nie mogę pojąć, co się temu zegarkowi stało?

Teresa.

Możeby mu gorąca woda pomogła, jeśli chory?

Telesfor.

A ja nie przydam się téż na co?

Jadwiga.

Owszem, nie opuszczaj nas pan, prosimy; ale bądź w odwodzie... bo wiele nianiek... (*Wychodzą w lewo i po chwili wracają z wielkim samowarem, który niosą Wolski z Telesforem i stawiają tak, iż lipa go zasłania. Lokaj i dziewczyna dworska przynoszą prowianty. Jadwiga i Terenia serwety, noże i widelce.*)

Teresa.

Otóż misya nasza spełniona...

Wolski.

Główna kwatera i magazyn prowiantów pod lipą, nieprawdaż?

Teresa.

A przy magazynie prowiantów straż powinna stać, aby do niego przedwcześnie się nie podkradano.

Wolski.

Zdałoby się jednak zajrzeć do niego... Ja takem się śpieszył, żem obiadu nie dokończył.

Teresa.

Ciekawam, kto się pańskimi zajął sprawunkami?

Wolski.

Szelkiewicz, ojciec i syn. Od rana siedzą w miasteczku, dobierając wina i cukry...

Ręczalski.

Byle tylko nie nadto próbowali. Ale... cóż to za turkot słyhać? (*zagląda za scenę*). Ktoś przyjechał! A! to pani Kowerska z dziećmi.

Jadwiga.

Pan Stefan?

Teresa (*do siostry*).

Oho! Ten wykrzyknik nie bez znaczenia! czekaliśmy niecierpliwie na pana Stefana?

Jadwiga.

Cóż znowu! Ucieszyłam się z przybycia Henryki.

Teresa (*j. w.*):

I pomieszało ci się ze Stefanem! Myśląc o Henryce, zawołałaś Stefana. Ostrożnie, moja panno. Jak mama posłyszysz, będzie bura...

Jadwiga.

Przecież ty mnie nie zdradzisz!

Teresa.

Bądź spokojna! tylko oko mieć będę na ciebie i na pana Stefana. (*głośno*): Panie Stanisławie, uważaj-że pan, samowar kipi...

Wolski.

A cóż ja na to poradzę?

Teresa.

Herbatę trzeba zalać i imbryczek na nim postawić.

Telesfor (*chwytając imbryczek, wywraca go i parzy się*).

Aj! aj!

Teresa.

Masz tobie! Pan Telesfor wylał herbatę..

Wolski.

Szczęście, że samowara nie wywrócił.

Teresa.

Panu to przekazała! Obejdę się już bez takiej pomocy, wolę sama herbatę zalać na nowo.

Telesfor.

Słowo daję! nie pojmuję, jak się to stało..

Wolski.

Bardzo prosta rzecz, wywróciłeś pan i kwita.

S c e n a 4.

Ciż.—Pani Kowerska.—Henryka.—Stefan.

Kowerska.

A! przepraszam państwa za opóźnienie, aleśmy dobrze nie wie-

dzieli drogi... Od bardzo dawna poraz pierwszy wyjeżdżamy z domu w sąsiedztwo... Pani radczyni zechce być wyrozumiałą.

Róża.

Ależ nie tak się państwo spóźnili; proszę się wcale tém nie kłopotać. Jest to prawdziwą łaską dla nas, żeś pani po długich latach raz pierwszy chciała wziąć udział w naszej zabawie.

Kowerska.

Chciałam, aby Stefan się rozerwał trochę; zamęcza się biédak tą pracą.

Ręczalski.

No i panna Henryka niedawno z pensyi razem z Jadwinią wróciła. Niech-że trochę światła zobaczą. Widzi pani, już są z sobą... A i ty panie Stefanie czemu nie idziesz do młodzieży, zostaw nas starych (przepraszam sąsiadkę dobrodziejkę) samym sobie... Do panienek! bo pan Telesfor gotów cię wyprzedzić. Już zdążył sobie poparzyć palce.

Teresa.

Prosimy do nas pana Stefana, biorę go pod moję komendę!

Stefan.

Najchętniej, służę pani...

Jadwiga (n. s.).

Do mnie ani słówka, jakby mnie nie widział...

Ręczalski.

No, teraz już nam nikogo nie brak, oprócz Szelkiewiczów.

Kowerska (widocznie przerażona).

Jakto? oni tu będą?

Ręczalski.

A jakże! bez nich w okolicy żadna się zabawa nie obejdzie.

Kowerska.

A! gdybym była wiedziała.

Róża.

Czy obecność tych panów przykrość pani zrobić może?

Kowerska (walcząc z sobą).

Ale nie, nie, i owszem... Syna nie znam... Ojciec... niegdyś bywał w naszym domu (zmieszana).

Róża (*troskliwie*).

Bo... gdyby w czém naraził się pani i miało to być nieprzyjemném... znaleźlibyśmy jakiś środek... sama nie wiem; ale bądź cobądź... musielibyśmy coś obmyśleć dla oszczędzenia jój... niemilego spotkania.

Kowerska.

A! tak... gdyby to było możliwe!

Ręczalski.

Zapóźno! ot i oni nadchodzą...

S c e n a 5.

Ciż.—**Szelkiewicz Armand** i **Edward**, wchodzą z butelkami w rękach.
Za nimi lokaj dźwiga kosz z winem i cukrami. Śpiewają idąc:

Na frasunek,
Dobry trunek,
I pieczeń z truflami...

Szelkiewicz.

Cześć i pozdrowienie całemu czcigodnemu towarzystwu... Szelkiewicz Armand senior i Edward junior wszystkim pod stopy się ścielą, a pięknych pań i panienek śliczne rączki całują...

Edward.

Tak jak się papa wyraził za nas obu... całują śliczne rączki! cha! cha!

Ręczalski (*sucho*).

Miło mi panów powitać... Ale przedewszystkiem bądźcie łaskawi uwolnić się od ciężaru. Magazyn pod lipą.

Szelkiewicz.

Składamy amunicją do rączek pięknej Hebe... (*do syna*): Edwardzie, dawaj co masz.

Wolski (*do Telesfora*).

Zdaje się, że oba już pod dobrą datą.

Szelkiewicz (*sposzrzeglwszy Kowerską, n. s.*).

Co to jest? Karolina? tu?

Kowerska (*n. s.*).

A! spostrzegł mnie... nie potrafię się ukryć... Nieszczęśliwa godzi-

na, kiedym tu przyjechała! Zniosę tę męczarnię dla Stefana i dla niej... (*głośniej do Szelkiewicza, zbierając się na odwagę*). Nie poznajesz mnie pan... zmieniałam się bardzo.

Szelkiewicz.

Przeciwnie! Zawsze taż sama, zawsze taż sama piękność i powaga... (*n. s.*). Sam nie wiem, co mówię... głupie położenie...

Edward (*n. s. do ojca półgłosem*).

Papeczko! Zkądżeś u licha piękności w tej babie dopatrzył, chyba szampan ci oczy zapruszył! cha! cha!..

Szelkiewicz.

Milcz, trutniu... (*głośno*). Pani pozwoli sobie przedstawić syna mojego Edwarda.

Kowerska.

Miło mi bardzo. (*n. s.*). Stoję jak na żarzewiu... Pocóżem tu przyjechała! Nieszczęśliwa godzina!

Szelkiewicz (*n. s.*).

Głupie, nieznosne wspomnienia cisną się do głowy; tyle lat minęło, śnieg ją przypruszył! (*trze czoło silnie, chcąc oprzytomnieć*). Zapomnieliśmy z Edwardem powiedzieć państwu nowiny.

Ręczalski.

Cóż takiego?

Szelkiewicz (*uśmiechając się*).

Spotkaliśmy w miasteczku pewnego młodzieńca, akademika, który za chwilę się tu zjawi...

Ręczalski (*Róża, Teresa, Jadwiga razem*).

A! Boże! Michaś!

Szelkiewicz.

Nie mogę powiedzieć kto, bo mnie o sekret proszono... lecz państwo się łatwo domyślicie. Powiem tylko, że przyjechał ekstra-pocztą, aby rodziców odwiedzić... Tylko co go nie widać. (*Słychać trąbkę pocztową za sceną*). O! otóż i on pewnie, nie długo czekać kazał na siebie... (*Ręczalski, Róża, Teresa, Jadwiga, biegną za scenę*).

Stefan.

Szczęśliwy! Czekali nań wszyscy najdrożsi, uśmiech radosny spotyka w progu, na mnie tylko łzy czekały...

Henryka (*do Telesfora*).

Czy syn państwa Ręczalskich jest jeszcze w Akademii?

Telesfor.

Tak jest, piękna pani, na ostatnim kursie, zdaje właśnie pono egzamin na doktora...

Edward.

No, i będzie karmił okolicę pigułkami i miksturą. Podobno wskutek tej ekspektatywy drugą aptekę mają założyć w miasteczku? Papa o tém nie słyshał?

Szelkiewicz (*do syna*).

Prosiłbym cię, Edwardzie, abyś w ogóle mniej dziś mówił, a więcej słuchał...

Edward.

A toż co znowu znaczy! ten jakiś ton mentorski! Nie podobasz mi się papa z tym tonem, poprostu jesteś śmiesznym. (*Do Henryki*). Nie prawdaż, pani, że on jest śmieszny, ten mój papa, kiedy na powagę pozuje. To mu nie do twarzy...

Szelkiewicz (*surowo*).

Edward!

Edward.

A! zapomniałem, że pani (*do Henryki*) nie zna go jeszcze... Mój papa, Armand Szelkiewicz, piękny Armand, jak go dawniej zwano w Warszawie. Dziś spaszował trochę, ale go syn wyręcza.

Szelkiewicz (*do Henryki*).

Przebacz, pani, wraz ze mną, temu szalapatutowi, że w mowie jego niema ani ładu, ani sensu; pozwala sobie czasami... Cała nadzieja, że młody i że z tego wyrośnie...

Edward.

Zabawne! Z czego mam wyrastać, kiedy mnie nazywasz dobrym koleżką i przyznajesz mi, że do ciebie podobny?

Stefan (*do matki*).

Co ci jest, kochana mamo, bledniejesz, rumienisz się, niedobrze ci jest? słabo? Może ci tu powietrze nie służy... czy droga zaszkoziła... Jedźmy do domu...

Kowerska.

To przejdzie... było mi trochę słabo... Zabawcie się trochę, moje dzieci, w domu u nas tak smutno...

S c e n a 6.

Ciż.—Ręczalski.—Róża.—Teresa.—Jadwiga.—Wolski i Michał
w mundurze akademickim.

Ręczalski (*przyprawdzając syna do Kowerskiej i Henryki*).

Oto nasz akademik. Przedstawiam paniom jedynaka mojego, Michała, studenta Szkoły Głównej, a, da Bóg, za kilka miesięcy, doktora medycyny. Pani Kowerska, córka jój, panna Henryka, pan Stefan Kowerski, chemik już ukończony, starszy od ciebie *civis litterarum*.

Michał (*wita się, podaje rękę mężczyznom*).

Ach, drodzy państwo, jakże przyjemnie mi odetchnąć wiejskim powietrzem, wśród swoich, po zaduchu i kurzawie Warszawy, wrócić do rodziców, do takich rodziców, jak moi, kochani, do tych porozkwitałych ślicznych siostrzyczek... Któryż z kolegów-by mi tego szczęścia nie pozazdrościł?

Wolski.

Ja pierwszy zazdroszczę, bom sam w domu.

Stefan.

Ja drugi, bo mi w domu brak ojca.

Michał.

Ale, przepraszam, niechże ja téj majówki, czy czerwcówki, nie przerywam... Może i tu, na wsi, jak w Warszawie, panny szkolnych mundurów nie lubią.

Henryka i Jadwiga.

Cóż znowu? Dlaczego?

Michał.

Dziękuję Jadwini, za to szlachetne oburzenie, a przedewszystki-
kiem pani... Warszawa ma swe przesady i uprzedzenia... Dzięki Bo-
gu, za parę miesięcy rzucam ten mundur...

Stefan.

Abyś z nim tylko wesołości i dobrej myśli nie zrzucił.

Michał.

A toż dlaczego? Bądź spokojny kochany sąsiedzie, nie zachoruję na powagę. No, do zabawy, a przedewszystki-
jem, wstyd mi wyznać, jestem wściekle głośny.

Teresa.

Służę państwu na herbatę: gotowa...

Ręczalski.

Zaraz... Każemy tu porozścielać dywany, poustawiać stołki. Panie zasiądą, a młodzież umieści się na ziemi... (*służba rozkłada dywany, ustawia stołki*)

Edward (*mrużąc jedno oko*).

A ja wnoszę, czyby przedewszystkiēm nie można, na powitanie szanownego gościa... kie-li-sze-czek?

Ręczalski.

Przyjdzie na to kolēj, panie Edwardzie, a teraz od herbaty zaczniemy.

Szelkiewicz.

I cukrów dla dam (*na str. do Wolskiego*), słyszysz? za cukry i wino, składka po rubli 25.

Wolski (*na str.*).

Trochę zasłono...

Teresa.

Panie Telesforze!... co pan robi? Wylewasz pierwszą szklanke...

Jadwiga (*do Stefana*).

Cożes pan teraz tak smutny? Nie tak bywało niegdyś, gdy przychodziłeś w takim mundurku jak Michaś.

Stefan.

Z wiekiem, musiałem zmienić się trochę...

Jadwiga.

Czyżbyś pan już chciał starego udawać?

Stefan.

A! nie, pani, nie, ale... nie wszystko powiedziēć można.

Jadwiga.

Dawniej mówiēs pan wszystko...

Teresa (*do Wolskiego*).

Panie Stanisławie! Jak raz jeszcze dostrzegę, że pan zjadasz butersznytę, przed podaniem gościom, dostaniesz pan klapsa po rękę, ale... z całej siły! I... zawieszonym pan bēdziesz w pełnieniu obowiązków.

Wolski.

Panno Tereso! miłosierdział.. Jestem tak głodny! (*całuje ją w rękę*).

Teresa.

A toż co? moje ręce nie butersznytły... Wara! bo poparzę pana...

Michał (*do Henryki*).

Co to jest czuć się szczęśliwym, zaraz do głowy fantazye przychodzi i zbytki. Ot, ja, jakoś się tak wypościłem w Warszawie, że tęsknię do tańca i... gdyby tak można...

Henryka.

Muzyki niema, niestety; gdyby w domu, mama zagrałaby na fortepianie.

Michał.

A! fortepian to już zbytek. My, z kolegami, tańczyliśmy nieraz po śpiewie; gdyby się kto znalazł z talentem i ochotą.

Wolski (*który się wymknął na chwilę, powraca z trzema żydkami, strojącymi skrzypki i basetkę*).

Przepraszam państwa najmocniej, pozwoliłem sobie urządzić małą niespodziankę, wiedząc z góry, że mi to przebaczonemu będzie. Sprowadziłem szanownego Judkę, z jego kapelą. Rzępola, prawda, często fałszywie, ale zawsze ogniście. Kontredansa i mazura umiejają dobrze, w takcie trzymają się, co się zowie...

Ręczalski.

Brawo! panie Stanisławie, przynajmniej się młodzież nie znudzi, choć w gry-by się zabawić mogła...

Michał.

A! dziękuję za Mruczka i Lisa: Wolski się znalazł, jak należało, po polsku, bo u nas bez muzyki i tańca niema zabawy (*do Henryki*): Służę pani do pierwszego kontredansa, jeżeli co do mundurów niema pani uprzedzeń.

Henryka.

Na dowód przyjmuję wezwanie...

Wolski.

Panno Tereso, dobrodziejko. Wywiązawszy się, mogę to sobie przyznać, zaszczytnie, z podawania herbaty, ośmielam się...

Teresa.

Zdaje mi się, że mnie już p. Telesfor zamówił.

Telesfor.

Czy pani raczy mówić co do mnie?

Teresa.

Wszak... proszę mnie pan, przed chwilą, do...

Telesfor.

Tak, jest... do herbaty, o łyżeczkę rumu...

Teresa.

Proszę! a ja myślałam, że do kontredansa.

Telesfor.

O, pani! jeśli tak jest, natychmiast wdziewam rękawiczki.

Wolski.

Przepraszam, bo ja pierwszy zamówiłem panią.

Telesfor.

Przeciwnie... ja! ja!

Wolski.

Kiedy o arak proszę, nie o kontredansa.

Telesfor.

Jakże, kiedy panna Teresa...

Teresa.

Tak, sądziłam, że szło o mnie, ale... jeśli pan wolisz herbatę z rumem...

Telesfor.

Pani mnie przywodziś do rozpaczyl

Edward.

Papo! proszę cię o vis à vis. (*do Jadwigi*) Czy mogę służyć pani?

Jadwiga.

Ja tańczę z panem Stefanem.

Stefan.

Jakto? ze mną? ja...

Jadwiga (*do Stefana*).

Uwolnij mnie pan od niego! proszę.

Szelkiewicz.

Brakuje czwartej pary (*zbliża się do Kowerskiej*). Mogę pani służyć? Będzie to miłym wspomnieniem tego, co przed laty...

Kowerska.

Pragnę najmocniej zapomnieć o tém. Odmawiam, od lat kilkunastu nie tańczę...

Szelkiewicz.

W takim razie przepraszam panią. *(po cichu)*. Ale bądź cobądź, muszę mówić z panią.

Kowerska.

I ja z panem, ale nie tu...

Ręczalski.

Ha! więc niema co, Rózieczku. Kiedy pani Kowerska nie tańczy, my, we dwoje, do szeregu! Słowo daję! Pokażemy im, żeśmy jeszcze nie starzy!

Róża *(śmiejąc się)*.

Jasiu, co tobie w głowie! Gdzież znowu w naszym wieku...

Michał.

Mameczko! najstarszy z dzieci nietylko upoważnia, ale prosić go-tów na klęczkach.

Teresa i Jadwiga.

I my, mamó! i my!

Ręczalski.

No, niema co, musisz się poświęcić na to, co ja robię z dobrej woli...

Edward *(do ojca)*.

Papeczko, osiedliśmy na koszu! Panie Telesforze... aby wygodniej na nim, czy przy nim siedzieć, bierzemy cię z sobą... do kosza! do kosza!

Telesfor.

Dziękuję, nie tańczę, to przynajmniej popatrzę.

Edward.

Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Szelkiewicz *(do Kowerskiej)*.

Będę miał zaszczyt złożyć pani uszanowanie, wraz z synem moim...

Kowerska *(zimno)*.

Miło mi będzie *(na str.)*: Co za męki.

Ręczalski *(do żony)*.

Zatém na miejsca... tylko proszę mi ładnie nóżkami przebierać.

Róża.

Na głowie siwo, a w głowie zielono.

Ręczalski.

Bo mi w sercu zielono, patrząc na moje dziewczęta i chłopaka.

Szelkiewicz (*do syna*).

Tańcuj z panną Henryką, gdy skończą.

Edward.

Ależ, bo...

Szelkiewicz.

Słuchaj, gdy ci mówię i pamiętaj, że muszę mieć rozum za ciebie.

Stefan (*do Jadwigi*).

Niech mi pani wierzy, że dziś tylko dla niej tańcuję.. bardzo mi smutno...

Jadwiga.

Dziękuję panu, ale dlaczegoś smutno?

Stefan.

Nie pytaj, pani, powiedzieć nie mogę...

Wolski.

No, panie Judko... zaczynaj!

Michał.

A pamiętaj, że grasz przed Warszawiakiem, popiszże się...

Teresa.

Pana Telesfora mianujemy dyrektorem orkiestry, będzie takt wybijał.

Telesfor.

Na rozkaz pani, choćby po ich karkach (*do żydków*). Nie bójcie się, żartuję tylko... Raz, dwa, trzy... rznijcie! a od ucha!

(Zasłona spada).

(*D. c. n.*).

Książę Bismarck

JAKO MÓWCA *).

III.

Ażeby ocenić mowy księcia Bismarcka miane w sprawie kościelnej, trzeba choć w krótkości przypomnieć główne fazy i ewolucje polityki kościelnej kanclerza. Stosunki między kościołem katolickim, a państwem w monarchii Pruskiej, były do wojny francuskiej (1870 r.) wcale znośne. Dopiero zdeptanie Francji, obudziło w pruskich politykach myśl, zgniecenia drugiego przedstawiciela romanizmu, t. j. papieżstwa. Ale z kąd taka myśl mogła powstać w ludziach, kierujących losami odrodzonego cesarstwa Niemieckiego, jeżeli, jak to sam książę kanclerz przyznawał, kościół katolicki żył w zgodzie i z protestantami i z państwem? Za przyczynę pierwszą tej walki cywilizacyjnej, tego kulturkampfu, podawano zmienione jakoby stanowisko papieża przez ogłoszenie na ostatnim soborze jego nieomyślności, a tém samém wyniesienie go ponad wszystkich biskupów, przez co i stanowisko ich, względem każdego respective rządu, uległo ważnej zmianie. Państwo więc, które żyło w zgodzie z kościołem katolickim przed ogłoszeniem papieża nieomylnym, teraz, zdaniem kanclerza niemieckiego, powinno się zabezpieczyć innemi rękojmiemi od wdzierstwa obcego monarchy (t. j. papieża) w sprawy wewnętrzne Niemiec. Za drugą przyczynę podawano obowiązek obrony żywiołu germańskiego od ludów romańskich, których najgłówniejszy przedstawiciel tylko co został powalony (Francya), a drugi, niemniej groźny, bo mający w samych Niemczech sprzymierzeńców (papieżstwo), powinien być ubezwładniony: w przeciwnym razie, jedność Niemiec będzie ciągle narażona na rozbitcie. Drugim tym żywiołem był kościół katolicki, a pośrednio samo papieżstwo, jako najwyższy obrońca jego interesów. I tak, doczekaliśmy się osobliwego faktu w dziejach, gdzie podobno nic się nie powtarza, a tu się powtórzyło, oczywiście w odmiennych okolicznościach i warunkach,

*) Patrz zeszyt za styczeń r. b.

t. j. doczekaliśmy się powtórzenia średniowiecznej walki, między papieżstwem a cesarstwem Niemieckim. Walce téj dano nazwę walki o cywilizacyą, której reprezentantem ma być terazniejsze państwo wogóle, a Niemcy w szczególności, i której jakoby wrogiem jest kościół katolicki.

Publicyści, dziennikarze, profesorowie uniwersytetów, prawnicy korony i ci wszyscy, którzy z amatorstwa, nie z obowiązku, po stronie państwa stanęli, tak rzecz przedstawiali. W walce téj, mówili, chodzi o to, czy prawdy, które umiejętność i duch badawczy zdobyły w ostatnich wiekach, mają zyskać obywatelstwo na świecie; czy téż, jak w średnich wiekach wiara i wiedza mają ulegać powadze kościoła, i o tyle uchodzić za prawdy, o ile będą na sobie nosiły stempel papieżki. Gdy państwo żądało, ażeby kościół ograniczył się do swojego czysto religijnego posłannictwa, zaniechał świeckich swoich uroszczeń, nie przeszkadzał nowożytnemu społeczeństwu w dążeniu do celów etycznych (?), nie podwijał arteryi swobodnej umiejętności; gdy nadzór nad szkołami odjął duchownym, powierzając go swoim urzędnikom; gdy zawieranie małżeństw chciało uczynić aktem cywilnym i oswobodzić je od wpływu duchowieństwa; gdy zażądało wyższego ukształcenia dla duchownych i dopuszczenia do seminaryów nowożytnej umiejętności, ażeby sposobną się do stanu duchownego młodzież usunąć od wpływu jezuicko-hierarchicznych wyobrażeń: wówczas walecznicy ultramontanizmu zaczęli okrzykiwać te dążenia, jako wrogie dla chrześcijaństwa, jako Neronowe i Dyoklecjanowe prześladowanie kościoła. Wobec opozycji duchowieństwa, państwo musiało bronić zagrożonej cywilizacji i w tym celu na drodze prawodawczej ukuć sobie oręż skuteczny do odparcia napaści. Takie pobudki i takie usprawiedliwienie walki z kościołem, czyli jak nazywają z ultramontanizmem, były i są dotychczas przytaczane po dziennikach i książkach, gdy się mówi o kulturkampfe. Zbijając ich nie mamy potrzeby, tylko po kolei przytoczymy w chronologicznym porządku rozmaite prawa ad hoc, uchwalone w parlamencie Cesarstwa i w sejmie pruskim, a mające dać rządowi w ręce ów skuteczny oręż do walki o cywilizacyą ¹⁾.

A więc najprzód, książe Bismarck wyparował konserwatywnego ministra wyznań von Mühlera, a przybrał sobie głośnego p. Falka na jego miejsce. Uchwalono prawo o dozorze szkolnym (1872 r.), mocą którego chciano usunąć szkołę, zwłaszcza początkową z pod wpływu kościoła i dlatego dozór nad nią odjąto proboszczom, a powierzono inspektorom świeckim. Środek ten najdotkliwiej uczuli Polacy księż-

¹⁾ Chcącym bliżej poznać prawodawstwo pruskie w sprawach kościelnych, można zalecić: „Lehrbuch des katholischen, orientalischen und protestantischen Kirchenrechts,“ von dr. Friedrich H. Vering. Freiburg im Breisgau. Drugie wydanie, 1881, str. 164 i nast.; E. Friedberga: „Die Grenzen zwischen Staat und Kirche.“ Freiburg i B., 1872, oraz L. Huhn'a „Geschichte des Kulturkampfes in Preussen.“ Berlin, 1881.

stwa Poznańskiego i Szlązka, którym na gwałt kazano uczyć się języka niemieckiego i w nim słuchać przedmiotów wykładanych w szkole, ażeby zakute ich głowy otworzyć na dobroczynny wpływ kultury niemieckiej. Pomimo opozycji, tak w izbie poselskiej, jak i w izbie panów, projekt ten został przyjęty i zamieniony w prawo, dzięki wymowie ks. Bismarcka i jego pomocnika p. Falka.

W tymże roku (1872) powódź petycyi załała obradujący parlament Cesarstwa, w których domagano się wypędzenia z Niemiec zakonu Jezuitów, tego, jak nazywano „generalnego sztabu,“ walczącego kościoła. Jakoż, parlament uchwalił wygnanie zakonu, jako odpowiedź na ogłoszone bez zezwolenia rządowego, dekreta soboru watykańskiego. Prawo o Jezuitach i pokrewnych z nimi zakonach, zastosowano natychmiast w Prusach, Bawaryi i Hessyi, tak, że w ciągu roku wszelkie ich zakłady naukowe i kollegia zamknięto, a członków, zwłaszcza obcej narodowości, zmuszono szukać sobie gdzieindziej przytułku.

Kroki te, czynione ze strony rządu pruskiego, wywołały energiczny opór biskupów; dotknęło ich wydalenie zakonu, będącego filarem katolicyzmu, a gdy nadto niektórzy z duchownych wzbraniali się uznać dekreta o nieomyślności papieżkiej, nastąpiły ekskomuniki. Arcybiskup koloński, Paweł Melchers, rzucił ekskomunikę na czterech profesorów wydziału teologicznego w Bonn i zakazał młodzieży duchownej uczęszczać na ich wykłady w uniwersytecie. Rząd jednakże pozostawił ekskomunikowanych przy zajmowanych katedrach. Następnie, gdy starokatolicki kaznodzieja Tangermann, odprawił raz nabożeństwo w kościółku Ś. Pantaleona, w Kolonii, należącym do garnizonu wojskowego, wówczas naczelny kapelan armii, biskup Namszanowski, zakazał kapelanowi dywizyi Lünneinowi, spełniać służby bożej w tymże kościele. Za to biskupa usunięto z urzędu. Z kolei biskup warmiński, ks. Krementz, rzucił ekskomunikę na dwóch księży z Brunsberga: Micheliisa i Wollmanna, za popieranie starokatolicyzmu. Pomimo tego, duchownych owych rząd utrzymała na ich posadach. Biskup zwrócił się osobiście do króla i prosił o posłuchanie, którego mu jednak odmówiono, póki się nie okaże bezwarunkowo posłuszny prawu krajowemu; a kiedy biskup trwał przy swoim, odjęto mu płacę. W Monachium, arcybiskup tamtejszy wyklął księży: Döllingera, Fridricha i innych starokatolików; nic to jednak nie przeszkadzało im do dalszego pozostania przy uniwersytecie. Z tego już można było zmiarkować, że zarówno rząd pruski, jak i inne niemieckie, postanowiły wypowiedzieć wojnę „średnio-wiecznemu papieżtwu,“ jak z przekąsem mówiono, ażeby nauczyć duchowieństwo, że dwom panom służyć nie można, że prawo krajowe ma jednakową moc obowiązującą wszystkich poddanych.

Wobec tego, biskupi pruscy zjeżdżali się raz i drugi do Fuldy, ażeby ułożyć wspólny plan postępowania i częścią przez prośby, wprost do króla zanoszone, starali się zmienić kierunek zwrócony przeciw katolicyzmowi; częścią przez listy pasterskie usprawiedliwić swój opór,

jako wynikający z pobudek sumienia. Wszystko to nic nie skutkowało. Rzeczy przybrały jeszcze ostrzejszy charakter, gdy Pius IX, przyjmując deputacyą katolików niemieckich, zakończył swoją przemowę temi słowy: „Ufajcie i bądźcie zgodni, albowiem oderwie się kamień od góry i strzaska nogi kolosu.“ W Berlinie zrozumiano, o jakim to kolosie mówił papież, i wnet minister wyznań, przyzwawszy prawników koronnych, ułożył z nimi projekta do praw, mających ściślej określić stosunek państwa do kościoła. Projekta te, które niedługo miały być złożone sejmowi pruskiemu, dotyczyły możności porzucenia kościoła, wykształcenia duchownych katolickich, kar na odporne duchowieństwo i ustanowienia trybunału kościelnego, mającego sędzić i karać głównie biskupów. Rok blisko upłynął, nim te projekta przybrały formę praw zwanych odtąd „Majowemi.“

Następny rok, 1873, stał się pamiętnym w prawodawstwie pruskiem, przez uchwalenie wspomnianych praw majowych. Treść ich taka: Każdemu wolno porzucić swój kościół, czyli wyznanie, a za to nie może być przez swoją władzę duchowną pociągany ani do odpowiedzialności, ani do składek na rzecz opuszczonego wyznania. Przed ostatecznym zamianowaniem kandydata na jakieś beneficjum duchowne, władza dycieczalna powinna zawiadamiać prezesa regencyi i czekać jego zgody. Kandydat do jakiegokolwiek posady kościelnej, powinien być Niemcem, ukończyć gimnazyum, słuchać teologii w którymś z uniwersytetów rządowych, złożyć egzamin państwowy, przyczem należy zwracać uwagę na jego ogólne wykształcenie, mianowicie na filozofią, historią, literaturę niemiecką i języki klassyczne. Wszystkie zakłady duchowne, seminarya i t. p. zostają tak co do porządku wewnętrznego, jak i planu nauk, pod kontrolą rządu. Tak zwane seminarya przygotowawcze (Knabenseminarien) i konwikty, nie mogą być nadal otwierane, a do istniejących zabrania się przyjmować nowych wychowanców. Każde wakujące probostwo powinno być, najdalej w ciągu roku, obsadzone, a kandydat ma uzyskać zatwierdzenie rządu.

Prawa te przeszły w izbie poselskiej, pomimo silnego oporu stronnictwa katolickiego, czyli środkowego; w izbie panów spotkały jeszcze większą opozycyą, tak, że aż ks. Bismarek musiał na szalę rzucić swoją ciężką mowę, by im zwycięstwo zapewnić. Mowę tę wkrótce poznamy; tymczasem dodajemy, że odtąd kanclerz zerwał z feudalnymi junkrami i zaczął się godzić z partyą liberalną.

Biskupi, na wspomniane prawa odpowiedzieli protestem, w którym między innymi stało: „Kościół nie uznaje pogańskiej zasady, że prawa państwowe są jedynym źródłem wszelkiego prawa, i że kościołowi służą takie tylko prawa, jakie mu prawodawstwo i konstytucya państwa udzieli, w przeciwnym razie musiałby zaprzeczyć bóstwa Chrystusa i boskości Jego nauki, a chrześcijaństwo uczynić zależnym od ludzkiej swawoli.“ Protest znów przebrzmiał bez skutku.

Tymczasem rząd, uzbrojony przez sejm w prawa majowe, zaczął

je stosować. Najprzód tedy wyznaczono wizytatorów rządowych do zwiedzenia seminariów, ażeby się przekonać, czego w nich uczą i jakie postępy czyni młodzież duchowna. Regensi jednakże, z polecenia biskupów, nie dopuścili do wizyty owych inspektorów. Rząd, ze swęj strony, niektórym seminariom odjął zasiłek skarbowy, a inne zamknąć kazał. Dalej, biskupi nie chcieli kandydatów na probostwa przedstawiać do zatwierdzenia rządowi, za co znów ten zakazał mianowanym spełniać czynności, związanych z ich powołaniem, a opornych pociągał do sądu. Najsilniejszy opór spotkały prawa majowe w Poznańskiem, Westfalii i prowincyi Nadreńskiej. Kary sądowe spadały nie tylko na niższych duchownych, ale i na biskupów: pozbawienie pensyi, grzywny, więzienie i destytucya, następowały bez ustanku. Ulegli im: arcybiskup gnieźnieńsko-poznański hr. Ledochowski, arcybiskup koloński Melchers, biskupi z Paderbornu, Trewiru i Münsteru. Z 12 dyecezyi, tylko 4 miały jeszcze biskupów; nieobsadzonych probostw wakoowało przeszło tysiąc ¹⁾. Ażeby jeszcze bardziej dokuczyć katolikom i wbić klin dla rozsadzenia ich kościoła, rząd uznał starokatolickiego biskupa Huberta Reinkensa (poprzednio profesor teologii we Wrocławiu), któremu święceń udzielił biskup jansenistowski z Deventeru, Herman Heykamp. Reinkens pierwszy złożył przysięgę na posłuszeństwo prawom majowym, obrał sobie za stolicę Bonn i otrzymał rocznej pensyi 16,000 talarów.

Biskupi pruscy widząc, jak rząd coraz surowsze przeciw kościołowi wydaje prawa, zwrócili się do papieża o pośrednictwo. Pius IX wysłuchał ich prośby i w sierpniu 1873 r. napisał do króla i cesarza Wilhelma list, w którym między innymi stało, że Ojciec ś. jest przekonany, iż surowe środki, jakie rząd na zagładę katolicyzmu przedsięwziął, nie znajdują pochwały J. Kr. Mości. Jeżeli jednak pomimo tego są stosowane, powinien pamiętać, iż one własny jego tron podkopują. „Mówię otwarcie, pisał dalej Pius IX, albowiem tarczą moją jest prawda i mówię, ażeby swój obowiązek spełnić; obowiązkiem zaś tym jest, mówić prawdę wszystkim, nawet i tym, którzy nie są katolikami. Każdy bowiem, kto jest ochrzczony, należy pod tym lub innym względem do papieża.“

Cesarz Wilhelm I, odpowiedział na ten list 3 września tegoż roku, że „Ojciec ś. źle jest zawiadomiony o stosunkach niemieckich, jeżeli przypuszcza, jakoby rząd pruski wszedł na drogę, której cesarz nie pochwała. Konstytucya na coś podobnego nie dozwala, gdyż wszystkie prawa i rozprządzenia rządowe, muszą być ze strony panującego zatwierdzone. Z boleścią wyznaje, że od dwóch lat, część katolików, poddanych pruskich, zorganizowała stronnictwo, które istniejący od dwóchset lat pokój religijny chce zakłócić. Ruch ten duchowieństwo katolickie nie tylko pochwalało, lecz połączyło się z nim i stanęło w ja-

¹⁾ „Politische Geschichte der Gegenwart“ von M. Müller. 1881, str. 73.

wnym rokoshu. Jego Świątobliwoshci nie jest zapewne obcém, że podobne zjawiska powtórzyły się w większej części państw europejskich i w niektórych zamorskich. Zadaniem zaś cesarza jest, strzedz pokoju w państwach od Boga mu powierzonych i powagę prawa utrzymać. Ku jego smutkowi, wielu duchownych katolickich, nie dotrwało w posłuszeństwie dla zwierzchnoshci świeckiej, a przez to zmusiło rząd cesarski, by zachowanie praw krajowych świeckimi środkami wymógł. Religia wszakże Jezusa Chrystusa i prawda, której i cesarz także służy, nie mają żadnego związku z temi intrygami. Nie może też cesarz wyrażenia papieżkiego, że „każdy ochrzczony należy do papieża,“ zostawić bez odpowiedzi. Wiara ewangelicka, którą, wzorem przodków swoich wraz z większością poddanych wyznaje, nie pozwala mu, w stosunku do Boga, przyjmować innego pośrednika, oprócz Jezusa Chrystusa.“

Tymczasem nastąpił fakt, który niemało przyczynił się do rozdrażnienia stronictw. Gdy ks. Bismarck bawił u wód w Kissingen, pewien stolarczyk z Magdeburga nazwiskiem Kullmann, wykonał zamach na życie jego (13 lipca 1874 r.). Dzienniki nieprzyjazne katolikom zaczęły wołać, że to sprawka ultramontanów, a chociaż śledztwo nie wykryło żadnych spówinnych Kullmanna, obwinienia nie ustawały, tak, że katolicy aż w parlamencie skargi na to podnieśli. Wtenczas to ksiązę Bismarck, dając folgę oburzeniu i zwracając się do deputowanych stronictwa środkowego, rzekł: „Choćbyście się panowie nie wiem jak chcieli wyrzekać mordercy, trzyma on się przecież poły waszego odzienia.“

Nie ustawano też w popieraniu rozdwojenia, wywołanego w kościele przez odstępstwo tak zwanych starokatolików, ażeby doprowadzić do jakiegoś ważniejszego aktu, mogącego zachwiać umysły. Poruszono myśl połączenia rozmaitych odcieni chrześciańskich ze starokatolikami, i w tym celu odbyła się w Bonn, we wrześniu 1874 r., konferencya delegatów wystanych od kościołów: greckiego, anglikańskiego i niemiecko-holenderskiego, pod prezydencyą Döllingera. Równocześnie starokatolicy niemieccy odbyli synod we Freiburgu pod prezydencyą Reinkensa, dla obmyślenia dalszej budowy swojego wyznania. Oba te zjazdy jednakże nie wydały żadnego trwalszego rezultatu.

Rozpoczęta walka religijna srożyła się coraz bardziej, z niemałą szkodą kościoła katolickiego. Papież znów podniósł głos w Encyklice z lutego 1875 r., zwróconej do arcybiskupów i biskupów pruskich, a potępiającej prawa majowe. „Uważamy za obowiązek naszego urzędu, mówił Pius IX, oświadczyć jawnie wszystkim, których to obchodzi, jak niemniej całemu światu katolickiemu, że prawa te są nieważne, że się boskiemu ustanowieniu kościoła całkowicie sprzeciwiają... Zdaje nam się, że prawa te nie dla wolnych ludzi, ale dla niewolników wydano, ażeby strachem wymódz posłuszeństwo. Tych zaś bezbożników, którzy pod opieką władzy świeckiej odważają się kościoły parafialne zabierać i w nich służbę bożą sprawować, lub w przyszłości podobnej

zbrodni winnymi się okaza, ogłaszamy za dotkniętych większą ekskomuniką.“ Daléj, zakazywał Ojciec ś. wiernym, przyjmować od takich duchownych jakichkolwiek postug religijnych, przestawać z nimi, ucześnieć na ich nabożeństwo i wogóle zalecał trzymać się zdaleka, ażeby „ży kwas nie zepsuł całej masy.“ Biskupów chwaliła Encyklika za wytrwałe męztwo, kończąc słowami, że: „należy raczej słuchać Boga, niż ludzi.“

Encyklikę tę nazwał dziennik półurzędowy „Provinzial Correspondenz,“ „pobudką zagrana do rewolucyjnych namiętności“ i domagał się dalszego procesu między państwem a kościołem rzymskim, ażeby armię jego, to jest duchowieństwo niemieckie, powściągnąć od pójścia za tem hasłem wojenném. Wytoczono zatém najprzód procesa dziennikom, które Encyklikę ogłosiły, a następnie minister wyznań Falk, złożył izbie deputowanych w Berlinie projekt do prawa, na mocy którego miały być wstrzymane wszelkie zasiłki skarbowe płacone biskupom i duchowieństwu w ogóle, póki każdy z nich nie złoży piśmiennego oświadczenia, iż będzie posłuszny prawom państwa, (1875, das Sperrgesetz). Biskupi zebrawi się do Fuldy i wspólnie podali do cesarza prośbę, ażeby odmówił swojego zatwierdzenia projektowanemu prawu, gdyż, jak mówili, „posłuszeństwo dla praw tych nie daje się pogodzić z sumieniem chrześcianina.“ Prośba pozostała bez skutku, a prawo izba poselska sejmu pruskiego znaczną większością głosów przyjęła. Zaraz téż i cesarz dał mu swoje sankcyą. Podczas rozpraw nad projektem rzonego prawa, Bismarck wyraził się krótko, że rząd spełnia tylko swoje powinność, broniąc duchowej swobody narodu niemieckiego przeciw intrygom Jezuitów i kierowanemu przez nich papieżowi. „Czynimy to z Bogiem za króla i ojczyznę.“

Jakkolwiek zdawaćby się mogło, że arsenał państwa już dostatecznie w broń prawną został zaopatrzony, jednakże rok 1875 dostarczył jój jeszcze więcéj. I tak: ponieważ biskupi powoływali się w swoich zażaleniach na 15, 16 i 18 artykuły konstytucyi pruskiej z roku 1850, zapewniające kościołowi katolickiemu samodzielne urządzenie spraw swoich, przeprowadzono w sejmie pruskim zniesienie owych paragrafów, które zastąpiono jedynym tak brzmiącym: „Prawne urządzenie ewangelickiego i katolickiego kościołów, jak niemniej innych religijnych wyznań, ma się odbywać według praw państwa.“

Wkrótce potem uchwalono zniesienie wszystkich zakonów męzkich, z wyjątkiem tych, które się trudnią posługą około chorych, (31 maj, 1875 r.). Z dokonanego urzędownie spisu okazało się, że liczba zakonników i zakonnice wszelkiej nazwy, wynosiła 8795 osób, przemieszkujących w 914 klasztorach. Nareszcie, prawa majowe uzupełniono jeszcze jedném, o administrowaniu majątku kościelnego. Na mocy tego prawa, zarząd majątkiem danego biskupstwa należy do gminy i wybranych z niej członków, pod nadzorem naczelnika prowincyi (oberpresident) i biskupa. Jeżeli zaś w gminie znajduje się znaczna

liczba starokatolików, to dla nich odpada z majątku kościelnego część stosowna do tej liczby.

Dodawszy do długiej listy praw kościelno-politycznych, które w Prusach i nowém cesarstwie Niemieckim od r. 1873 po 1875 włącznie zostały uchwalone, prawo o małżeństwie cywilném obowiązko-wém, nakazującym odbycie ślubu cywilnego przed kościelnym; będziemy mieli wszystkie środki prawne, w jakie reprezentacya pruska i niemiecka uzbroiła rząd do walki z kościołem katolickim.

Surowe nadzwyczaj stosowanie praw majowych i rozmaitych nowelli karnych do duchowieństwa katolickiego, przyprawiło cały kościół katolicki w Prusach o ciężkie straty. Z obu stron, tak rządu pruskiego jak i kuryi rzymskiej widziano, że tak dalej iść nie można, że należałoby szukać sposobu do jakiejśtakięj zgody. Zdawało się, że możliwość taką nastęrczy nowy papież, pokojowy, który według teoryi ks. kanclerza, zwykle po wojowniczym następuje. Jakoż, gdy rządy kościoła powszechnego po śmierci Piusa IX objął Leon XIII (1878), dał zaraz znać o tém wyniesieniu swoim na stolicę Piotrową rozmaitym rządóm, a między temi i monarsze Pruskiemu. Cesarz i król Wilhelm odpowiedział papieżowi listem z 24 marca 1878 r., zawierającym zwykłe w podobnych wypadkach życzenia, ale nic więcej. Na drugi list papieżki z kondolencją po zamachu czerwcowym na życie cesarza, dziękował Leonowi XIII w imieniu chorego ojca, ksiązę następcę tronu pod dniem 10 czerwca tegoż roku, dodając nawiasem, że prawa kościelno-polityczne nie mogą być zniesione ¹⁾. Zawiązana nitka zerwała się, przynajmniej pozornie; mówimy pozornie, gdyż bawiący latem u wód w Kissingen kanclerz niemiecki, znów ją nawiązał z nuncyuszem papieżkim Masellą. Rozpoczęte układy prowadził dalej poseł pruski w Wiedniu z tamtejszym nuncyuszem Jacobinim (1879). Stronnictwo katolickie zaraz téż okazało się skłonniejszém do popierania rządu, jak tego złożyło dowody przy obradach i głosowaniu nad zmianą taryfy celnéj w parlamencie cesarstwa. Nastąpił wet za wet i grzeczność za grzeczność: minister wyznań Falk, pomocnik ks. Bismarcka w walce z kościołem, musiał się podać do dymisyi. Miejsce jego zajął nie tak zawzięty „oświeciciel” ciemnych katolików, Puttkamer.

Odpowiedzią na te niby ustępstwa ks. kanclerza, był ze strony Leona XIII list do arcybiskupa kolońskiego Melchersa (24 lutego, 1880) pozwalający biskupom zawiadamiać rząd o powołanych na probostwa kandydatach duchownych. Zaczęto głosić, że papież na jedno z praw majowych przystał, chociaż poprzednik jego wszystkie je potępił. Ażeby położyć kres temu przypuszczeniu, kardynał sekretarz stanu Nina wyprawił imieniem papieża depeszę do nuncyusza w Wiedniu, Jacobiniego, w której objaśniał jak rozumieć ów list papieżki do Melchersa, mianowicie, że obowiązek zawiadamiania rządu o kandydatach do po-

¹⁾ Oba listy w dziele L. Hahna: „Fürst Bismarck,“ III Band. Berlin, 1881, str. 727 i nast.

sad duchownych, tyczy się tylko proboszczów nie zaś i innych duchownych, jak np. wikaryusze, i że ostateczna decyzja o tém, czy kandydat do probostwa może być dopuszczony, zależy od biskupa dyecezyi. Okazało się tedy, że obie strony wróciły do punktu, z którego wyszły. Jednakże w trakcie tych korespondencyi, rząd pruski przewidując, iż może dojść do porozumienia z kuryą, przygotowywał projekt do nowego prawa, którym go sejm miał upoważnić do dyskrecjonalnego stosowania lub niestosowania praw majowych. Chodziło o to, żeby sprawy kościelne oddać zupełnie w ręce administracyi, to jest ministra wyznań i nadprezesa regencyi, a to dlatego, ażeby jak mówiono, rząd mógł uczynić zadość słusznym zażaleniom swoich katolickich poddanych. Gdy w Rzymie poznano treść projektu do prawa dyskrecjonalnego, obejmującego 11 artykułów, i grożącego jeszcze większą samowolą kościołowi, zganiono je nie obiecując sobie żadnej ulgi na téj drodze. Pomimo tego, rząd pruski chociaż także z początku zamyslał porzucić cały projekt, jednakże potem złożył go najprzód izbie poselskiej, zjazd bardzo poszczerbiony przeszedł do izby panów i w końcu przyjęty, zyskał sankcyą królewską ¹⁾. Był to znów bardzo ważny krok w polityce kościelnej księcia kanclerza, albowiem czynił go panem sytuacji, bez potrzeby oglądania się na stronnictwa sejmowe i dekreta sądowe, oddawał całą sprawę o wynalezienie modum vivendi z kościołem w jego ręce. Co pod tym względem zrobił, i czy zrobił, jeszcze niewiadomo; obsadzenie pary biskupstw wakujących, było jedynym rezultatem otrzymanej od sejmu władzy dyskrecjonalnej.

Najnowsze układy prowadzone z kuryą rzymską pod koniec 1881 roku nie wchodzą do obecnego planu, gdyż szło nam jedynie o jaknajkrótsze przypomnienie tego, co ma związek z mowami ks. Bismarcka i co już należy do historyi.

Tarczą, do której ks. kanclerz pociski w mowach swoich natury kościelnej zwraca, jest stronnictwo katolickie w parlamencie, zwane także z przekąsem stronnictwem jezuickim, ultramontańskim, lub środkowym (Zentrumspartei, Zentrumsfraktion); uorganizowało się ono wkrótce po wojnie francuzko-pruskiej ²⁾.

¹⁾ „Politische Geschichte der Gegenwart,“ von W. Müller. Das Jahr 1880. Berlin. 1881, str. 87 i n.

²⁾ Ponieważ o stronnictwie tém często będzie mowa, podajemy o niem krótką wzmiankę. Wiadomo, że posłowie w parlamentach zajmują siedzenia znajdujące się w izbie odpowiednio do swoich przekonań politycznych. Umiarkowani, konserwatyści siadają po prawej stronie; postępowcy, liberalni po lewej. Środek zajmują ci, co ani do jednej, ani do drugiej partyi stanowczo nie należą, łącząc się to z tymi, to z owymi, jak im nakazuje interes. Otóż, tak w parlamencie cesarstwa jak i w sejmie pruskim, środek zajmują obecnie katolicy i ztąd poszła ich nazwa Zentrumspartei (centrum=środek). Stronnictwo to lubo z nazwy swojej wygląda na frakcyą religijną, w gruncie stanowić odłam polityczny i broni między innymi niezależności kościoła od su-

Akcya rządu pruskiego przeciwko katolikom była spowodowaną pewnym oporem tychże przeciw zbyt pośpiesznej unifikacyi żywiołów nowonabytych po szczęśliwych wojnach z Austryą i Francją, i z początku objawiła się w prasie. Pierwszy krok do złamania oporu tak katolików, jak i partykularystów, stanowiło zniesienie wydziału do spraw katolickich w ministerstwie wyznań (1871). Wprawdzie ten sam los spotkał i wydział do spraw ewangelickich; jednakże poddanie wszystkich spraw religijnych, bez względu na wyznanie, nowemu i jednemu wydziałowi, z protestanckich urzędników złożonemu, katolicy wzięli za krzywdę sobie specjalnie wyrządzoną. Okoliczność ta dała powód deputowanym środka do gwałtownego wystąpienia przeciw rządowi, szczególnie podczas obrad nad etatem wyznań. Na posiedzeniu izby deputowanych sejmu pruskiego w roku 1872, poseł Mallinckrodt wystąpił pierwszy z zarzutami; poparł go Windthorst, oskarżając rząd, jakoby nie dopuszczał katolików do wyższych urzędów i protestując przeciw zniesieniu wydziału do spraw katolickich. Odpowiadał na te zarzuty ks. Bismarck. „Poprzedni mówca, rzekł kanclerz, wspomniął o pokoju religijnym, jaki w Prusiech panował; ale mowa jego wcale do tego nie zmierzała, by ów pokój utrzymać. Zdania jego o przeciwnikach nie były nacechowane ani miłością braterską, ani też pokorą chrześcijańską, gdy o własnej sprawie mówił; nie mogą nawet powiedzieć, by fakta, które przytaczał, nosiły piętno prawdy, którą przecież wszystkie religie na czele swoich przepisów kładą. Gdy wchodził do izby, pan mówca właśnie twierdził: Wasze nie, to wcale nie dowód; tymczasem swoje tak bierze za zupełny dowód mnóstwa faktów, których nic nie potwierdza, oprócz jego twierdzenia i o których muszę powiedzieć, że je mam za nieprawdziwe, póki dowodów nie przytoczy... Jeżeli mówca gani najprzód to, że żaden katolik w ministryum nie zasiada, to

premacyi państwa. Wybitniejsi członkowie jego byli lub są: dwaj Reichen-spergerowie (staroprusey liberalni), Mallinckrodt (już zmarły), biskup Ketteler (zmarły), kanonik Moufang, proboszcz Westermeyer, hr. Ballestrem, baron Frankenstein, baron Heereman-Zudwyck, baron Hertling, Majunke redaktor „Germanii,” organu tego stronnictwa, baron Schorlemer-Alst, baron Zurbhein. Przywódcą partyi jest bardzo zręczny i wymowny Ludwik Windthorst, wybierany z okręgu Meppen i dlatego zwany szyderczo „perłą meppeńską,” o której kanclerz powiedział, że ten przydomek podziela, dodając zaraz, że dla niego „wartość perły od jej barwy zależy.” Windthorst urodził się w r. 1812, był ministrem niegdyś hanowerskim, a w końcu nadprokuratorem koronnym (Kronoberanwalt) w Cello. Stronnictwo środkowe głównie pracuje nad odwołaniem praw majowych i gdy widzi, że rząd gotów jest poczynić w nich na korzyść kościoła chociażby niewielkie zmiany, że się chce zbliżyć do kuryi rzymskiej, popiera politykę kanclerza. Jak to było w r. 1879 podczas rozpraw nad taryfą celną. Liczy ono przeszło stu posłów w parlamencie (103 w r. 1878) a blisko tyleż w sejmie pruskim (95 w r. 1878). Patrz „Staatslexicon” von K. Baumbach, (Lipsk, 1881).

i ja nad tém bardzo ubolewam: z radością powitałbym bowiem kolegę katolika. Ale tak jak rzeczy obecnie się mają, w państwie konstytucyjnym, ministerya muszą być wyrazem większości sejmu, któraby nasz kierunek całkowicie popierała. Czyż mówca sądzi, że gdybyśmy wybrali ministeryum z frakcyi, do której sam należy, mielibyśmy wówczas za sobą większość? Wątpię o tém. Bez pewnej jednolitości jest ministeryum dzisiaj niemożliwe, chociaż bowiem każdy z wydziałów postępuje z niejaką swobodą, jesteśmy przecież wspólnie odpowiedzialni. Ja odpowiadam za to, co pan minister wyznań (Falk) czyni, a on ze swój strony, gdyby nie chciał być odpowiedzialnym za to, co ja czynię, musiałby ustąpić. Dlatego musimy pobłażliwiej wzajem patrzeć na rzeczy mniejszej wagi. Mówca sam się do tego przyłożył, że trudno nam zapomnieć o wyznaniowém stanowisku w sprawach politycznych.

„Odrazu już uważałem to za najpotworniejsze zjawisko na gruncie politycznym, gdy w zgromadzeniu politycznym utworzyła się frakcja wyznaniowa. Frakcyi téj, gdyby wszystkie inne wyznania trzymały się podobnej zasady, należałoby przeciwstawić ogół frakcyi ewangelickiej: wtedy znaleźlibyśmy się na polu niewiary, albo — bowiem wprowadzilibyśmy teologią do zgromadzeń publicznych, by ją uczynić przedmiotem rozpraw z trybuny. Był to wielki błąd polityczny, który panowie należący do stronnictwa mówcy popełnili, tworząc czysto wyznaniową frakcję na gruncie całkiem politycznym i pociągając najrozmaitszemi środkami do spółki swoich spółwierzów, należących do wszelakich stronnictw... Gdym z Francyi powrócił, sądziłem, że rząd dozna pomocy ze strony kościoła katolickiego, pomocy bardzo może niewygodnej, z której bardzo ostrożnie należałoby korzystać. Troskałem się niemało, jakby tu z politycznego stanowiska zacząć, ażeby wymagających prawdopodobnie przyjaciół zadowolnić i żyć z nimi w trwałej zgodzie, tak jednak, by z większością kraju węzła nie zerwać. Troska ta opadała mnie zawsze, ile razy zwracałem się do spraw wewnętrznych. Byłem rzeczywiście zdziwiony postawą, jaką uruchomiona armia przybrała. Jednakże na pierwszym posiedzeniu parlamentu jeszcze się ze zdaniem o rzeczach tych wstrzymał; powiedziałem sobie: rzecz jest poważna, trzeba poczekać, jak się partya rozwinie, czy przyjaźnie, czy nieprzyjaźnie postawi, i milczałem. Ale z tamtéj strony nie milczano...

„Spodziewaliśmy się po stronnictwie ściśle kościelném pomocy dla rządu, że będzie oddawało cesarzowi, co jest cesarskie, że nawet mniemając, iż rząd błędzi, będzie jednak budziło poszanowanie dla niego we wszystkich kołach, mianowicie w warstwach mniej oświeconych. Tymczasem ze zdumieniem i smutkiem przekonałem się, że mowy do wyborców, że artykuły dziennikarskie odwoływały się do namiętności warstw niższych, do pospólstwa, by je przeciw rządowi podbechtać. Z drugiey strony nie uczyniono nic, żeby jakąś omyłkę rządu usprawiedliwić; lecz przeciwnie, wszystko, co było do zganienia,

nadzwyczaj ostro sądzono... Świadczenia z wysoka, od Jego Świątobliwości papieża i biskupów pochodzące, dowodzą, że co się tyczy spraw religijnych, byli z nas zadowoleni; myśleliśmy więc, że to zadowolenie okaże się za pomocą wpływu na popólstwo z kazalnicy i w konfesyjone. Ale gdym spostrzegł, że się całkiem przeciwnie działo, że z jednej strony żądano dla cesarstwa takich samych stosunków kościelnych, jakie były w Prusach, a z drugiej te stosunki i urzędnicy w niekorzystnym świetle popólstwu okazywano, wtedy zacząłem wątpić i o krok się cofnąłem.

„Jest stanowczą wolą rządu, ażeby każde wyznanie religijne, a przedewszystkiem tak poważne liczbą wyznawców, jak katolickie, mogło się w państwie z całą swobodą poruszać. Ale, żeby poza swoją sferą miało jakąś władzę rozciągać, na to pozwolić nie możemy, i zdaje mi się, że spór rozpoczęto nie tyle dla obrony, ile raczej dla zdobyczy w celach hierarchicznych... Prawa państwa nie pozwalają dawać biskupowi katolickiemu mocy uwalniania ze służby jakiegoś urzędnika państwowego. Nie możemy powierzać władzom duchownym wykonywania części władzy politycznej, a o ile ją mają, uważamy za konieczne ograniczyć te atrybucje, ażebyśmy obok siebie miejsce znaleźli, ażebyśmy w pokoju żyć mogli, ażebyśmy jak najmniej potrzebowali zajmować się teologią.

„Muszę też bronić stanowiska rządu, by w państwie uznając równość wyznań, nie wymagano od niego jakiegoś kierunku wyznaniowego. Rząd jakikolwiek mógłby wyznaniowo tylko w takim razie działać, gdyby miał do czynienia z jakąś religią państwową, której my nie mamy. Zamiast tego, mówca chciałby zaprowadzić jakie pięć lub sześć religii państwowych i każdej zapewnić polityczne stanowisko. Powtarzam bowiem, że to, czego stronnictwo środkowe żąda dla kościoła katolickiego, to z równą słusnością mogłoby być żądane ze strony wszystkich chrześcijańskich i niechrześcijańskich wyznań, mianowicie, żeby każde z nich miało udział w rządzie stosownie do liczby swoich wyznawców.”

Nad tym samym przedmiotem, co poprzednio, ciągnęły się rozprawy w izbie deputowanych sejmu pruskiego na następnym posiedzeniu (31 stycznia 1872). Deputowany Mallinckrodt znów zarzucał rządowi, że katolików tendencyjnie usuwa od wyższych urzędów i broni się przeciw nazywaniu stronnictwa swojego wyznaniowem. Książę Bismarck na pierwszy zarzut odrzekł między innemi: „Czy państwo ci chcą wogóle mieć jakieś urzędy i posady pod takim rządem? Sądzę, że nie; a nawet gdyby chcieli, czyż mogliby je zgodnie ze swym sumieniem i przekonaniem przyjąć?” Na zbiecie drugiego zarzutu, jakoby stronnictwo środkowe nie było wyznaniowem, kanclerz odczytał tłumaczony z polskiego manifest do wyborców Górnego Szlązka, przeważnie Polaków, zalecający im wybierać do sejmu koniecznie katolika. „Pytam się więc, mówił Bismarck, czy to nie jest podstępne staranie się o mandat poselski za pomocą przeinaczania prawdy, gdy nie-

ukształconej, po polsku mówiącej ludności Szlązka wmawia się, że rząd i sejm chcą katolików zamienić w pogan, a nawet uczynić ich niewolnikami niewiernych?"

Gdy znów chodziło o uchwalenie prawa o nadzorze szkolnym (lut, 1872) i usunięcie proboszczów katolickich od tego urzędu, a zastąpienie ich świeckimi inspektorami, czytał kanclerz wyjątek z „Katolika,” redagowanego przez Karola Miarkę w Königshütte, gdzie między innymi stało: „Jezus, Maryja, Józef! ratujcie nas z ręki nieprzyjaciół, albowiem ginieiny. O Boże! czemuż nas wydajesz na takie prześladowanie, czemu pozwalasz, by się wrogowie z Twojego ludu naigrawali?” Kto są ci wrogowie? pyta kanclerz. A czytając dalej, przytacza, że wrogami są „żydzi i innowiercy.” Otóż „tymi innowiercami my wszyscy jesteśiny, o których Katolik pisze, że potem i krwią ludu żyją i bogacą się; i takimże to oszustom macie wierzyć i pozwalać, by was tumaniłi?”

„A więc, moi panowie, ciągnął dalej kanclerz, ludzie, którzy takie dzienniki redagują, nie służą pokojowi. O tym „Katoliku” mówiono mi, że wziął sobie za cel, ażeby w wiernym nam po wszystkie czasy Górnym Szlązku utworzyć frakcją polską i że mu się to przy pomocy duchownych katolickich, poczęści Niemców, udało. To mi daje sposobność mówienia o innym waszym sprzymierzeńcu, który także sporów i walki potrzebuje. Są to usiłowania szlachty polskiej. Dotychczas jeszczeż żadnego przypadku nie przytoczył, któryby okazywał, że tę frakcją, mówię wyraźnie nie polską, ale frakcją szlachty polskiej, w jej usiłowaniach bezpośrednio wspieracie. Tymczasem jest to fakt, któregożby nikt nie zaprzeczył, gdybym mu dał do przejrzenia akta będące u mnie, że duchowieństwo katolickie wogóle, nawet i niemieckie, sprzyja usiłowaniu szlachty polskiej, dążącym do oderwania się od cesarstwa Niemieckiego i monarchii Pruskiej, ażeby dawną Polskę w jej starych granicach przywrócić. Otóż, jest to jeden z najdrażliwszych punktów, w których kościół katolicki przeciw rządowi rozpoczął walkę, i co do których każdy minister, świadom odpowiedzialności swojej, musi czuwać, by państwo w przyszłości pod tym względem ubezpieczyć.

„Co do usiłowań szlachty polskiej, nie potrzebuję ich charakteryzować, panowie ci bowiem nie kryją się z niemi; są oni zawsze gotowi jedną ręką przyjmować dobrodziejstwa cywilizacyi, prawidłowego wymiaru sprawiedliwości i swobody (!), jakie im konstytucya pruska zapewnia, trzymając w drugiej miecz i otwarcie mówiąc: ja cię tu zarąbię, jak mi się dobra sposobność nadarzy, albowiem z obecnego stanu rzeczy jestem niezadowolony i chcę go rozbić.

„Pan deputowany Strosser sądzi, że jeżeli sprawy te są niebezpieczne dla państwa, nie trudno byłoby je odesłać do sądów. Otóż, myślałem, że się nieco więcej o praktyczne życie ocierał, by mógł tak niestosownie wyrazić zdanie: przed sądami ludzie umieją się wymknąć. Zarzuty, jakie czynimy duchownym inspektorom szkolnym w tych pro-

wincych, gdzie język polski nie przeważa, ale gdzie nim wogóle mówią, są te, że językowi niemieckiemu nie pozwalają dojść do słusznego prawa, lecz działają w tym kierunku, by go zaniedbywano i nie uczono; że nauczyciel, którego uczniowie postęp w języku niemieckim uczynili, nie otrzymuje od swego duchownego inspektora pochlebnego świadectwa. Pamiętajcie panowie, że za poprzedniego ministra wyznań (v. Mühler), większą część radców szkolnych mianowały zarządy prowincjonalne, a zatém najwyższa instancja prowincjonalna, z pomiędzy ludzi, którzy, nie wiem dlaczego, chociaż byli Niemcami, z temi usiłowaniami polskimi sympatyzowali; nauczycielom prowincji na pół polskich, gdzie dzieci po niemiecku nie uczono, okazowali życzliwość, a tych znów, których uczniowie dobre postępy w niemieczyźnie czynili, surowo traktowali; którzy to działali, że w zachodnich Prusach mamy gminy, przedtém niemieckie, a gdzie teraz nadrastające pokolenie po niemiecku już nie rozumie; gminy zatém spolszczone i to po stu latach naszego posiadania. Otóż, mówię panom, żebyście tój powolności nie przeceniali: ma się ona ku końcowi, a my wiemy, cośmy państwu obowiązani.

„Macie panowie zamiar, jak mi mówiono, wystąpić z dalszemi wnioskami i skargami w interesie języka polskiego; my zaś odpowiemy na nie projektami do praw na rzecz języka niemieckiego, nawet i co się tyczy prowincji Poznańskiej. Jest to bowiem konieczne, ażeby mieszkańcy tam osiedleni własnym sądem umieli oceniać państwo, w którym żyją; żeby nie byli w potrzebie wierzyć kłamliwym obrazom, jakie im mądrzejsi ludzie na ich język tłómaczą, gdy oni sami nie są zdolni utworzyć sobie własnego zdania. Uważamy to za potrzebne, by każdy obywatel państwa mógł sam poddać krytyce państwo, które ponad nim stoi, i dlatego nieodzowném jest, by język niemiecki był bardziej niż dotychczas, popierany, ażeby rozumienie jego do większych kół przeniknęło. Prawo zatém o wychowaniu, oraz inne projekta, które wam złożymy, muszą być tą dążnością ożywione. Czekaliśmy długo, czekaliśmy sto lat na rezultaty innéj metody; na przyszłość weźmiemy sobie mniej więcéj za wzór to, czego np. Francja trzymała się w Alzacyi, ku wielkiemu zadowoleniu Alzatów.”

W tój argumentacji księcia kanclerza uderza nas przedewszystkiém gołębia jego prostota: chce on uczyć Polaków poddanych pruskich po niemiecku dlatego, by mogli rząd krytykować i mierzyć dobrodziejstwa jego z rozumienia gazet niemieckich i rozmaitych Gesetzblattów, jak gdyby kanclerz nie wiedział, że o dobrodziejstwach rządu przekonywają obywateli fakta, czyny, które i bez niemieczyzny najuboższy i najprostszycy obywatel zrozumieć. Ale dajmy pokój spóźnionój i zbytecznój krytyce, a wracajmy do innych wystąpień księcia Bismarcka.

Większą, niż w izbie poselskiej, spotkało prawo o dozorze szkolnym opozycją w izbie panów, gdzie pierwszy hr. Buiński przeciw nie-

mu zaprotestował. Książę kanclerz znów z tego powodu najeżdżał ostro na Polaków i kilkakrotnie z przekąsem powtarzał, że polityków katolickich, głosujących za natchnieniem swojego spowiednika, nie można mierzyć tą samą miarą, co ewangelickich. „Nie jest moim zamiarem, mówił z okazji tego prawa, podnosić na nowo sporu wszczywanego nieraz i tutaj i gdzieindziej, o stanowisku żywiołu polskiego w państwie Pruskiem. Akta, dotyczące tego sporu, są wszystkim dostępne; proces jeszcze się ciągnie, mowami rozstrzygnąć się on nie da; rozstrzygnie go prawodawstwo i oświata. By tę ostatnią podnieść, rząd królewski potrzebuje przedewszystkiemi, by nauka niemczyzny w prowincjach polskich była oparta na trwalszych podstawach, i to nie tylko w Poznańskim, lecz także na Szlązku Górnym i w Prusach zachodnich.”

I ta mowa ks. Bismarcka mieści wiele szczegółów faktycznych i poglądów kanclerza na żywioł polski, których jednak niepodobna tu powtarzać, gdyż mamy jeszcze dość materiału do obrobienia. Zauważyć jednakże warto, iż prawo o dozorze szkolnym nie tyle było wymierzone przeciw kościołowi katolickiemu wogóle, ile raczej przeciw polonizmowi. Pod tym względem mowy kanclerza nie pozostawiają żadnej wątpliwości: argumenta w nich użyte są bardzo słabe, ale intencje tak szczerze, jak rzadko się zapewne zdarza dostojnemu księciu, pomimo, że go biografowie nazywają wcieloną szczerością. Sam on wreszcie w tę szczerłość swoje wierzy, gdy wątpiącym posłom niby dobrodusnie powiada, jak np. Windthorstowi: „mogę panu ze zwykłą swoją szczerością genezę tego postanowienia wyłożyć.” Chodziło zaś o wymazaną z budżetu na r. 1875 pożyczkę na posła niemieckiego przy papieżu. Spór o to poselstwo ciągnął się długo i z powodu niego kanclerz kilkakrotnie przemawiał w parlamencie niemieckim. Mowy te były bardzo głośne w swoim czasie i do dziś dnia echo ich nie przebrzmiało; pomówimy o nich razem i na innem miejscu; tymczasem trzeba jeszcze zatrzymać czytelnika przy rozprawach nad prawami majowymi, gdy się toczył spór o władzę między królewskością a kapłaństwem (*Machtsreit zwischen Königthum und Priesterthum*).

Treść praw majowych podano wyżej, tu zatem jej nie powtarzamy. Spotkały one gorącą opozycją w izbie poselskiej sejmu pruskiego; w izbie panów również przeciw nim wystąpiono. Wówczas na posiedzeniu izby panów 10 marca 1873 r., zabrał w ich obronie głos ks. Bismarck i tak mówił: „Poprzedni mówca (baron Zedlitz) wszedł na tę samą drogę, na którą i w izbie poselskiej weszli przeciwnicy złożonych projektów, mianowicie, nadając im charakter wyznaniowy, a raczej kościelny. Sprawa, którą się zajmujemy, została, mojem zdaniem, sfalszowana, a światło, w jakim ją rozważamy, jest fałszywe, gdy się ją bierze za wyznaniową, kościelną. Jestto w gruncie sprawa polityczna. Nie chodzi tu o walkę, jak w naszych katolickich spółobywatele wmawiają, dynastji ewangelickiej przeciw kościołowi katolickiemu, nie chodzi o spór między wiarą a niewiarą; chodzi zaś o przed-

wieczny spór tak stary jak ród ludzki, spór o władzę między królewskością a kapłaństwem; spór dawniejszy niż ukazanie się naszego Zbawiciela na ziemi; spór podobny do tego, w jakim Agamemnon zostawał w Aulidzie z wróżbitami (Kalchas), a który go przyprawił o utratę córki (Ifigenia) i nie dozwolił Grekom odpłynąć¹⁾; spór o władzę, który historią Niemiec w wiekach średnich aż do rozkładu cesarstwa Niemieckiego wypełnił, i znany jest pod nazwą walki papieżów z cesarzami; który w wiekach średnich tém się skończył, że ostatni potomek świetnego rodu Hohenstaufenów (Konradyn) pod toporem francuzkiego zdobywcy zginął na szafocie (1268), a ten zdobywca francuzki (Karol andegaweński) z ówczesnym papieżem (Urban IV) w sojuszu zostawał. Byliśmy bardzo blizcy podobnego położenia, tylko oczywiście w innych warunkach naszego czasu.

„Gdyby wojna francuzka, której wybuch z ogłoszeniem dekretów soboru watykańskiego spółcześnie nastąpił, była dla Francyi pomyslną, jakby téż to u nas w Niemczech pośród sfer kościelnych umiano deklamować o dziełach bożych przez Franków dokonanych! (gesta Dei per Francos). Podobne plany układano przed ostatnią wojną z Austryą, podobne przed Ołomuniecką ugodą (29 listopada 1850 r.), kiedy to ułożono podobny sojusz przeciw władzy królewskiej takiéj, jaka u nas istnieje, na podstawie, której Rzym nie uznaje. Jest to, mojem zdaniem, fałszowanie polityki i historii, gdy się Jego Świątobliwość papieża poczytuje wyłącznie za arcykapłana pewnego wyznania, lub kościół katolicki za reprezentanta spraw kościelnych wogóle (das Kirchentum).

„Papieżstwo było zawsze potęgą polityczną, która z największą stanowczością i powodzeniem wdzieraa się w sprawy tego świata, która tego mieszania się pragnęła i za swój programat uważaa. Cel, który władzy papieżkiej, podobnie jak Francuzom granica Renu, ciągle snuł się przed oczami, programat, który w epoce średniowiecznych cesarzów blizki był urzeczywistnienia, polegał na poddaniu i ujarzmieniu władzy świeckiej przez duchowną, cel wysoc polityczny, ale téż stary jak ludzkość. Zawsze bowiem znaleźli się bądź ludzie przebiegli, bądź rzeczywisci kapłani, którzy utrzymywali, że wola boza lepiéj jest im znaną, aniżeli ich bliźnim, i że oni na podstawie tego twierdzenia, mają prawo rządzić swoimi spółbraćmi. Ze znów takie twierdzenie jest fundamentem uroszczeń papieżkich do panowania, rzecz to wiadoma. Nie potrzebuję tu przypominać dokumentów po sto razy przytaczanych i krytykowanych, są one bowiem nietylko juris publici, ale każdemu, kto choćby powierzchownie świadom dziejów, znane.

„Walkę kapłaństwa z królewskością, walkę w tym razie papieża z cesarzem niemieckim, znaną już w średnich wiekach, należy oceniać

¹⁾ „Ifigenia w Aulidzie,” tragedia Eurypidesa. Przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1881.

jak wszelką inną walkę: widzimy w niej sojusze, zawieranie umów, chwile wypoczynku i rozejmy. Bywali papieże pokojowi, bywali wojowniczy i zdobywcy; był nawet pokojowy król francuzki, chociaż Ludwik XVI widział się zmuszonym prowadzić wojnę. A więc nawet sąsiedzi nasi francuzcy mieli monarchów, którzy więcej pokój, niż wojnę miłowali. I w walkach władzy papieżkiej nie zawsze tak bywało, by państwa katolickie były wyłącznie sprzymierzeńcami papieża; i księża nie zawsze po stronie papieża stali. Bywali kardynałowie ministrami wielkich mocarstw i to w czasie, gdy mocarstwa te przeprowadzały nawet przemocą politykę anty-papieżką. Widziano też w szeregach cesarzów niemieckich biskupów, działających przeciw interesom papieżkim. A więc ta walka o władzę podlega tym samym warunkom, co każda walka polityczna, i jest to już przeniesieniem sprawy na inne pole, obrachowaniem na obałamucenie ludzi bezmyślnych, gdy się ją wyobraża jakoby tu chodziło o ucisk kościoła. Tu chodzi o obronę państwa, chodzi o rozgraniczenie i określenie jak daleko ma się rozciągać władza księzowska i dokąd sięgać władza królewska, a rozgraniczenie to należy tak obmyśleć, by państwo przy niém ostać się mogło, albowiem w królestwie tego świata ono ma rząd i przodek."

Zboczywszy na chwilę do organizacyi stronnictwa środkowego, do którego, będąc we Francyi (1870), mało przywiązywał wagi, kanclerz tak dalej mówił: „Ale gdym powrócił i tu się znalazł, dopiórom spostrzegł jak silną była organizacya tego stronnictwa kościoła, walczącego przeciwko państwu; dojrzałem postępów, jakie czynił wydział do spraw katolickich w ministeryum wyznań, przez tamowanie języka niemieckiego w prowincjach polskich. Wynurzyła się na Szlązku, gdzie dotychczas nie było przykładu, partya polska przy współdziałaniu duchownej opieki i faktycznej obronie dążeń kościelnych. Ale i to nie byłoby miało stanowczego wpływu; dopiero potęga, jaką rozwinęło nowo utworzone stronnictwo, zwróciło uwagę moją na niebezpieczeństwo. Zaczęto opuszczać deputowanych osiadłych i poważanych w okręgach wyborczych, a na hasło z Berlina dane, wybierać takich, którzy nawet z imienia w okręgach owych nie byli znani; działo się to nie w jednym, lecz w wielu okręgach. Rozciągnięto tak mocną organizacją i zyskano taki wpływ na umysły, jakich było potrzeba, ażeby program biskupa mogunckiego (W. E. Kettler † 1877 r.) urzeczywistnić. Do czego zmierzał ten program? Czytajcie go, jest on drukowany zwięźle ułożony i przyjemny w czytaniu. Zmierzał on do tego, ażeby w państwie Pruskiem utworzyć polityczny dualizm, zaprowadzić państwo w państwie ¹⁾, i wszystkich katolików skłonić, by zarówno w życiu prywatnym jak i politycznym, szli wyłącznie za kierunkiem stronnictwa środkowego.

¹⁾ Przypomina to słowa Aleksandra margrabiego Wielopolskiego, gdy przyjmując, jako dyrektor wyznań duchowieństwo warszawskie, rzekł, iż „nie ścierpi rządu w rządzie“ (2 kwiet. 1861 r.).

„Tym sposobem doszliśmy do dualizmu najgorszego rodzaju. Wprawdzie tam, gdzie stosunki do tego się nadają, można rządzić dualistycznie, przykładem jest monarchia Austriacko-Węgierska. Ale tam nie masz dualizmu wyznaniowego; tu zaś chodzi o utworzenie dwóch państw wyznaniowych, któreby się ze sobą w dualistycznej walce ścierały, z których jedno ma swojego naczelnika za granicą mieszkającego w Rzymie, i który, dzięki ostatnim zmianom w organizacyi kościoła katolickiego, stał się potężniejszym (!), niż był poprzednio. Gdyby się ten program urzeczywistnił, mielibyśmy, zamiast dotychczasowej spójnej monarchii Pruskiej, zamiast zjednoczonego cesarstwa Niemieckiego, dwa obok siebie równoległe idące organizmy polityczne, z których jeden widzi swój sztab generalny w partyi środkowej, a drugi w świeckim początku, oraz w rządzie i osobie J. Cesarskiej Mości. Takiego położenia rząd stanowczo nie mógł przyjąć; obowiązkiem jego było bronić państwa, przed niebezpieczeństwem ztąd wynikającemi.“

Jak książę kanclerz nie lubi Polaków, okazało się to i podczas tych rozpraw, nad prawami majowemi; zdawałoby się nawet, że to oni spowodowali zmianę pokojową na wojowniczą politykę kościelną. Kiedy bowiem w izbie panów Gruner zauważył, że zmiana polityki kościelnej nastąpiła po r. 1870, kanclerz przyznał to, dodając, że „do roku 1871, do czasu zawiązania się stronnictwa środkowego i uorganizowania jątrzącej prasy kapłańskiej w całych Niemczech (die hetzende Kaplanpresse), do czasu utworzenia stronnictwa polskiego na Szlązku i nadużywania władzy kościelnej, że do tego czasu panowało życzliwe, pojednawcze usposobienie.“ Nie z mniejszą niechęcią odzywa się ks. Bismarck o stronnictwie środkowem, przy każdej sposobności, przyczem dostaje się głównie kościołowi katolickiemu. Czasami identyfikuje stronnictwo środkowe z internacyonalem, zarzucając mu, że chociaż innemi drogami, dąży jednak do tego samego celu co i socjaliści, t. j. do rozsadzenia państwa. „Skutki działania obu tych stronnictw, mówił kanclerz, odpowiadając hr. Brühlowi, są te same. Ci, których ządną władzy i buntowniczą partyą wśród duchowieństwa nazywam, wiedzą, czego chcą. Oświadczyli oni publicznie: chcące wojny, będziecie ją mieli. Mówią oni w swoich prywatnych rozmowach, całkiem obojętnie o „wojnie domowej.“ Są oni wrogami państwa, i dlatego mam prawo tak ich nazywać. Stronnictwo środkowe, bacząc na skutki jego polityki, jest jak bateria ustawiona przeciw państwu; artylerzyści, którzy nią kierują, inżynierowie, którzy ją usypali, wiedzą doskonale, dokąd i w co mierzą. Utworzenie stronnictwa środkowego, które przy innej sposobności nazwałem uruchomieniem armii przeciw państwu, utworzenie stronnictwa wyznaniowego w państwie, równało się zbrojeniu przeciw niemu i to w czasie, gdy, jak panowie sami przyznajecie, położenie kościoła katolickiego w Prusach było tak korzystne, jak tylko być gdzie może. W tym czasie więc utworzyło się stronnictwo wyznaniowe, o którego celach publicystyka dostatecznie nas uczy, miano-

wicie, żeby z katolików uorganizować osobne państwo w państwie, pewien rodzaj dualizmu, z którym sobie inni niech radzą jak umieją. Jedynym przeciw temu środkiem byłoby utworzenie wyznaniowej partii ze wszystkich niekatolików: środka tego przecież używać nie potrzebujemy.“

Najgłośniejsze jednak ze wszystkich mów kanclerza i dotychczas częściowo powtarzane i w wyjątkach przytaczane, były mowy jego w parlamencie cesarstwa, podczas rozpraw nad etatem dla posła niemieckiego przy papieżu, oraz nad zniesieniem tegoż poselstwa. Przez trzy lata, t. j. 1872, 1873 i 1874, ciągnęła się ta dyskusja namiętna, zawziętością przypominająca spory teologiczne państwa Bizantyńskiego z IV i V wieku, lub zatargi cesarzów niemieckich z domem Hohenstaufenów z papieżami w wiekach średnich, z któremito zatargami, kanclerz wcale trafnie porównywa swoje zapasy ze stronnictwem środkowem i kuryą rzymską.

Pierwszą z mów ks. Bismarcka w tej sprawie mianych, nazywają Niemcy *Canossa-Rede*; dlaczego ją zaś tak nazywają, zaraz zobaczymy. Było to na posiedzeniu parlamentu, w d. 14 maja 1872 r., a więc bez mała dziesięć lat temu, gdy się toczyły rozprawy nad budżetem na rok 1873. Deputowany Bennigsen zwrócił uwagę obradujących na pozycyą, zamieszczoną w budżecie, wynoszącą 19,350 talarów, a przeznaczoną na utrzymanie poselstwa przy papieżu i domagał się wykreślenia jej z preliminarza. Na to zabrał głos ksiądz kanclerz i tak mówił: „Dla cesarstwa Niemieckiego jest rzeczą bardzo ważną, jak ono się ma postawić względem głowy kościoła katolickiego, który tak niezwykle wielki wpływ u nas wywiera. Prawie wątpię, ażeby poseł cesarstwa Niemieckiego, wobec panującego obecnie nastroju w kościele katolickim zdołał, nawet przy najrzęczniejszej dyplomacyi, przez perswazyą, — o groźbie, jak się to dzieć zwykło między dwoma świeckimi państwami, mowy tu być nie może — przez perswazyą, mówię, zdołał wywierać wpływ, któryby mógł zasadniczo zmienić stanowisko, jakie Jego Świątobliwość papież, względem spraw świeckich zajął. Po ustanowionych i publicznie ogłoszonych dogmatach w kościele katolickim, nie uważam za możebne, by świeckie jakieś państwo mogło dojść do konkordatu, jeżeli nie chce być do pewnego stopnia przyćmione i to w sposób, na który przynajmniej cesarstwo Niemieckie zgodzić się nie może. Nie bójcie się panowie, nie pójdziemy do Kanossy ani ciałem, ani duchem! (gorące brawo). Pomimo tego, nikt nie zaprzeczy, że położenie cesarstwa Niemieckiego, że nastrój w Niemczech na polu religijném, są zamącone.“

Usunięcie tego stanu rzeczy, da się, podług kanclerza, osiągnąć w drodze prawodawczej i dlatego staje on w obronie prawodawstwa polityczno-kościelnego. Ponieważ zaś na posła przy papieżu proponował rząd pruski kardynała Hohenlohe, którego Pius IX nie przyjął, więc zwracając się do tego zajścia, ks. Bismarck tak nad niém ubolewał: „Spodziewałem się, że wybór posła, cieszącego się zaufaniem

stron obu, raz, ze względu na swoją miłość prawdy i warogodność, a drugi raz ze względu na pojednawcze jego usposobienie, że wybór takiego posła, którego cesarz w osobie znanego księcia kościoła upatrzył, będzie mile widziany w Rzymie, że będzie przyjęty jako rękojnia naszych życzliwych, pokojowych dążeń, że będzie użyty jako most, w celu porozumienia się wzajemnego. Do tej nominacji przywiązywano ze strony ewangelików i liberalnych pewne obawy, które, moim zdaniem, pochodziły z niewłaściwego ocenienia stanowiska posła czy ambasadora wogóle. Poseł, jest w gruncie tylko naczyniem, które, gdy zostanie napełnione instrukcjami swojego monarchy, dopiero pełnej wartości nabiera. Żeby zaś to naczynie było przyjemnym i wdzięcznym, takim, coby według swojej natury, jak to mówiono o dawnych kryształach, nie mogło przyjąć w siebie ani żółci, ani trucizny, to rzeczą jest pożądaną, zwłaszcza w tak delikatnych stosunkach, jak są te, o których mówimy. To właśnie spodziewaliśmy się zyskać. Na nieszczęście, z powodów, które nam jeszcze nie są znane, te życzenia rządu cesarskiego, zostały przez odmowę ze strony kuryi papieżkiej, sparalizowane. Muszę wyznać, że wypadki podobne rzadko się zdarzają. Jest we zwyczaju, że gdy panujący wybierze już kogoś na posła, zwraca się przez grzeczność, do monarchy, przy którym ma być uwierzytelniony z zapytaniem, czy będzie on dla niego persona grata. Bardzo rzadko się znów zdarza, by na takie pytanie odpowiadano przecząco, gdyż to pociąga za sobą cofnięcie raz już danej nominacji; a co cesarz uważa za konieczne, czyni to już nim z zapytaniem wystąpi. Przecząca odpowiedź równa się w tym razie oświadczeniu: odrób, coś zrobił, boś się w wyborze pomylił. Już blisko lat dziesięć jestem ministrem spraw zagranicznych, a od lat dwudziestu i jeden obracam się w sprawach wyższej dyplomacji, sędzę jednakże, iż się nie mylę gdy twierdzę, iż jestto jedyny i pierwszy wypadek, którego doczekał, ażeby na takie zapytanie przecząco odpowiadano.“

Pomimo tego, książę obiecał nie zrażać się tą odmową papieża i szukać przyjemniejszego dlań posła, niż kardynał Hohenlohe. Gdy następnie wystąpił Windthorst za utrzymaniem pozycji w budżecie na poselstwo przy papieżu, na co i kanclerz się zgadzał, i gdy w ciągu mowy, wspomniany przywódzca partii środkowej, pozwolił sobie krytykować kardynała Hohenlohe, książę Bismarck zauważył: „Nie chciałbym się wdawać w ocenianie krytyki, dotyczącej osoby kardynała, którą poprzedni mówca z trybuny wyraził; chodzi mi jedynie o słówko „pan”—Dienstherr, którego muszę nieco dotknąć. Pan mówca jest niewątpliwie biegły w historii, o ile też sprawy kościelne zawiera, i dlatego niech mi wolno będzie zapytać go, kto też był panem kardynałów: Richelieu'go i Mazariniego? Obaj ci panowie, będący w służbie swojego monarchy, króla francuzkiego, chociaż byli kardynałami, bardzo ważne sporne pytania ze stolicą rzymską mieli do załatwienia i one przeprowadzili. A więc porównanie kardynała z generał-adjutantem, chociaż może i nie jest

tak bardzo decydującem, jednakże, gdyby się Jego Świątobliwości podobalo generał-adjutanta nuncyuszem zamianować, zalecałbym Jego Mości Cesarzowi stanowczo, ażeby go przyjął.“

W końcu téj mowy nastąpiło groźne zapewnienie, jakiem kanclerz często wystąpienia swoje wieńczy: „Mogę zapewnić pana mówcę, że wobec pretensyi jakie niektórzy poddani, stanu duchownego w państwie Pruskim żywią, jakoby mogły być prawa krajowe nieobowiązujące ich, że wobec podobnych pretensyi, potrafimy zachować całkowitą i jednolitą zwierzchnią władzę wszelkimi środkami, któremi rozporządzamy, i że pod tym względem jesteśmy pewni zupełnego poparcia ze strony znacznej większości obu wyznań. Władza zwierzchnia (die Souveränität), może być tylko jedna i jednolita i taką musi pozostać: władza zwierzchnia prawodawstwa! Kto zaś prawa swojego kraju za nieobowiązujące siebie uważa, sam się stawia poza prawem. Jako minister, niemam panu nic więcej do powiedzenia; ale jako chrześcianin ewangelik, jeszcze coś dodam: jeżeli mówca sądzi, że odłączenie kościoła ewangelickiego od państwa byłoby śmiercią dla pierwszego, muszę mu odpowiedzieć to, com z całej jego akcji naprzód przewidywał, że mujeszce prawdziwe pojęcie ewangelii nie zaświtało.“

Zauważmy tu pewną emfazę, z jaką ks. Bismarck mówi o swojej ewangelickiej wierze: przyda się nam ta uwaga na później, gdy mu niejaki p. Gerlach zarzucać będzie, iż chce państwa bezwyznaniowego i pogańskiego.

Następnego roku (1873) sprawa o poselstwo przy papieżu, znów była przedmiotem dyskusyi w parlamencie cesarstwa. Deputowany Löwe, domagał się zniesienia poselstwa przy papieżu i wykreślenia z budżetu spraw zagranicznych pozycyi, na utrzymanie tegoż przeznaczonej. Kanclerz sprzeciwił się wnioskowi deputowanego z tój mianowicie pobudki, że chociaż papież stracił władzę świecką, jednakże dyplomatyczne z nim stosunki, jako z głową kościoła katolickiego, mogą się czasem okazać potrzebnymi. „Nie chciałbym, mówił, ażeby nas tego środka pozbawiono, gdyż może się przydać w dalszym czasie; spór bowiem, w którym zostajemy, jest téj natury, iż obu stronom trudno pierwszy krok do zbliżenia się uczynić, obie bowiem są mniemania, iż stała im się krzywda. Sądzę, że utrzymanie téj pozycyi w budżecie daje możność, że zmianą okoliczności, porozumienia się tak, żeby żadna ze stron nie potrzebowała twierdzić, iż uczyniła krok pierwszy do zbliżenia. Dlatego prosiłbym, żeby téj drogi nie zamykać, chociaż obecnie niemam nadziei, żeby mógł. J. Cesarzkiej Mości proponować obsadzenie tego poselstwa. Ale okoliczności się zmieniają i my z niemi: Tempora mutantur et nos mutamur in illis. Co się tyczy przypuszczenia deputowanego Reichenspergera, jakoby przewidywane wystąpienie komisarza do Rzymu, było w związku z mogącym nastąpić wyborem nowego papieża, muszę rozproszyć mniemanie, któreby z mojego milczenia powstać mogło, że rząd cesarski podziela te widoki. Chcemy się wstrzymać od wszelkiego wpływu na wy-

bór papieża, a nawet nie myślimy tego próbować. W interesie publicznego pokoju jest rzeczą bardzo pożądaną, żeby wybór papieża, jeżeli nastąpi, mógł wypaść w duchu umiarkowania, tak, żeby gniewnej i wojowniczej strony kościoła nie wysuwano naprzód, jeżeli wogóle myśla o pojednaniu. Nie jest wszakże naszym zadaniem zajmować się temi sprawami; naszym zadaniem może być tylko, gdy nas uwiadomią, że wybór papieża dokonany, przekonać się, czy wybór był całkowicie prawowity, czy témsamém wybrany ma prawo, według naszego pojmowania, wykonywać w Niemczech te prawa, które papieżowi rzymskiemu bezwątpienia przysługują.“

Przemówienie to kanclerza można uważać za jedno z najumiarkowańszych, jakie w téj sprawie z ust jego słyszano; jeszcze się wówczas nie pozbył nadziei, że z kuryą potrafi nawiązać zerwane nici. Nadzieja się nie ziściła; więc téż i ksiązę Bismarck zmienił ton swojej mowy następnego roku. Na posiedzeniu parlamentu 4 grudnia 1874 r., obradowano nad etatem spraw zagranicznych. W projekcie była pozycja na utrzymanie posła przy papieżu, którą wyposażono sumą 53,100 marek. Ale przed rozpoczęciem rozpraw, rząd pozycyą tę cofnął. To dało powód Windthorstowi do wyrażenia wątpliwości, czy rząd chce pojednania z kuryą papieżką. Krok ten nazwał wielce surowym, wobec religijnych potrzeb 15 milionów katolików niemieckich; jednakże nie proponował przywrócenia owéj pozycyi w budżecie, gdyż nie miał żadnej nadziei, by ją parlament uchwalił. Kanclerz wówczas czuł się w obowiązku odpowiedzieć i tak rozpoczął:

„Poprzedni mówca wyraził swoje zdziwienie, że tuż przed dyskusyą nad tą pozycyą budżetu, cofnięto ją, kiedy jeszcze podczas narad w komisji, była utrzymana. Mogę mu, ze zwykłą mi szczerością, genezę tego postanowienia wyłożyć. Gdy na stół przychodzą sprawy, które z urzędu winienem reprezentować, zwykłem ostatnią o nich dyskusyą prowadzoną w parlamencie, przeglądać. Że tego tygodniami i miesiącami naprzód nie czynię, zrozumieć to i mówca poprzedni: dla mnie bowiem każdy dzień ma swoje własne troski.

„Odczytując ostatnie rozprawy o téj rzeczy, przekonałem się, zwłaszcza gdy w półtora roku przeżyje się tyle, co w lat dziesiątek, przekonałem się, że w ówczas żywił pełne ufności, życzliwe usposobienie, którego po tém, co w ciągu tego półtora roku zaszło, trudno zachować, nie chcąc ich wystawić na mylne tłómaczenia. Powiedziałem sobie: jeżeli tę pozycyą znów wniesiemy, damy znać témsamém, że jej bronić zamierzamy; byłbym więc zmuszony za nią przemawiać. Trudnoby mi było powtórzyć w jéj obronie to, co przed półtora roku mówiłem, i z tą samą grzecznością dyplomatyczną, z jaką wówczas ją motywowałem, oddawać się ufności i nadziei. Nie zrozumianoby mnie, albo mylnie tłómaczono, jak o tém już i teraz lekkie insynuacje w dziennikach świadczą, gdy piszą, jakoby Niemcy czyniły w Rzymie kroki, do których się nie przyznają, ażeby wyjednać sobie pokój na warunkach, dla żadnego państwa niedopuszczalnych (Windthorst wtrąca: temu nikt nie wierzy!). Mógłbym panu obecnie powtórzyć napomnienie, któreś przed

chwila zwracał do tych, co mu przerywali, dlatego tylko, żeś pan był tak niecierpliw pod tym względem. Czasami sprawa to przyjemność, gdy panu przerywają, ale jeżeli nam téj przyjemności nie chcesz dozwolić, nie wiem, dlaczego my mielibyśmy jęj dozwalać; mówię zatem: Będziesz pan mówić później!

„Pragnąłem tedy uniknąć dyskusji dlatego właśnie, żeś nie chciał rozniecać ognia i mówić tego, do czego mnie teraz poprzedni mówca znała. Daleką jest od nas myśl, żebyśmy papieża nie chcieli uznawać nadal za głowę kościoła katolickiego; tego nam mówca nie potrzebuje po szkolarsku dowodzić, że Jego Świątobliwość papież, jest taką głową; w tym charakterze uznajemy go najzupełniej. Ale to, że papież jest głową wyznania, które w Niemczech ma wyznawców, nie stanowi wcale dowodu, żeby przy takiej głowie potrzebny był dyplomatyczny reprezentant. Wątpię, czy przy naczelniku innego jakiegos wyznania, mielibyśmy także trzymać reprezentanta... Wykreślenie pozycyi, uważałem za rzecz polityczną przyzwoitości; póki bowiem głowa wyznania katolickiego rości pretensye i zajmuje stanowisko, które, gdyby weszły w życie, nie dałyby się absolutnie pogodzić z jakimkolwiek uorganizowanym porządnie stanem państwa; które, gdyby im się jakiegokolwiek państwo poddało, poszłoby pod jarzmo Kaudyńskie i musiało ze swęj samoistności abdykować; póki głowa kościoła rzymskiego, sługi swoje, będące poddanymi cesarstwa Niemieckiego, w buntowniczym ich względem praw własnej ojczyzny postępowaniu, podnieca i popiera, a nawet to nieposłuszeństwo za obowiązek ich powołania uważa, póty obowiązek przyzwoitości będzie zmuszał cesarstwo Niemieckie nietylko nie uznawać potęgi, która takie pretensye rości, ale nawet pozorować, jakoby w przyszłości chciało je uznać, póki pretensye te, niepodobne do przyjęcia i wypełnienia przez jakiegokolwiek porządny system polityczny, nie będą wprzód tym lub innym sposobem rozstrzygnięte.“ Dalej, zbijając twierdzenie Windthorsta, jakoby rząd sam rozpoczął walkę z papieżstwem, ksiązę Bismarck utrzymywał, że w Rzymie, jeszcze przed wojną w r. 1870, już taką walkę miano na widoku, że o niej wtajemniczeni członkowie polityki rzymskiej wiedzieli. Mówił tedy: „Chcę przytoczyć fakt, za który mi ręczono, i który się znajduje w urzędowych aktach pewnego państwa niemieckiego. Rząd tego państwa potrzebował z ówczesnym nuncyuszem Meglią, w Monachium, traktować o pewną ugodę obchodzącą to państwo, i w ciągu rozmowy usłyszał od tego, jak się zdaje, niezbyt milczącego prałata, uwagę: nie możemy się już w układy bawić, nam może pomódz tylko rewolucya. Mogę dowody tego publicznie ogłosić, a nuncyusz, bawiący obecnie w Paryżu, gdy się o tém dowięd, będzie mógł swoje zdanie wypowiedzieć. Rewolucya ta wprawdzie nie nastąpiła, ale zato wybuchła wojna r. 1870. Ze wojnę w porozumieniu z polityką rzymską przeciwko nam rozpoczęto, że dlatego obrady soboru skrócono, że postanowienia soboru, a może i uzupełnienia ich, byłyby inaczej poszły, gdyby Francuzi zwyciężyli, że wówczas w Rzymie, podobnie jak

i gdzieindziej na zwycięztwo Francuzów, jako na rzecz niezawodną liczone, że na dworze cesarsko-francuzkim katolickie wpływy, albo raczej rzymsko-polityczne, jezuickie, działając w duchu wojowniczym, za wojną głosowały, że zdecydowanie się na nią dużo cesarza Napoleona kosztowało, że pół godziny przedtém decydowano się na pokój, a następnie, dzięki tym wpływom, których jezuickie zasady są dowiedzione, zmieniono postanowienie: o tém wszystkiém mogę złożyć świadectwo, albowiem chciejcie mi panowie wierzyć, iż nie z samych znalezionych papierów wiem to wszystko, lecz ze zwierzeń tych sfer, których to dotyczy.“

Z parlamentu cesarstwa, przeniosły się w następnym, 1875 roku, cierpkie nad wyraz rozprawy do sejmu pruskiego. Tu już chodziło, nie o stosunki z kuryą rzymską, lecz o projekt do prawa, odbierającego duchowieństwu rzymsko-katolickiemu wszelkie skarbowe zasiłki. Deputowany Gerlach († 1877 r.), gorliwy prawowierny ewangelik, spółredaktor i założyciel „Gazety Krzyżowej“ (Kreuz-Zeitung) broniącej z talentem krzyżackich interesów, odezwał się przy dyskusyi projektu w izbie poselskiej (16 marca 1875 r.), że z motywów do niego, możnaby jedno wnosić, mianowicie, iż autor owego projektu pojmuje państwo jako Boga, którego minister wyznań jest prorokiem; że rząd lekceważy maksymę Nowego Testamentu, zalecającą słuchać więcej Boga, niż ludzi; że ruguje religią nie dając w miejsce jej nic innego; że podobne działanie możnaby spotkać ledwie za cesarzów pogańskich pierwszego stolecia. Książę Bismarck uczuł się żywo dotkniętym tą mową, szczególniej też wyrażeniem, jakoby państwo chciano za nowego Boga ogłosić i tak na zarzut odpowiedział:

„Jestto fałszywe stosowanie słusznego w sobie zdania: należy więcej Boga słuchać niż ludzi. Mówca zna mnie od dość dawna i mógł wiedzieć, że zdanie to w całej jego słusności uznaję, i że sądzę, iż słucham Boga, gdy królowi służę, któremu i on także przedtém służył pod hasłem: z Bogiem za króla i ojczyznę. Teraz, jak się zdaje, to troje rozeszło się u niego i uważa Boga, za oddzielonego od króla i ojczyzny. Nie mogę za nim iść tą drogą, jak również i pod wielu innymi względami; myślę bowiem, że Bogu służę, gdy służę swojemu królowi w obronie państwa, którego on jest monarchą z łaski bożej, i w którym bronię swobody przeciw duchownemu uciskowi obcemu i niezależności naszego narodu przeciw obcemu wdzierstwu, ma obowiązek od Boga na siebie włożony. Moim obowiązkiem, również jak i innych ministrów jest, królowi służyć, i mówca, gdyby chciał być szczerym, do czego na trybunie nie jest obowiązany, mógłby nam w cztery oczy wyznać, że w Boga-państwo nie wierzymy. Pomimo tego, posunął się do przeinaczenia prawdy, nie pamiętając o swoich 80 latach, na które się powoływał, jakobyśmy znajdujący się tutaj, w pogańskiego Boga-państwo wierzyli. Popęcił przytém błąd, który pewnym cesarzom rzymskim wyrzucał, mianowicie, że się kazali ubóstwiać. Cesarze, jak sam dodał, nie wierzyli w to, i on dalekim jest

od podobnej wiary, w przeciwnym razie trzebaby było i nas wziąć za pogan. Zdanie, o które tu chodzi, nie brzmi tak: Należy Boga więcej słuchać niż ludzi, lecz chodzi tu o pytanie: czy należy więcej słuchać papieża, niż króla? Między papieżem a Bogiem, zachodzi według mnie, istotna różnica. Nie chodzi tu o to, czy Bogu służyć, czy ludziom, lecz o to, czy mamy w sprawach świeckich, gdzie o zbawienie duszy wcale nie chodzi, więcej słuchać papieża, niż króla. Żyliśmy przedtém pod prawem krajowém (Landrecht, część II, tytuł 11, regulujące stosunki kościelne), które znacznie dalej zachodzi; przypuszczam więc, że ojcowie panów, którzy obecnie czują się w zbawieniu duszy zagrożeni przez prawa majowe, że ojcowie ci znaleźli zbawienie pod prawem krajowém, jakkolwiek dawato im ono mniej swobody. Przez to, co mówca o cesarzach rzymskich twierdził, chociaż temu nie wierzył, my, uczciwi chrześciance, jesteśmy dawani w podejrzenie u ciemnej publiczności... Mówca użył nadto zwykłego argumentu, pytając ministra wyznań o rezultaty; dziwię się, że rozdając laury drugiej stronie, nie spytał ję także o rezultaty. Bo czyliż postępowanie biskupów bardzo się przyczyniło do poprawy losu kościoła katolickiego? Panowie (ze środka) mówią: tak; świadectwo papieża mówi: nie. Cóżby to bowiem za obłudna była skarga, którą nas przed Europą obwiniają, jakobyśmy chcieli zniszczyć kościół rzymski? Musielibyście mi w takim razie postawić pomnik, gdyby to była prawda. Albo więc skargi na prześladowanie są obłudą, albo nie odnieśliście żadnych rezultatów. My, ze swęj strony, dążymy przedewszystkiém nie do rezultatów, lecz do spełnienia obowiązku, w przekonaniu, że przez to Boga więcej słuchamy, niż ludzi, każdy swoim trybem. Panowie sędzicie, że lepiej znacie wołą Boga; my znów sądzimy, że lepiej ją znamy, niż mówca. Niechby mówca wziął to sobie od serca, i starał się więcej służyć Bogu, aniżeli ludziom, a raczjęd jednemu człowiekowi, t. j. sobie samemu. Gdyby się zdołał od tego tyrana oswobodzić, służyłby tém samém Bogu. A więc, nie o rezultaty, moi panowie, chodzi tutaj, lecz przedewszystkiém o spełnienie obowiązku. Być może, iż i to prawo nie wyda żadnego praktycznego rezultatu; papież i Jezuici są dość bogaci, by im o tę drobną sumkę miało chodzić. Papież jest bardzo bogaty, zakon Jezuitów dziesięć razy bogatszy, gdyż papież obywa się bez pensyi, wyznaczonęj przez rząd włoski. Zresztą mają oni rozmaite sposoby zbierania podatków, które im dotychczas dobrze służyły. A więc, z cofnięcia zasilków skarbowych, płaconych duchowieństwu, nie spodziewam się żadnego rezultatu; ale uczynimy poprostu naszą powinność, broniąc niezależności naszego państwa i narodu od obcych wpływów, broniąc duchowęj swobody od ucisku Jezuitów i kierowanego przez nich papieża. Dlatego i o to walczymy, przy pomocy bożęj, za króla i ojczyznę.“

Pomijając w tęd chwili namiętny ton mowy, albowiem w innych jeszcze namiętnięj umiał kanclerz gromić swoich przeciwników, uderza w nięj nacisk, kładziony na bogactwa papieża i Jezuitów. Zdawałoby się, że ks. Bismarck sprawował przez pewien czas obowią-

ki kasyera papieżkiego lub jezuickiego. W tém przypuszczeniu mogłaby czytelnika utwierdzać ścisłość, z jaką kanclerz w następnej mo- wie oblicza te bogactwa. Gdy bowiem deputowany Windthorst na następ- nym posiedzeniu izby poselskiej (18 marca 1875 r.), dotknął tego przedmiotu, ks. Bismarck odrzekł: „Poprzedni mówca nie bardzo wierzy w moje obliczenia majątku papieża i Jezuitów, i zbył mnie żartem wed- ług swojego zwyczaju pytając, odkądto jestem ministrem skarbu papieża i Jezuitów. Otóż, moi panowie, i wy, nie będąc ministrami skarbu państwa Pruskiego, macie przecież wyobrażenie o źródłach dochodu państwa Pru- skiego. A więc widzicie, że ten wdzięczny żarcik mówcy, niema nawet ta- kiego związku z rzeczą, jaki inne jego żarty zwykle mają. Nie jestem wprawdzie wszystkowiedzem, jednakże znam wiele, jak ów mówi. Gdy się 25 lat wśród ważniejszych spraw politycznych przeżyło, nabywa się wiado- mości o wielu rzeczach; zdaje mi się więc, iż z niejaką pewnością mogę twierdzić, że gdybym miał szacować zakon jezuicki dla pobrania po- datku od dochodu, nie liczyłbym go wprawdzie tak wysoko, jak mają- tek zmarłego Rothschilda, ale zawsze więcej, niż na połowę tamtego, t. j. około 250 do 280 milionów talarów, a więc tak około miliarda franków. Może o tém pomówimy później, boć i my nie jesteśmy bez pewnych stosunków z Jezuitami. Cieszyłem się w swoim życiu przy- jaźnią niejednego Jezuitę, i dziś nie jestem bez pewnego z nimi ze- tknięcia (Fühlung). Nie utrzymuję, że od czasu do czasu chętnie staruszków tych miewam u siebie, ale też i Jezuitci nie zrywają tak odra- zu wszystkiego, i sądzę, że mam dobre wiadomości. Majątek papieża o wiele nie dochodzi téj sumy, z tém wszystkiem jest on dość znaczny, skoro się papież obywa bez pensyi od rządu włoskiego. Grosz Piotro- wy jedynie wraz z dobrowolnemi ofiarami, które do téj samej kategorii należą, przyniósł w roku zeszłym 12 milionów franków. Z tego bi- skup może wyżyć, i w potrzebie, na polityczne cele coś obrócić; można też pożyczkę zaciągnąć, słowem, żeby nie długo mówić, dodałem, że z te- go jednego źródła, przez co nie myślę zupełnego obrachunku; panowie zresztą lepiej o tém wiecie, ile każdy za siebie złożył i jak się pobór odbywa. Od tego, mówca zaraz przeszedł do teoryi o umowach; teoryą tę zostawiam lepszym prawnikom, którzy po mnie mówić będą, zwła- szcza panu ministrowi wyznań; ale dotknął też i mojego wydziału, gdy wspomniał o zastrzeżeniu Jego Cesarskiej Mości, rozumiejąc pod tém głównie stronę pieniężną. W mnóstwie listów, pisanych do mnie o wsparcie, widziałem podobną alluzją do znanego *noblesse oblige*; król, jak mówca daje do zrozumienia, powinien w sprawach pienię- żnych być zawsze *large*, choćby to przyszło kosztem opodatkowanych; powinien zawsze hojnie płacić. Wszakże, większą jeszcze powinnością monarchy jest, bronić prawa i tępić zbrodnię, o ileby ją bunt spowo- dował. Nie jest obowiązkiem monarchy płacić pieniądze kosztem opodatkowanych, lub z kasy państwa, gdy pieniądze te mają być użyte na podtrzymywanie sił tymczasowo podkopujących, a wkrótce może goto- wych do jawnej napaści na fundamenta państwa i spokoju publicznego.“

Wszystkie powyższe przemówienia kanclerza w sprawach kościelnych przewyższyły gwałtownością te, które ks. Bismarck wygłosił w obu izbach sejmu, podczas obrad nad zmianą trzech paragrafów konstytucyi, zapewniających pewną swobodę katolikom. Zamiast tych paragrafów, ustanowiono jeden, tak brzmiący: „W miejsce artykułów 15, 16 i 17 konstytucyi z 31 stycznia 1850 r., wstawić jedyny, następujący: Organizacja prawna kościołów ewangelickiego i katolickiego, jak niemniej innych stowarzyszeń religijnych w państwie, reguluje się według praw państwa.“ Kanclerz, odpowiadając na zarzuty deputowanych, że przyjęcie nowego artykułu do konstytucyi ścieśnia swobodę religijną, odrzekł, iż gdy tę swobodę katolikom w 1850 r. dawano, jeszcze nie było dekretów soboru watykańskiego, jeszcze myślano, że biskupi będą pamiętali o przysiędze złożonej królowi i o tém, że są Niemcami i Prusakami; ale, gdy ta nadzieja znikła, po wielkiej rewolucyi w ustawie kościoła katolickiego przez sobór watykański zrządzonej, państwo musi inaczej sobie postąpić. Na te słowa, środek zaczął mruzczyć. Książę Bismarck niestropiony temi objawami niezadowolenia, ciągnął dalej:

„Moi panowie, mruzcicie, ale prawdy nie zamruczycie na śmierć, boć to prawda; mruczenie wasze zanotują. Możecie mnie zbijać i po tém dowieść, że biskupi nasi, po soborze watykańskim, cieszą się taką samą niezależnością, jak w dawnych czasach katolickich, i jakię używali niegdyś biskupi niemieccy, ciągnący ze swoim cesarzem w pole przeciw papieżowi; możecie tego dowieść, możecie mnie przekonać, jeżeli zdołacie coś prawdziwego w obronie przytoczyć. A więc od téj rewolucyi, która kościół przez biskupów rządzony, zamieniła w absolutną monarchią papieża, paragrafy, októre chodzi znaczą, że sprawy kościoła katolickiego papież będzie urządzał. Według wykładu, jaki papież tym sprawom kościelnym nadaje, władza jego sięgałaby znacznie poza wszelkie sprawy kościelne. Papież zastrzega kościołowi, t. j. sobie, nakreślenie granic, do których władza jego ma sięgać i nie chce, by władza świecka miała w tém również udział, lub co najwięcej udział, za pomocą jakiegoś układu, który nigdy nie zostanie całkowicie wykonany, z powodu właśnie tych jego pretensyi do supremacji, niepozwalających mu, by państwu coś ustąpił. Krótko mówiąc, król i państwo otrzymują resztę praw świeckich, z których papież wykroi co mu się podoba.

„W takim stanie rzeczy, pod kierunkiem wyższej rady kościelnej, albo raczej wydziału do spraw katolickich ¹⁾, który stanowił niejako papieżkie ministeryum stanu w Prusach, utworzyło się państwo w państwie. Wydział ten miał z początku być kollegium, złożoném z poddanych katolickich, które powinno było bronić z katolickim sumieniem, praw króla pruskiego i państwa w stosunku do papieża.

¹⁾ Wydział ten utworzony w r. 1841, został rozkazem królewskim zniesiony w lipcu 1871 r.

Tymczasem wkrótce, członkowie jego zamienili się w legatów papieżkich, kierujących naszymi sprawami oświaty i wyznań, i starali się prawa papieża w stosunku do króla, jaknajbardziej rozszerzać. A więc utworzyło się, pod owym ministeryum, jeszcze groźniejsze państwo w państwie, na czele którego, zgodnie z rzezonemi paragrafami konstytucyi, stoi papież z władzą autokratyczną, która, dzięki soborowi watykańskiemu—moi panowie, muszę odpcząć (powstaje wielka wesołość)—dzięki soborowi watykańskiemu, pochłonęła władzę biskupów, i na ich miejscu, jako samowładna stanęła. Prócz tego, monarcha ów znajduje się u nas na czele zwartéj partyi, która głosuje i wybiera posłów podług jego woli, oznajmianéj przez zależnych od niego księży i którym niewolno inaczej, niż papież, myśleć. Pewnie i teraz zaprzeczycie, że nie według takich wskazówek głosujecie. Byłoby mi to bardzo przyjemném, gdybyście to uczynili; wtedy możnaby opodatkowanym biédakom (*miseri contribuens plebs*), w imieniu których głosujecie, jasno wyłożyć, iż nie według woli papieża głosujecie; ja przecież sądzę, że głosujecie według woli papieża. Papież ma w Prusach swoją prasę półurzędową, która mu lepiej i taniéj służy, niż prasa państwowa; może on w téj półurzędowéj prasie swoje dekreta urzędowo, lub co najmuńej, z urzędową wiarogodnością ogłaszać, i prawa naszego państwa uznawać za niebyłe i nieważne; ma prócz tego na ziemi naszej armia duchownych, ściąga podatki, oprządkł nas siecią stowarzyszeń i kongregacyi, których wpływ jest bardzo skuteczny; słowem, prawie nie masz nikogo, od czasu gdy się konstytucyjnie rządzymy, ktoby osobiście równie był samowładny i potężny, jak ten wysoki prałat włoski, otoczony swoją radą z duchowieństwa włoskiego złożoną. Prawie nie masz osoby, któraby równie potężnie z owym aparatem swoim, na nasze stosunki pruskie oddziaływać mogła. Podobne stanowisko otaczać jeszcze tylu środkami władzy, byłoby już samo w sobie rzeczą niebezpieczną, a dla państwa prawie nie do wytrzymania; nawet wówczas, gdyby takie stanowisko dano krajowcowi, zwłaszcza takiemu, który do tych samych celów zmierza co i państwo, chociaż może innemi drogami. Tu zaś podobne stanowisko przysługuje cudzoziemcowi, wybranemu przez włoskich, lub przeważnie zwłoszczonych prałatów, których cesarstwo Niemieckie i królestwo Pruskie, bardzo mało obchodzą. Otóż, na takim to gruncie naszej ubogiej, marchijskiej, piaszczystéj skiby, stoi tak potężny monarcha z programem, który niejednokrotnie publicznie i jaknajbardziej urzędowo był głoszony; z programem, który państwu wręcz jest przeciwny i każdego, co w duchu papieżkim chce katolikiem pozostać, obowiązuje uznawać za artykuł wiary to, czego nigdy żaden program polityczny nie wymaga. Według tego programu papieży, byłby papież, doszedłszy pełni władzy u nas, obowiązany, na mocy stworzonéj przez siebie i przyjętéj powinności religijnéj, pozbyć się większości Prusaków i ewangelików. Ci bowiem, według pełnego brzmienia programu, nie mają prawa do bytu, zwłaszcza przy takich urządzeniach, jak w Prusach istnieją, przy urzą-

dzeniach konstytucyjnych, przy wolności prasy (!), z której stronnictwo środkowe i jego prasa półurzędowa tak skrętnie korzystają: wszystko to papieżkie, dogmatyczne i znane dekreta, potępiły.

„Na tém jednakże jeszczeby nie poprzestano; my akatolicy, większość Prusaków, od których się tolerancyi i sprawiedliwości domagają, i które oni do tego stopnia posunęli, że dozwolili na utworzenie państwa w państwie, my musielibyśmy albo ofiarę z naszego rozumu ponieść i uznać się za katolików, albo wywędrować, albo przystać na skonfiskowanie majątku, co względem kacerzy uważa się za słusne. Moi panowie, zapamiętajmy to sobie, że konfiskata majątku jest nadzwyczaj skutecznym środkiem, i że papież, gdyby mógł, nie wahałby się ani chwili zastosować jęj do kacerzów. Znalazłby się on w dogmatycznej konieczności, jeżeli nie natychmiast tępić heretyków ogniem i mieczem, to przynajmniej zdążać do tego celu. Tak potężnemu obcemu monarsze, z tak nieprzyjaznym dla państwa Pruskiego programem, nie możemy zostawić tych przywilejów, które wprowadzie wielkie terytorjum pod nadzorem państwa zostawiają, ale pod względem skutków prawodawstwa, zapewniają papieżowi stanowisko wyjątkowe. Ograniczenie tęj nadmiernęj władzy jest bezwarunkowo konieczne. Ograniczenie to da się osiągnąć przez zniesienie wspomnianych artykułów konstytucyi, a może jeszcze za pomocą innych praw zostających z niemi w związku, zwłaszcza takich, które obronny stan państwa i strzegące od separatyzmu ustawy w przedawnienie podały, lub im zupełnie moc odjęły. Prawa i przywileje takie, winny mojm zdaniem, upaść, i taka jest droga wiodąca do pokoju. My, rządy, nie możemy myśleć o pokoju, póki prawodawstwo nasze nie będzie oczyszczone od błędów, które od roku 1840 w niewczesnym zaufaniu do drugięj strony i liczeniu na jęj patryotyzm, uczyniły je bezsilnym. To zaufanie, które szlachetną raczję, niż praktyczną naturę nieboszczyka króla charakteryzowało, które się już w r. 1840 objawiło przez zniesienie placetum regium, przez pewne nieziszczone nadzieje, przez utworzenie wydziału do spraw katolickich, to zaufanie znacznie osłabło; powstała szczerba w prawach niezbędnych do otrzymania pokoju w państwie. Szczerbę tę należy wygładzić; gdy to nastąpi, nie zaniebdam niczego, ażeby się z partją środkową, a bardziej jeszcze z umiarkowańszą od tamtęj, stolicą papieżką porozumieć, i spodziewam się, że przy pomocy bożęj zyskamy pokój; będę się starał wówczas, póki mi życia starczy, ażeby zaczepną walkę już tylko odpornie dalej prowadzić, i wszelką zaczepność zostawić ukształceniu raczję, niż polityce.“

Żwawa ta utarczka słowna w izbie poselskięj nie skończyła się na tém, gdyż niez mordowany kanclerz odpowiadał jeszcze równie imponująco na mowę deputowanego barona Schorlemmera, który projekt nowego prawa odrzucał dlatego, że ścieśnia swobodę religijną. Książę Bismarck zadrwiwszy ze skromności barona obawiającego się, czy nie znudził słuchaczów swoją mową, podchwycił to i rzekł: „Mówca

sprawił rzeczywiście na mnie mową swoją wrażenie znudzenia, ale to tylko dlatego, że zadługo mówił, zwłaszcza przy końcu swojej mowy, gdy opowiadał znaną anegdotę o Napoleonie I, którą uważa za historyczną, a którą ja nazwałem niehistoryczną. Muszę więc historii oddać, co jej się należy. Rzecz tak się miała: papież (Pius VII w 1811 r.) pozwolił sobie (podczas uwięzienia w Fontainebleau) nazwać Napoleona komedyantem, na co mu tenże zaraz z wielką przytomnością umysłu odrzekł: tragedyant. Sądzę, że ta mała przygoda odbyła się tak, jak ją opowiadam, a nie tak, jak ją opowiadają w szkołach, gdzie mówca wychowanie odebrał, w jego prowincjonalnej ojczyźnie.

„Temu jednakże nie chciało mi się wierzyć, ażeby mówca z dogmatami swojej wiary, których tak żwawo broni, o tyle był nieobznajmiony, iżby mi zarzucać jako coś potwornego—przyczem winę za kulturkampf składa na mnie, gdy tymczasem jak panowie utrzymujecie, walka ta prowadzi się w obronie światła (Kultur) przeciw ciemności (Unkultur); otóż, żeby mi zarzucać, jako coś potwornego, żem o papieżu twierdził, jakoby tenże tępienie kacerzów za dogmatyczne swoje zadanie uważał; żem utrzymywał, jakoby papież to niesłychane zdanie głosił, iż kacerzom nie należy przyznawać praw politycznych. Mówca, zdaje się, nie wie, iż wszyscy papieże uczyli tego dogmatu. Dla mówcy nie istnieje ani Syllabus, ani Encyklika (z 8 grudnia 1864 r.)¹⁾. Mógłby się więc narazić sam na niebezpieczeństwo, gdyby jeszcze była inkwizycja, stawania przed sądem jako niedowiarek. Gdy się mówcę słyszy, możnaby sądzić, że nie było ani Syllabusa, ani tortur i stosów na kacerzy, że nie było ani Dragonad, ani kontrreformacji, słowem, urzeczywistnionego programu, o którym poprzednio mówiłem, wszędzie gdzie władza papieżka była nicograniczona; długo nawet jeszcze po wojnie trzydziestoletniej uciekano się do podobnych środków. Dalej, mówca starał się mnie przekonać, jakoby papież nie miał żadnego wpływu na stronnictwo środkowe. W takim razie możnaby w łatwowieczną publiczność wmówić, że partya środkowa jest antypapieżką. Jeżeli panowie nie macie żadnego związku z papieżem, to pytam się, z kąd wiecie, iż on wszystkie wasze kroki pochwała? Bardzo o tém wątpię i pragnę, by prasa tę wątpliwość podniosła. Wówczas, przed wieloma laty, rzecz niezupełnie tak się miała, jak pan mówca ją podał. O ile sobie, bez akt przypomnieć mogę, nie papież, lecz kardynał Antonelli ganił utworzenie stronnictwa wyznaniowego. Mówiłem do niego: jest to wielkie niebezpieczeństwo dla swobody, którą się kościół katolicki u nas cieszy, jeżeli wpływy partyi religijnej zaczną do naszych spraw politycznych przenikać, jeżeli tym sposobem zasada religijna dojdzie do świeckiego znaczenia w naszym parlamencie: mam to za krok nieostrożny. Kardynał Antonelli, głowa niepopolita (ein feiner Kopf), a przytém nie chodzący w jezuickiem ja-

¹⁾ Czytać: „Die Encyclica Seiner Heiligkeit des Papstes Pius IX vom 8 December 1864, und der Syllabus,“ Köln, 1874.

rzmie jak ten i ów, patrzył tak samo, i następnie w reskrypcie zganiał utworzenie frakcyi wyznaniowej słowami, których nie powtórzę. Potém wystąpił przedsiębiorcy partyi środkowej i pressaryów, pewnego eleganckiego pana, co w południowo-zachodnich Niemczech mieszka i od czasu do czasu jeszcze o sobie wiedzieć daje, do Rzymu i oskarżyli kardynała Antonellego przed papieżem; albo, jeżeli pierwszy krok kardynała zyskał pochwałę papieżką przekonali papieża, iż się w tym razie pomylił. Apelowano zatem a papa male informato ad papam melius informandum, i na nieszczęście, przyszło z Rzymu zawiadzenie tego wszystkiego, co w Niemczech zrobiono. Sądzę, że Jego Świątobliwość papież, złych wówczas miał doradców. Jestem tedy przekonany, że papież przez tych panów głosować każe, a jeżeli nie tak jest, musiałbym przypuścić, iż cała publiczność znajduje się w wielkim błędzie, z którego coprędzej wyjśćby należało; prasa zyskałaby sobie zasługę, gdyby to zaprzeczenie mówcy co do związku partyi środkowej z papieżem, jak najdalej rozniosła. Żeby zaś sam miał wówczas z papieżem w stosunkach zostawać, na to nie pozwalała forma dyplomatycznych interesów; stosunki moje ograniczały się, jak mówiłem, na skromnym kardynale Antonellim, który teraz niestety jest bez wpływu (kardynał żył jeszcze wtenczas). Bądź co bądź, mam nadzieję, że wpływ papieżki na partyę środkową dalej się utrzyma, albowiem jak nas historia uczy, byli papieże wojowniczy, byli i spokojni; spodziewam się tedy, że przyjdzie kolej na pokojowego papieża, z którym pokój będzie można zawrzeć; na tém opiera się moja nadzieja, a wtedy spodziewam się znów spotkać jakiego Antonellego, który będzie o tyle roztropny, by podać rękę do pokoju ze świecką władzą."

Niemniej namiętnie przemawiał ks. Bismarck w izbie panów, gdy nad tym samym przedmiotem obradowano. Całą winę za niepokój religijny składał on na ostatni sobór watykański: „Przed tym soborem, mówił, mogliśmy sobie pochlebiać, że jeżeli nie całemu kościołowi katolickiemu, to przynajmniej 6 lub 8 poddanym pruskim, to jest biskupom, nadaliśmy prawa; od czasu soboru watykańskiego, papież się na miejscu wszystkich biskupów postawił. Nie masz żadnej wątpliwości, że biskupi są tylko prefektami papieża; może on się za każdego z nich postawić, a témsamem każdego usunąć. Widzieliśmy, że biskupi przekonanie swoje, uznane za prawdę chrześcijańską, gotowi byli na rozkaz papieża poświęcić; nie mają oni teraz zgoła prawa co innego, niż papież myśleć. Nawet żołnierz ma jeszcze prawo, gdy zakomenderują „pół obrotu na prawo,” pomyśleć sobie, że to niedorzeczna komenda, chociaż mimo tego jest posłuszny: biskupowi niewolno nawet i tak myśleć."

Zaraz po tém przemówieniu odezwał się hrabia Brühl dziękując kanclerzowi, iż się otwarcie przyznał jako jest nieprzyjacielem kościoła katolickiego, ale że się myli, gdy sądzi, że papież, z powodu ogłoszenia dogmatu o jego nieomylności, stał się innym. Papież, kościół i biskupi musieli domagać się prawa, by im wolno było rządzić spra-

wami duchownemi, a kanclerz nie potrafi katolików skłonić, nawet za pomocą krwi i żelaza, do mniemania, jakoby papież był tyranem względem biskupów, gdyż w co katolicy mają wierzyć, o tém wiedzieli znacznie wcześni, nim prezes ministrów był na świecie. Ks. Bismarck odpowiadając Brühlowi, uważał za potrzebne najprzód sprostować jego wyrażenie, jakoby się on (Bismarck) sam do tego przyznał, iż jest nieprzyjacielem kościoła katolickiego. „Jest to błąd podobny do tego, jaki mi hrabia Schwerin w usta włożył, a któremu nigdy nie głosił „że siła ma górę nad prawem” ¹⁾. Hrabia Brühl jest większym nieprzyjacielem kościoła katolickiego i więcéj mu czyni szkody przesadzając jego pretensye; sądzę przecież, iż kiedyś dostanie mimo tego rozgrzeszenie.” Daléj, dowodził kanclerz, ponawiając z innéj mowy swoje twierdzenia, że papież jest nieprzyjacielem ewangelii, a tém samém ewangelickiego państwa Pruskiego: „Gdyby papieżkie artykuły wiary, w które hr. Brühl mocno wierzyć będzie, gdyż od tego jego zbawienie zależy, weszły kiedy w wykonanie; gdyby papież doszedł kiedy takiej władzy, by mógł czynić co zechce, a wola jego stała się prawem świata; to przecież znamy dobrze Syllabus, jego tezy i następstwa, ażeby wiedziéć, iż wówczas i ta izba panów byłaby niemożliwa, chociaż hr. Brühl jest tak nieostrożny i udział w niéj bierze, że swoboda prasy jest czémś godném potępienia, że kacerza tępić należy. Gdyby zaś hr. Brühl był tak uparty jak upartymi biskupów maluje, to władza katolicka znajdzie inne przeciw niemu środki niż to prawo: skonfiskuje mu majątek, nie będzie uważała za karygodne, gdy go przypadkiem zniemacka zamordują. Zasady wiary jezuickiej są publicznie znane i w znanych dziełach bronione. Nie myślę się tu wdawać w pisma dogmatyczne; pan hrabia zaprzecza temu wszystkiemu, co mu do smaku nie przypada; powinien jednak ze swojej szkoły znać nauki, których kwintesencya mieści się w zdaniu: *tyrannum occidere licet*. Jeżeli ich nie zna, tym gorzéj dla niego. Kodeks papieżki jeszcze daléj zachodzi; gdy kacerzy nie można inaczej wytępić, chwyta się ich, torturuje, pali, gdyż egzystencya ich stanowi *nefas*. Jeżeli więc takiego przedstawiciela kościoła chrześciańskiego, który się za przedstawiciela religii miłości i pokory głosi, a dla nas nieszczęśliwych chrześcian ewangelickich tylko gniew zagłady żywi, nieprzyjacielem ewangelii, a témsamem i państwa Pruskiego nazwał, to pozostanie to prawdą pomimo całej dyalektyki, z jaką hr. Brühl na trybunie mówił. Fakta, o których tu wspomniałem, są tak stare, że panu hrabiemu mogę piékném za nadobne odplacić i powiedziéć, że jeszcze wtenczas nie żył, gdy one były faktami.”

Patrząc na te utarczki kanclerza z kościołem katolickim i jego

¹⁾ Było to na posiedzeniu izby poselskiej 27 stycznia, 1863 roku. Chociaż książkę Bismarck zaraz wtenczas zaprotestował przeciw temu wyrażeniu, utrzymuje się jednak ono dotychczas po dziennikach, jako niby hasło jego polityki: „*Macht geht vor Recht*.”

przedstawicielami, mimowoli cisną się na pamięć analogiczne zdarzenia z naszych dziejów, kiedyto za Zygmunta Augusta ograniczono na sejmach piotrkowskich juryzdykcyą biskupów, kiedy Rafał Leszczyński imieniem postów ubolewał przed królem i zaklinał go: „aby za powagą sejmu domowe bezprawie (t. j. juryzdykcyą biskupią) do szczętu jako najprędzj zgładzone zostało;” kiedy Jan Tarnowski ubolewającemu biskupowi krakowskiemu, Jędrzejowi Zebrzydowskiemu, na pytanie: „czyżże więc w Polsce będę, jeżeli jako biskup około kacerstwa zaradzać nie mogę, woźnym, czy biskupem?”—odrzekł: „przyzwoiciejby zapewne było tobie w Polsce być woźnym, niż mnie niewolnikiem.” A chodziło u nas wówczas już nietylko o odjęcie biskupom juryzdykcyi w rzeczach religijnych, lecz o poddanie zupełne kościoła państwu, jak to widać z mowy Latalskiego, wojewody poznańskiego, który perorował o „sztukach włoskich” i upominał króla, aby zabiegał: „iżby jakiego uczestnika prawa królewskiego nie dostał i władzy swojej królewskiej z kim innym nie podzielał, abyśmy tobie, rządcy, wszyscy zarówno podlegali”¹⁾. Tak to u nas politycy ówczesni w XVI wieku stosunek kościoła do państwa uregulować pragnęli.

Czytając obecnie (pod koniec r. 1881) żywo po dziennikach rozbierane pogłoski, jakoby ks. Bismarck proponował papieżowi przeniesienie się z Rzymu do Fuldy, pod skrzydła orła pruskiego, i porównując je z przytoczonymi mowami pana kanclerza niemieckiego, mimowoli nasuwa się pytanie, czyżby w Rzymie, t. j. w kuryi papieżkiej, nie znano tych poglądów jego na papieżstwo i kościół katolicki? Zapewne tam znają nietylko te mowy, lecz i inne dokumenta, dlatego i układy o modum vivendi z takim oporem idą. Czy doprowadzą kościół i państwo w Prusach do jakichś pozytywnych układów, trudno wiedzieć; ale znaczące są przytoczone wyżej słowa kanclerza, iż ma nadzieję dożyć papieża pokojowego i spotkać kardynała, który, jak Antonelli, poda rękę do zgody.

Nie mamy daru prorocтва, które w polityce jest nadzwyczaj zawodne i dlatego nie uprzedzając wypadków, poprzestajemy na kilku uwagach ogólniejszej natury, jakie z tych mów polityczno-kościelnych, czy kościelno-politycznych ks. Bismarcka, same się nasuwają. Tocząca się w Niemczech i Prusach walka między państwem a kościołem, nie jest faktem odosobnionym: istnieje ona wszędzie, gdzie kościół katolicki ma w większej liczbie swoich wyznawców. By się o tém przekonać, dość przejrzyć prawodawstwo kościelno-polityczne ostatnich lat we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Szwajcaryi, Belgii, a nawet w Austrii, uchodzącej za podporę katolicyzmu. Toż samo dzieje się w katolickich krajach Ameryki południowej. Fakt ten znalazł swój wyraz nietylko w prawodawstwie, lecz i w rozprawach parlamentarnych,

¹⁾ Stanisława Okszyca Orzechowskiego: „Kroniki Polskie.” Wydanie T. Mostowskiego, 1805, str. 129 i nast.

i w prasie, i w mowach sejmowych statystów takich jak ks. Bismarck, i w pamfletach ministrów takich jak Gladstone ¹⁾. Zaprowadzanie szkół bezwyznaniowych należy do symptomatów tej samej kategorii.

Wskazać przyczyn tak ogólnego faktu nie łatwo, choćby dlatego, że są one bardzo liczne i zwiłkane; jednakże jedną z nich możnaby widzieć w organizacyi kościoła katolickiego, który powołując się na boski swój początek, nie może w sprawach dotyczących się sumienia uznawać nad sobą supremacyi. Z drugiej strony i państwo, jak mówił deputowany Gerlach, nie chce nikogo nad sobą uznawać, chce być bezwyznaniowe i wszystkie wiary mierzyć jednakową miarą. Ks. Bismarck również trafnie pojmuje cały kulturkampf, jako walkę o władzę, chociaż od czasu do czasu dla zjednania słuchaczy, przypomina im, że i on sam i oni są ewangelikami. Ale nietylę przedstawicielem protestantyzmu, ile raczej jest kanclerz niemiecki wcieleniem tej idei, że państwo powinno być bezwyznaniowem i wszystko w sobie pochłaniać. W takim stanie rzeczy, przy tak wręcz przeciwnem pojmowaniu stanowiska państwa i kościoła, oraz wzajemnego ich stosunku, starcie z katolicyzmem było w Prusach, jak i gdzieindziej, nieuniknione. Nadto, oprócz tej konkretniej, że tak nazwę, przyczyny, do walki między kościołem a państwem, przyczyny streszczającej się w pytaniu, kto kim ma rządzić—możnaby wskazać inną jeszcze, może ważniejszą od tamtej, teoretyczną, leżącą w całym teraźniejszym poglądzie na świat. Świat ten chce się pozbyć wszelkiej cudowności, a témsamém i Objawienia chrześcijańskiego, które krytyka dzisiejsza uważa na równi z mitologiami starożytnymi. Nie bez przyczyny pytał siebie Dawid Strauss, równocześnie z rozpoczęciem kulturkampfu w Prusach: Czy jesteśmy jeszcze chrześcianami? Gerlach też zauważył, że państwo dzisiejsze chce być pogańskim, to jest obojętném na dogmata rozmaitych wiar i kościołów, byle te dogmata nie sprzeciwiały się jego wszechwładztwu. Przyczyny do walki leżą tedy głębiej, niż w samym pytaniu: czy pastorat, czy pałasz ma rządzić ludźmi?

Ale walka nie może trwać wiecznie; muszą nastąpić zawieszenia broni i traktaty, jak to już bywało na świecie. Religijnych potrzeb duszy ludzkiej nie zastąpi ani mniejsza pruska, ani większa niemiecka ojczyzna. Ks. Bismarck to rozumie i dlatego się targuje, by jak najmniej z praw wszechwładztwa państwowego ustąpić. Praktyczny to polityk: umie on, gdy potrzeba, zbliżać się i do Jezuitów i do socjalistów, umie doktrynerską konsekwencyą poświęcić praktycznemu celowi, t. j. wielkości swojej ojczyzny i w tém leży jego wyższość nad doktrynerami, którzy dla teoretycznej konsekwencyi gotowi są spalić niebo i ziemię. Należy więc żywić nadzieje, że się wynajdzie jakiś sposób pożycia bez separacyi. Są to wprawdzie jeszcze bardzo słabe nadzie-

¹⁾ „Rome and the newest fashions in Religion,” by W. E. Gladstone, 1875; oraz tegoż dawniejsze dzieło: „The state in its relations with the church,” 1839.

je; można jednak przypuszczać z tego, co obecnie piszą, że i rząd pruski przyjdzie do przekonania, jakie po wielkiej rewolucyi francuzkiej w państwie i kościele wyraził imieniem Napoleona I Portalis, gdy ciału prawodawczemu francuzkiemu zalecał przyjęcie konkordatu i Artykułów Organicznych w r. 1802: „Jeżeli stanowi to ludzkość, mówił Portalis, żeby nie dręczyć sumienia ludzkiego, to jest téż wielką mądrością osłaniać w kraju instytucye i maksymy religijne, które oddawna zrosły się ze zwyczajami ludu, które się stopiły ze wszystkimi jego wyobrażeniami, które często są jedyną jego moralnością i składają częśćkę jego egzystencyi” ¹⁾.

F. K.

(Dalszy ciąg nastąpi).

¹⁾ „L'Eglise et L'état.“ Documents publiés par Benoit Brunswik. Paris, 1880, str. 29.

Sprostowanie. W artykule niniejszym za styczeń na str. 12, wiersz 14 od góry, zamiast *do sejmu pruskiego*, czytać: *do sejmu Rzeszy*.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wydawnictwa ilustrowane z działu sztuk pięknych.—Reprodukcye ksylograficzne p. Adama Pilińskiego.—„Podróż do Maroko,“ przekład z włoskiego, autora Edmunda Amicis.—Tom VII Geografii Elizeusza Reclus: „Chiny i Japonia.“—James Rotshild: „Muza historyczna Loreta.“—Kurs prof. Deschanel w Kolegium francuzkiem: „O romantyzmie we Francyi w XVII wieku.“—„Powieści ludu albańskiego,“ przez Augusta Dozon.—„Apostoł,“ dramat Henryka Bornier.—„Herodyada,“ opera Masseneta.—Protestacya akademika belgijskiego przeciw wpływom paryzkim na literaturę.—Niemieccy profesoro-
wie w Jeddo.—Opowieść starego wiarusa o Berezynie. Karpowicz.

Z początkiem roku, jak zwykle, wysypała się tu niesłychana moc ozdobnych publikacyi, przeznaczonych na upominki noworoczne. Ta gałąź literatury, tak wielką dziś w Paryżu odgrywająca rolę, od niedawnych datuje czasów. W pierwszych latach bieżącego wieku, były tylko noworoczne kalendarze; w roku 1830, ukazało się pierwsze Album, złożone z urywków poetycznych i krótkich życiorysów i humorystycznych obrazków prozą, ozdobione kilkunastu rycinami. Książka ta przypadła do smaku publiczności, znalazła pokup i stała się genezą nowego rodzaju literatury, rozrosłej dziś do olbrzymich rozmiarów.

Rodzaj ten ogarnia liczne działy, ma swoją arystokracją, swój proletaryat, a między nimi mnóstwo pośrednich stopni. Proletaryat tworzą tu książki wulgaryzujące naukę, historią, geografją i t. p., przeznaczone głównie dla dzieci i młodzieży: tych liczba tak wielka, że jeden z wydawców, Hetzel, ogłosił w katalogu pięćset dzieł i dziełek, składających tę kategorię.

Pośredni dział składa się z opisów podróży, mniejwięcej ozdobnie ilustrowanych, z monografii, życiorysów, z oddruku popularnych poematów, powieści i t. d. Do działu arystokratycznego zaliczymy głównie publikacye, poświęcone sztukom pięknym, niedostępne dla ogółu, z powodu wysokiej ceny, którą przecież usprawiedliwia nadzwyczaj staranne i kosztowne wydanie.

Wymieśmy tu najsamprzód, pyszne dzieło o życiu i pracach

Rembrandta. Tekst, objęty w wielkiem in folio, ułożył znakomity erudyta Karol Blanc, profesor historii sztuk pięknych w Kollegium francuzkiem. Ryciny mistrza, wykonane à l'eau forte, tworzą dwa wielkie albumy. Dzieło kosztuje 2,000 franków.

Do téjże kategorii należą nieco dostępniejsze publikacye o Van-Dycku, Holbejnie, Albercie Dürer, o Leonardzie da Vinci, Franciszku Boucher, Benvenuto Cellinim i innych mistrzach, tak francuzkich, jak flamandzkich i włoskich.

Wydawca tych dzieł, Quantin, przedsięwziął téż wielką publikacją p. t.: „La Renaissance en France.” Praca ta, wychodząca częściami od roku, obejmie, w trzydziestu wielkich zeszytach, wszystkie pomniki architektury z epoki odrodzenia, rozrzucone po całej Francyi. Tekstem zajmuje się Leon Palustre, dyrektor Towarzystwa archeologicznego.

Popularniejsze wydawnictwo w dziedzinie Sztuk Pięknych, rozpoczął Quantin kilka miesięcy temu p. t.: „Bibliothèque de l'Enseignement des Beaux Arts.” Biblioteka ta składać się będzie ze stu tomów; ogarnie wszystkie działy sztuki: rzeźbę, malarstwo, architekturę, mozaikę, rytownictwo, archeologią, ornamentykę i t. p. Wszystkie szkoly: rzymska, florencka, hiszpańska, flamandzka, holenderska, francuzka, tworzyć będą osobne tomy, ozdobione ilustracyami. Nad tą zbiorową publikacją pracują specjaliści, po większej części członkowie Instytutu; z pomiędzy tych, Maspero, dyrektor muzeum Boulaçq w Egipcie, pracuje nad archeologią wschodnią. Zapowiedziano tomów dwadzieścia, na rok 1882. Zapisujemy dla osobliwości, że tom in quarto, ze stu muięjwięcej drzeworytami, kosztować będzie tylko 3 fr. 50 cent. Dowód widoczny, na jak olbrzymią skalę rozpoczęte zostało przedsięwiorstwo.

Do bibliograficznych osobliwości, należy reprodukcyja ksiąg ksylograficznych, dokonana przez p. Adama Pilińskiego. Wiadomo, że biegły nasz artysta wynalazł sposób odtwarzania pierwotnych ksylografii z nadzwyczajną wiernością. Wszystko tu oddane najściślej, nawet plamy na żółtym papierze. Ważny to nabytek dla miłośników starych ksiąg i dla samėje archeologii, owo rozpowszechnienie białych kruków, kryjących się po uprzywilejowanych tylko bibliotekach. Ukazało się obecnie siedm woluminów, reprodukowanych według wzorów XV wieku. „Apokalypsa Ś-go Jana,” „Biblia ubogich,” „Ars Memorandi,” „Ars Moriendi,” „Modlitwa Pańska,” „Pieśń Pieśni” i „Taniec śmierci.” Egzemplarze z kolorowaną ryciną, wypadają po 600 franków; na grubym papierze bez ryciny po fr. 100.

Do ważniejszych dzieł noworocznych zaliczamy wielki tom Pawła Lacroix (le bibliophile Jacob) pod tytułem: „Le XVII Siècle.” Jestto ostatni tom wielkiej sześciotomowej publikacyi, rozpoczętej czternaście lat temu, a obejmującej historią społeczeństwa francuzkiego, w stopniowych jego przejawach, zacząwszy od początku średnich wieków. Wiek XVIII-ty, kończący dzieło, wyszedł przed

dwoma laty. Obecnie ogłoszony wiek XVII-ty, najwięcej zadał pracy autorowi, obejmuje bowiem świetną w literaturze i sztuce epokę Ludwika XIV, t. j. epokę Kornela, Rasyna i Moliera. Któż nie wie, że promienie z tego ogniska odbiły się we wszystkich krajach Europy, tak w Hiszpanii, jak w Niemczech, Holandyi i Skandynawii. Jeden z tych promieni, przyniesiony do nas przez Konarskiego, zbudził okres literatury z czasów Stanisława Augusta. Pomnikowe to dzieło, żywo nas obchodzące, rozberzemy szczegółowo w przyszłej kronice naszój.

Z działu illustrowanych podróży, zajęła nas żywo wspaniała publikacya Hachetta, p. t. „Podróż do Maroko.“ Afrykańskie brzegi morza Śródziemnego, są dziś skutkiem tunezyjskiej wyprawy, a bardziej jeszcze z powodu rozbudzonych idei panmuzykańskich, przedmiotem szczególnej uwagi w Europie. Codziennie też ukazują się tu, mniejwięcej udatne opisy tych wybrzeży. Francuzi jednak, z matyn wyjątkiem, nie mają zmysłu podróżopisarskiego. Znadto pełni siebie, patrzą na wszystko przez własny pryzmat, mierzą drugich na własną skalę. Poznali się na tém wydawcy: chętnie też, w ozdobnych publikacyach, posługują się tekstem podróżników zagranicznych, przełożonym na język francuzki. W roku zeszłym, Hachette wydał pięknie illustrowaną podróż Ebersa po Egipcie; w tym roku znów wystąpił ze śliczném wydaniem „Podróż po Maroko,“ włoskiego autora Edmunda de Amicis.

Z pomiędzy krajów maurytańskich, w Północnej Afryce, Maroko najwybitniejszy przedstawia charakter. Turysta włoski, pełen werwy, zaprawnej humorem, znalazł tu szerokie pole do kreślenia, drgających życiem obrazów. Wybornie też maluje fizyognomią tego kraju, w którym wygnani z Hiszpanii Maurowie, ostatnią znaleźli ostoję, a którego władzcy mienia się dotąd królami Sewilli i Grenady i przechowują w skarbcach swoich złote klucze Alhambry i Generalifu.

„Spojrzyjny na tych Arabów, mówi autor, a znajdziemy w ich rysach jakiś wyraz głęboki, żadnym nieokreślony słowem. Rzekłbyś, iż rozmarzona ich myśl, ubiegła gdzieś w daleką przeszłość i żyje tylko jój wspomnieniem. Spotykałem co chwila twarze czarne i białe, żółte i brązowe, twarze sultanów i czarnoksiężników, anachoretów i bandytów; każda nosiła piętno głębokiego smutku lub śmiertelnego znużenia; uśmiech zupełnie im niezваны: wszyscy szli jedni za drugimi, istny orszak duchów na cmentarzysku.“

Niemniej obrazowo Amicis opisuje noc w Tangerze.

„Na ulicy nie dopatrzysz ani jednej latarni; w żadnym oknie nie dostrzeżesz ni polysku światelka. Jedyny blask rozacza tu niebo, zasiane gwiazdami, pod nióm bieleją słabo ściany domów, istne grobowce marmurowe. Podwakoć trąciłem stopą o jakiś ciemny przedmiot: byłto uśpiony Arab. Czasem kości zachrupiały mi pod nogami, kopic jakiś zawalił mi drogę: byłto stos śmieci lub padło wyrzuconego zwierza.“

Dziwna jednakże sprzeczność! ten lud tak smętny i ponury, owia-

ny białym burnusem, strojny w różowy, żółty lub purpurowy kaftan, przedstawia się nadzwyczaj malowniczo. „Wstyd mi było, mówi Amicis, mego ciemnego paletota, wyglądałem pomiędzy nimi jak chrząszcz zabłąkany w pośród różnobarwnych motylów.“

Sto dziewięćdziesiąt drzeworytów zdobi wspaniałą księgę. Widzimy tu niezliczone typy, zaczawszy od dorodnego sułtana, godnego następcy sewilskich Abenceragów, do pięknych Maurytanek z Tangeru, kształtnych i poważnych, jak starożytne posągi. Wszystkie te typy mieszczan i wieśniaków, Arabów, Berberów, czarnych Murzynów i niewolnic, odtworzone rylcem mistrzów włoskich, dają nam poznać to dziwne społeczeństwo, oddzielone od Gibraltaru wązkim pasem morza, przez który parowiec przebiega w ciągu trzech ledwie godzin, a przecież społeczeństwo tak odrębnem, tak samoistnem nacechowane piętnem.

Opuścił właśnie prasę siódmy tom Geografii Elizeusza Reclus; ten tom z każdego względu na szczególną zasługuje uwagę. Drugi to już tom, poświęcony Azji: w poprzednim, autor ogarnął Azją Północną, czyli rossyjską, w obecnym opisuje państwa głębokiego Wschodu: Chin, Japonią i Koreę.

Drogą, wiodącą z Moskwy do Pekinu, Reclus prowadzi nas do serca Azji. Zatrzymuje się nasamprzód w Tybecie, tym kraju najeżonym skałami, głęboko religijnym, czego dowodem trzy tysiące świątyń i sto tysięcy Lamów. Przebiega potem szerokie stepy Mongolii, koczowiska owych straszliwych hord, co niegdyś zalewały krwią Europę, za których śladem trawa nie porastała; koczowiska, deptane dziś nogami spokojnych napozór pasterzy. Ztąd autor posuwa się na północ, do mroźnej, lecz żyznej Mandżuryi, zkąd wyszli zdobywcy Chin i narzucili im panującą dotąd dynastją.

Przekraczamy wreszcie z autorem, ów sławny mur, olbrzymi pomnik wytrwałości Chińczyków. Tu Reclus długo się zatrzymuje, ztąd rzuca śmiałe myśli, pełne głęboko filozoficznych poglądów, w tych stronach bowiem, jak mówi, gotują się do przyszłości, kto wie, może dla XX-go wieku, ważne i straszne zagadnienia. Odkąd pękła dla Europy obręcz chińskiego muru, plemię chińskie tą szczyrbą wylewa się na oba światy. Jeśli w głównych miastach niebieskiego państwa, Europejczycy budują własne dzielnice, zato wsie chińskie, nawet miasta, powstają szybko w Indo-Chinach, w Malezyi, w Australii, w Ameryce Zachodniej. Kantory chińskie otwierają się w Nowym Yorku, w samym nawet Londynie. Na dwóch przeciwnych krańcach Wielkiego Oceanu, rojowiska Chińczyków, spokojnie, bez rozgłosu, zagarniają wszystko: rolnictwo, kopalnie, drobny handel i drobny przemysł; produkują z mniejszym kosztem, sprzedają taniej, poprzestając na małym zysku; wytrwalsi są bowiem, pracowitsi, uporzeczysi od innych. Już walka, między pracą żółtych a białych plemiom, zwiastuje groźne starcie obu połowic kuli ziemskiej; już rozpoczęła się w niektórych miej-

scach, przy spotkaniu wychodźców z Europy i Azji. W Kalifornii, Queenslandzie i Nowej Walii, popełniono niejedną zbrodnię; krew oblała fermy i górnicze zakłady. W wielu miejscach mówią już o wyparciu tych groźnych, aczkolwiek spokojnych, zdobywców.

P. Reclus, pyta z obawą, azali zetknięcie tych dwóch cywilizacji, spowoduje upadek jednej, a podniesienie drugiej; czy pokolenia, które nastąpią po nas, będą zmuszone przebyć okres, podobny do średnich wieków, w którym zaćmiła się cywilizacja świata rzymskiego, podczas gdy barbarzyńcy otworzyli oczy na nowe światło? jakie będą nakoniec dla całego rodu ludzkiego następstwa, z tego czynnego wpływu pół miliarda jednostek do ogólnego ruchu dziejów? „Bezwątpienia, odpowiada na to autor, pierwszy peryod tych olbrzymich zapasów, straszny będzie dla świata, ale prędkiej, czy później, równowaga musi powrócić, a ludzkość nagnie się do nowych swych przeznaczeń. W każdym razie, zapóźno już, aby znów odgraniczać Wschód od Zachodu. Oprócz niektórych górzystych stref, Azja Wschodnia stanowi już część otwartego dla nas świata, powinniśmy więc badać pilnie te żółte plamiona, którym dano będzie odegrać tak wielką rolę w rozwoju przyszłej cywilizacji.

Obszerny dział, w pracy p. Reclus, poświęcony Japonii, na pilną także zasługuje uwagę. Zobaczymy, jak autor charakteryzuje to zagadkowe społeczeństwo.

„Złożony z rozmaitych żywiołów etnicznych, lud Japoński tém trudniejszy do poznania, iż widząc zwrócone na siebie oczy cudzoziemców, zęcznie odgrywa rolę. Tak samo, mówi autor, jak zrzucił odzież własną, a przebrał się po europejsku, pragnie zarówno przyswoić sobie idee i zwyczaje właściwe ludom ucywilizowanym, a dzięki wielkiej mocy nad sobą, umie przedstawiać się w fatszywem świetle; przez co nadzwyczaj jest niebezpiecznym, gdy nim powoduje myśl pomsty. Z wyjątkiem niektórych dzikich pokoleń Nowego Świata, pozornie obojętnych na wszystko, żaden lud nie umie lepiej, od Japończyków, ukryć doznanych wrażeń. Zamknęci w sobie, baczni na opinią drugich, wazą każde słowo, zanim z ich ust wybieży w obec Europejczyków, czuwają pilnie nad każdym swym ruchem i spojrzeniem. Urzędnicy ich, po większej części, noszą błękitne lub czarne okulary, aby nie dać wyczytać myśli w własnem oku. W stosunkach nawet między sobą, Japończycy nie okazują gniewu, ani żadnego uniesienia; boleść ich objawia się spokojnie; nigdy nie załamują rąk na znak rozpacz: nie podnoszą ich w górę, nie zawołają o ratunek do Boga. Dziś, zwyczajem europejskim, podają sobie rękę na znak przyjaźni, ale czynią to chłodno, bez lekkiego nawet uścisku. Matka nigdy nie popieści własnego dziecka, lubo miłość macierzyńska wysoko rozwinięta pomiędzy Japonkami.

Lud ten, zamknięty w sobie, dbały o utrzymanie godności osobistej, a ztąd grzeczny i słodki w obejściu, posiada w głębi duszy niestłuchany zasób energii: dowodem ję gotowość do spełnienia bez oporu,

nakazanego prawem samobójstwa. Kroniki japońskie wymieniają licznych bohaterów, którzy, rozprówszy sobie wnętrze, pisali krwią własną testament albo wiersze. Historia czterdziestu siedmiu Loniów, skazanych na samobójstwo, za pomśzczenie honoru pana swego, stanowi jedną z najchlubniejszych tragedji narodowych; groby tych bohaterów, najwyższem otoczone są poszanowaniem.

„Sądząc po takich czynach, dodaje p. Reclus, możnaby śmiało wnosić, że gdyby Rosya lub jedno z państw zachodnich, wystąpiło do walki z Japonią, spotkałoby w niej najzaciętszego przeciwnika. Dotąd armie europejskie, dzięki przewadze oręża i karności wojskowej, łatwe na Wschodzie odnosiły tryumfy, ale japoński naród nie ulegnie bez gwałtownego oporu.

Kilka miesięcy temu, umarł w Paryżu jeden z najpracowitszych filologów i najzarliwszych miłośników starodawnéj literatury francuzkiej. Był nim baron James Rotschild, zmarły w trzydziestym siódmym roku życia; przedwczesna śmierć jego, prawdziwą jest klęską dla literatury. Dziś, kiedy wybijałe do zbytku dziennikarstwo, pochłania tyle zdolności umysłowych, wytrwały erudyta, który nie potrzebuje pracować na chleb powszedni, a może własnym nakładem wydawać niepokupne dzieła, wytrwały erudyta, powtarzamy, bardzo ważne stanowisko zajmuje w piśmiennictwie. Takimto pracownikiem, benedyktyńskiéj cierpliwości, był zmarły finansista. W roku 1878 wydał on „Mysterya,” ze starożytnego testamentu, w dwóch obszernych tomach. Na czele publikacyi pomieścił rozprawę o początkach literatury dramatycznój we Francyi.

Późniéj pracował nad skomentowaniem wielkiego mysteryum o ś-tym Krysztofie. W ciągu zeszłéj zimy, przepisał własną ręką cały poemat, którego jedyny egzemplarz istnieje w bibliotece narodowéj paryzkiej. Rękopis ten składa się z dwudziestu pięciu tysięcy wierszy, w starofrancuzkim języku średnich wieków. Milionowy erudyta nie chciał wyreczyć się kopistą, raz, dla zachowania tekstu w całej czystości, a potém, aby, przepisując z wolna wyraz po wyrazie, tém lepiéj przejąć się duchem dawnego poematu.

Niemniejszą zasługę położył filolog, wydaniem rymowanój gazety Loreta, z początków XVII wieku i przygotowaniem do druku późniejszych gazet Robineta i jego następców. Wydawca kończył właśnie przedmowę do téj ważnéj publikacyi, kiedy śmierć wytrąciła mu pióro. Całość obejmie sześć wielkich tomów; pierwszy z nich ukazał się w tych czasach.

Według świeżego obliczenia rozchodzi się dzisiaj po świecie do 23,000 dzienników. Europa wydaje ich 13,600; na Francją samą przypada 2,300. Spójrzymy poza siebie: inaczej było dwieście pięćdziesiąt lat temu. Wtedy Paryż na całą Francją wydawał dwie gazetki, obie w maleńkim formacie; każda z nich wychodziła raz na ty-

dzień. Każda miała redaktora swego, który sam, bez obcej pomocy, zapełniał ją od początku do końca.

Ci dwaj dziennikarze byli konserwatystami w całym słowa znaczeniu. Z głębokiem poszanowaniem wyrażali się o sprawach rządowych, z najwyższą czcią wspominali imię Ludwika XIV. Jeśli król figurował w kadrylu dworskim, mógł być pewien kadzideł dziennikarskich w następną sobotę, inaczej Paryż nie oglądałby zapewne swę gazetki, a gazeciarsz rozmyślałby w Bastylli nad popełnioną niedorzecznością i powtarzałby ze skruczą *mea culpa*.

Jeden dziennik nosił po prostu tytuł „Gazeta,” drugi zwał się „Muza Historyczna.” Redaktorem „Gazety,” poświęconej wyłącznie polityce, był Renandot, pierwszy twórca dziennikarstwa we Francyi. Był on lekarzem z profesyi; wydawał, jak mówią, „Gazetę,” dla rozerwania swoich pacjentów.

„Muza historyczna” pisana była wierszem; redagował ją Loret. Był to dzienniczek literacki, światowy, teatralny, anegdotyczny, słowem swistek, jakich tysiące rozbiega się dzisiaj po świecie, z tą różnicą, że dzisiejsze pisane prozą. W owej gazecie rymowanej mnóstwo było szczegółów o widowiskach, o balach i uctach dworskich. Poezya Loreta, rymem tylko różniła się od prozy, ale obrazy w niej pełne życia, a częstokroć dowcipu. Co sobota Loret wysypał z jakie 300 wierszy; tym sposobem napisał ich przeszło 200,000. Ale wiersze nie wzbogaciły Loreta, proza lepiej zawsze popłacała: Podczas gdy Renandot zgarniał znaczne pieniądze za anonse, Loret nie mógł wygrzebać się z biędzy. Zrazu wydawał „Muzę historyczną” w dwónastu tylko egzemplarzach, i to przepisywanych; nie miał więc nad dwunastu prenumeratorów. Co sobota autograf swój posyłał księżnej Nemours; kopie zaś krążyły po mieście. Tak było przez dwa lata od r. 1650 do 1652. Ale przy końcu tegoż roku, kopista zachorował, Loret nie mógł znaleźć nowego, udał się więc o pomoc do prasy. W swistku z 29 października, kreśli przepisy drukarzowi:

Niech nad prawem pilnie baczy,
 Niech co tydzień, wyda swistka
 Jeden tuzin, nie inaczej,
 To chudoba moja wszystka;
 Nie pomoże, choćbyś z krzyku
 Dostał pypcia na języku.

Jak się zdaje, prawo zabraniało Loretowi wydawać więcej egzemplarzy. Później jednak pismo rozwinęło się trochę lepiej, ale cóż ztąd, kiedy abonenci zalegali z opłatą. Biędny Loret powtarza rozpaczliwe odezwy. Pod datą 3 stycznia 1654 r., pisze do czytelników i czytelniczek:

Pauny, księżne i hrabiny,
 Marszałkowc, margrabiny,

Honorowe damy dworu,
 Piękne damy bez honoru,
 Strojne w złoto i bławaty,
 Baronowie i prałaty,
 Ministrowie i książęta,
 Z modrą wstęgą na ramieniu:
 Niechaj każdy, z was pamięta,
 Gdy chce czystym być w sumieniu:
 Kto bądź czyta moje wiersze,
 Niechże raczy płacić za nie!
 Niosę prośby me najszczerze:
 Ślijcież pieniąż, pany, panie,
 Przez paziki, czy przez sługi,
 Kto uczciwy, płaci długi.

Loret zestarzał się w tych tarapatkach, a z każdym rokiem, skargi jego, głoszone w gazecie, żałośniejszy mają charakter. Dnia 13 sierpnia 1662 roku, gorąco napomina czytelników; kończy rzecz w ostry sposób:

Nie o piękne proszę słowa:
 Lecz domagam się pieniędzy,
 Bo mi ciężko wytrwać w nędzy;
 Od kłopotu pęka głowa,
 Nie wyliczam długu przecie:
 Coście winni, sami wiecie!

Każdy numer „Gazetki,“ nosił osobny tytuł, stosownie do charakteru, jakim był nacechowany. Oto niektóre z tych tytułów: „Balladyna,“ „Uparta,“ „Złośliwa,“ „Marząca,“ „Maskaradowa,“ „Wojownicza,“ „Dworująca,“ „Kolczysta,“ „Zadyszana“ i t. d. Dalsze tytuły świadczą o rozpaczliwem położeniu redaktora: „Bolejąca,“ „Przeklęta,“ „Wysilona!“ Ta ostatnia nakreślona na krótko przed skonem, zamyka cały szereg. Pod datą 28 marca 1665 roku, tak pisze chory autor:

Jaębym wolał spocząć sobie,
 Niż mózg smażyć przez dzień cały,
 Bom ja stary i schorzały:
 Jedną nogą stoję w grobie.
 Lecz konieczność srodze zmusza,
 Wkrótce powię Paryż tłumny:
 Loret umarł — biédna dusza,
 Wiersze pchnęły go do trumny,
 Nim śmierć chwyci mnie w swe kleszcze,
 Tę ich więzkę ślę wam jeszcze!

Zakończa smutno temi słowy:

Dwódziesiątego ósmego marca, chory ciałem,
 Wśród okrutnych męczarów te wiersze pisałem!

W kilka dni potem, umarł biedny Loret; wiersze, jak mówił, wpędziły go do trumny. Przez dwa miesiące ani słychu o gazecie, aż oto 25 maja 1665 roku ukazują się dwa swistki rymowane, jeden pod adresem księżnej Nemours, skreślony przez Gravette de Mayolas, drugi posłany następcy tronu, przez Karola Robinet.

Gazeta Loreta była później oddrukowaną, ale owe swistki jego naśladowców, zagięły bez wieści. Uważano je całkiem za przypadek.

Wielkie paryzkie biblioteki posiadały tylko drobne urywki z tych rymowanych gazet, które wychodziły między rokiem 1665 a 1689. Pozbierał je po świecie James Rotszyld i przygotował do druku, na krótko przed śmiercią, p. t. „Kontynuatorowie Loreta: listy wierszem, przez la Gravette de Mayolas, Robineta i innych.

Rotszyld zbierał kopie tych rymowanych gazet, nietylko w Paryżu i innych miastach francuzkich, ale i za granicą: w British Museum i w zbiorach petersburskich. Dzięki tym skrzętnym poszukiwaniom, zebrał nakoniec całość. W Bibliotece barona Jamesa, czterdzieści kartonów obejmowało kompletne numera gazety rymowanej. Na czele pierwszego tomu, wydawca, w obszernym wstępie, ogarnął całą historią polityczną, światową, literacką i teatralną, najświetniejszego okresu, z czasów Ludwika XIV.

Znajdujemy tu ciekawe sprawozdania, z pierwszych przedstawień komedyi Moliera i tragedji Rasyna. Ilekroć było wielkie widowisko u dworu, lub kiedy Ludwik XIV występował w balecie Muz, Robinet otrzymywał taburet w kącie sali.

Przedstawiono raz pierwszy „Mizantropa,” 4 czerwca 1666 roku; w tydzień potem w liście z 12 czerwca, Robinet zdaje sprawę z reprezentacyi.

Mizantropa grano wreszcie,
Mowa o nim w całym mieście,
Celny utwór—prawda szczerą:
Arcydzieło Moliera.

Następcy Loreta większe ciągnęli zyski z publikacyi swoich, niż ich ubogi protoplasta. W roku 1652, biedny Loret utyskiwał zimą, że nie ma ognia na kominie, ani ciepłej odzieży. W lat dwadzieścia potem, Robinet w „Gazetce” z 11 stycznia 1670 r., dziękuje gorąco czytelnikom, że płacą mu hojnie abonament, nietylko pieniędzmi, ale winem, lukrem, likworem, nawet złotniczemi wyrobami i tak wreszcie zakończya:

Gdy każdy w ręce dinucha, w zimnej porze roku,
Pisałem to w pantoflach i ciepłym szlafroku.

Wykład francuzkiej literatury w kolegium Francuzkiém, należy do kursów uprzywilejowanych. Katedrę tę zajmowali zawsze najzdolniejsi profesorowie. Od lat kilkunastu słyszeliśmy tu kolejno profesora Lomenie, pomawianego wprawdzie o szukanie błyskotliwych cfe-

któw, ale głębokiego zarazem erudytę, o czém świadczą studia nad Beaumarchais'm i Mirabeau; słyszeliśmy tu później porywającego wymową profesora Feugère, zgasłego w pełnym rozkwicie lat i talentu; słyszeliśmy następnie profesora Albert, biegłego filologa i wytrawnego krytyka, który padł niedawno, jak żeniec na zagonie, zbytnią starganą pracą. Po tych znakomitych erudytach, objął katedrę Emil Deschanel, zawołany szermierz słowa, znany z literackich konferencyi, tak w Paryżu, jak w ościennéj Belgii i w Genewie.

Tegoroczny kurs Deschanela, różni się zupełnie od wykładów poprzednich. Profesor sypie gradem śmiałych paradoksów, stawia bezustanne antytezy, słowem, usiłuje zburzyć przyjęte pojęcia i na nowych podstawach oprzeć własną krytykę. Zwolennik Darwina, selekcją naturalną i walkę o byt, stosuje on do literatury: „co słabe, upaść musi, co silne, ma prawo do życia.“ Taką zasadę wygłosił p. Deschanel, wszakże, jak wszyscy Darwiniści, prześcignął o wiele twórcę szkoły. Teoretyk angielski buduje swój systemat na prawach ewolucyi; Deschanel, nieodrodny Francuz, nie poprzestaje na stopniowym rozwoju; w jego pojęciu, rewolucya tylko, stworzyć może wiekopomne dzieła: „Kto nie spełnił rewolucyi w swoim czasie, mówi on, ten nie przeżył epoki swojej, nie wychylił głowy nad poziom. Geniusz burzy pojęcia przeszłych, gorszy ich, wywołuje pociski, szyderstwa i zniewagi krytyków, gdyż, jak ognista bomba, godzi ich zastarzałe przesady, powala spleśniałe systemata, niszczy dawny porządek!“

Takimito rewolucjonistami w literaturze, profesor nazywa romantyków. Rzecz to powszechnie wiadoma; ale co było nowością dla słuchaczy, oto, że szkoła romantyczna nie datuje od początków XIX wieku, że twórcą jej we Francyi, nie był Wiktor Hugo z cenaklem swoim. Według p. Deschanel, romantyzm zapanował tu w wieku XVII-tym, ożywił świetną epokę Ludwika XIV.

Wielkim rewolucjonistą, a więc i romantykiem, był Molière, który odważył się wprowadzić do sztuki realizm, tworząc typy nie według idealnych mrzonek, ale wzięte z rzeczywistego życia. Romantykiem był Kornel, który w arcydziele swoim Cydzie, poszedł śladem przesiąkłych romantyzmem Hiszpanów. Romantykiem był Raszyn!... A to z kąd? zapytamy. Ztąd, odpowiada profesor, że „czerpał z Sofoklesa i Eurypidesa, a ci byli romantykami, w pełném znaczeniu słowa, przedstawiali bowiem w Atenach tragedye, odpowiednie do religijnych i moralnych pojęć greckiego ludu.“ Jeśli to daje prawo do romantyzmu, dziwimy się, że profesor nie wspomniał Arystofanesa, w którego komedjach mógł pełną ręką czerpać argumenta na poparcie swéj tezy ¹⁾.

Romantykiem, według pana D... był i sam Boileau, ów retor, który w ślad za Horacym, ścisnął poezję w żelazne pęta klasycyzmu. Boileau był romantykiem, bo w satyrach chłostcze śmieszności wieku

¹⁾ Zobacz „Sejm Niewieści,” Arystofanesa.

swego, bo szydzi z dworskich pań, iż *rose i lilije* starte chusteczką z lic własnych posyłają do praczki ¹⁾. Romantykiem był nakoniec Lafontaine, głęboki psycholog, który schwycił życie na gorącym uczynku, i pod postacią zwierząt, odmalował ludzi z ich wadami i śmiesznościami.

Ależ nie sami tylko poeci wieku XVII byli koryfeuszami romantyzmu, zdaniem p. Deschanel, prozaicy nie ustąpili poetom. Na czele tu stawia Paskala, zowie go nowym Hamletem, chwiejącym się pomiędzy wiarą a negacją, powtarzającym wciąż sławne; „to be or not to be.” Za Paskalem idzie Bossuet „ryczący jak lew na pustyni;” jedyny minister spraw Bożych na ziemi, który byłby zdolny napisać mowę tronową w imieniu Boga, gdyby rząd parlamentarny istniał w Niebie”. Po tym występuje Fenelon, romantyczny twórca Telemaka, wreszcie Saint-Simon, autor słynnych pamiętników z epoki Ludwika XIV-go, który w kreśleniu szkarad dworskich, odrzuca na bok wszelkie klasyczne formy, nazywa rzeczy po imieniu, z cynizmem godnym dzisiejszych zwolenników „naturalizmu.“

Tak to paradoksalny program, burzący wszelkie dotychczasowe pojęcia, zakreślił p. Deschanel we wstępnej lekcji; w dalszych rozwija rzecz stosownie do założenia swego. Smutno pomyśleć, że słynna katedra literatury francuskiej, z której przemawiali dotąd mężowie głębokiej nauki i wytrawnego sądu, dostała się dziś zręcznemu szermierzowi, który władając dzielnie słowem, używa go za oręż do przeprowadzenia swych idei. O cóż tu bowiem idzie profesorowi? Idzie mu o to, aby odebrać Niemcom zaszczyt z dokonania przewrotu romantycznego, w początkach XIX wieku, idzie o to, aby pokazać, że Francuzi o dwa wieki wyprzedzili Niemców na tej drodze.

Małoż to zaszczytu dla Francuzów, zapytalibyśmy profesora, że oni to właśnie, wraz z Hiszpanami, stworzyli w średnich wiekach ten romantyzm, w którym szkoła niemiecka Schleglów, Ticka i Wackenrodera, wskazała żywą krynicę poezji, stokroć obfitszą nad helikońskie źródła, zmaćcone już i do dna wyczerpane. Gdyby p. Deschanel, z dumą narodową ukazał ów Romantyzm zaklęty w pieśniach Truwerów i Trubadurów, byłby zupełnie w swoim prawie. Francuzi stworzyli go bez zaprzeczenia, niemcy odgrzebali go tylko z pomroku wieków i ujęli w systemat, zbudowali na nim nową szkołę. Tego właśnie przyznać nie chce profesor; Romantyzm według niego to rewolucya: na tém polu któżby mógł wyprzedzić Francuzów?

Gdyby nazwać można romantyzmem, każde żywotne drgnienie w piersi poety, każde zetknięcie jego z rzeczywistością, tak cudnie określone greckim mytem Anteusza, który ilekroć stopą dotknął ziemi, tem dzielniej rozwijał twórczy polot, gdyby romantyzmem był każdy wykrzyk zachwytu i boleści, jest-że, pytamy, choćby jeden klasyk, któ-

¹⁾ Et dans quatre mouchoirs de sa beauté salis
Envoie au blanchisseur ses roses et ses lys.

ryby nigdy w życiu nie okazał się romantykiem? Był nim nasz Jan z Czarnolasu, gdy opiewał „wieś spokojną i wesołą“ w Sobótkach, gdy łożami oblewał „pisany letniczek i złote uploteczki“ swój Urszuli, byli nimi jego rzymscy i greccy mistrze, od Homera do Horacego. Ale nazywać Eschileasa i Homera romantykami, jak to czyni p. Deschanel, to doprawdy nadużycie wyrazu! a takie nadużycie wprowadza myśl w chaotyczny bełład, sprzeczny zupełnie z krytycznym zmysłem Francuzów, słynnych dotąd ze ścisłości w rozumowaniu, i z jasnego poglądu na rzeczy.

Znany lingwista i etnograf August Dozon, konsul francuzki w Janinie, zajął się gorliwie zbieraniem pieśni i podań ludu albańskiego; owocem tych kilkoletnich prac była najprzód rozprawa o języku tego ludu: „Manuel de la langue chkipe,“ uwieńczona przez Instytut francuzki, następnie zaś ciekawy zbiór powieści albańskich, tylko co ogłoszony drukiem.

Powieści ludowe, tak zwane baśnie, klechdy, gadki, skazki i t. d., stały się dziś dla etnografów i historyków francuzkich, ważnym przedmiotem badań. Rzecz godna uwagi, że Francuzi, którzy w tylu naukach pozytywnych, wskazują nowe drogi, którzy tak skrzętnie, tak systematycznie badali pytania archeologiczne w ówczas gdy reszta Europy zaledwie je przeczuwała, rzecz dziwna, powtarzamy, że w dziale badań etnograficznych pozostali daleko za innymi.

„Odkryto dziś nakoniec — mówi poważny krytyk Gabryel Char- mes,— że w pamięci nianiek przechowały się najważniejsze dokumenta z historyi ludzkości, że czarodziejskie bajki, któremi nas karmiono w dziecięcych latach, były pierwszym bełkotaniem rodzących się społeczeństw, pierwszym wysiłkiem umysłu do zbadania rzeczy pokrytych tajemniczą zasłoną.“

Erudyci niemieccy wskazali Francuzom drogę do tego rodzaju poszukiwań. Uznają to sami Francuzi, powtarzając słowa Hahna, tłumacza powieści greckich na język niemiecki. „Historja filozofii, pisze Hahn, uważana jako historia rozwoju myśli ludzkiej, powinna wychodzić od pierwotnych pojęć ludzkości, owoż w legendach tylko i baśniach, mamy zachowane ich ślady!“ Gdyby Francuzi lepiej obznajmieni byli z rozwojem umysłowości naszej. mogliby dodać, że na wiele lat przed Hahnem, bo w pierwszym brzasku wieku bieżącego, (1802), ks. Hugo Kołłątaj, w więzieniu Ołomunieckim nakreślił program do poszukiwania w pieśniach, tradycjach, obrzędach i obyczajach wiejskiego ludu, niemylnych wskazówek, objaśniających jego rodowód i pokrewieństwo z innymi ludami Europy.

Powieści albańskie nie przedstawiają wcale jakiegoś wyjątkowego charakteru. Oprócz wpływu greckiego, który łatwo wytłumaczyć jeo- graficzném zbliżeniem, widzimy w nich tradycje wspólne ludom niemieckiemu i słowiańskiemu. Jeden znaczny dział tych powieści, uważa Dozon, jest po prostu analizą, jakoby szkieletem poematów bułgar-

skich. Mowa o tych słynnych poematach z Rodopu, które zdziwiły niedawno całą Europę, i stały się powodem zaciętych sporów między uczonymi, jak to wyjaśnił p. Grabowski w Bibliotece Warszawskiej.

Dozon, jak wiadomo, delegowany był przed dziesiętkiem lat, dla zbadania na miejscu owych ludowych epepei, słyszał je sam z ust bułgarskich muzułmanów, osiadłych w wężozach Rodopu, i w dwóch urzędowych raportach zdał z nich dokładną sprawę. Uczony ten lingwista zbyt blisko przypatrzył się rzeczy, aby ją miał lekceważyć, jak to uczynił p. Segir, który nazwał te poemata dzisiejszém podrobieniem, i wszelkiéj odmówił im wartości. Można było obwiniać Werkowicza o cele polityczne, można było wraz z profesorem Chodźko, zarzucać mu że proste pieśni ludowe nastrzępił nazwiskami „Wisznu“, „Siwy“ i innych bóstw indyjskich, ale nie godziło się sztydzić z tych utworów, zwać ich oszustwem literackiém. Pan Dozon nie mięszał się wcale do polemiki słowianofilów, ale szedł dalej, kopał coraz to głębiéj, aż w końcu dokopał się w górach albańskich tychże samych tradycyi, streszczonych do rozmiaru krótkich powiastek, które nazywa szkieletem epepei bułgarskich. Ta wspólność tradycyi rodopskich z albańskimi, rzuca nowe światło na tę nierozstrzygniętą jeszcze sprawę.

W Baśniach albańskich spotykamy też same fantastyczne potwory jakie widzieliśmy w pieśniach Rodopu o Urfenie, królu Tadzie i t. d., a w których dzisiejsi badacze mytów, w ślad Max Millera, odgadują uosobione siły przyrody. „Kucedraży“ naprzykład, chciwi krwi ludzkiéj, przypominają zarazem Lamije starożytnych Helenów, i smoki greków nowożytnych; przebywają one w głębi studzien, lub w pobliżu krynic, do których wzbraniają przystępu śmiertelnikom. „Kubije“ zarówno złośliwe, ale wśród tych sprzysiężonych potworów ludożerczych najstraszliwszą ma siłę słońce samo, położone bowiem zbyt wysoko, aby człowiek mógł go dosięgnąć. Są przecież różne tajemnicze sposoby na zakłęcie tych potęg.

Dozon rozróżnia w baśniach albańskich trzy całkiem odrębne działy: w jednych przeważa cudowność, w drugich myśl moralna, trzecie nacechowane werwą humorystyczną. Wśród czarodziejskich powieści znajdujemy znaną powszechnie o „umarłym wędrowcu“, którą zgermanizował Bürger w słynnej balladzie „Lenora“; jak również inną o pięknej królewnie uśpionéj w głębi lasu, pod strażą dzikich zwierząt zbrojnych w kły i pazury.

Między powieściami drugiéj kategorii, spotykamy jedną zbliżoną zupełnie do znanéj u nas klechdy, odmienną tylko formą. Myśl w niej pełna głębokiego znaczenia. Był przed laty poczciwy kupiec, miał syna jedynaka, strzegł go jak oka w głowie, pracował skrzętnie aby mu zostawić kęs chleba. Gdy syn dorósł, ojciec zaswatał go z młodą niewiastą, zawistnego i gwałtownego charakteru. Wkrótce przyszło na świat dzieciątko. Stary kupiec szczęśliwy z wnuka, piastował go z miłością, rad patrzył jak śliczne pacholę rosto i rozwijało się z dniem każdym. Ale radość macierzyńska nie poprawiła serca złéj niewiasty.

Zgrzybiały teść był dla niej solą w oku, nie mogła znosić go w domu swoim. Dnia jednego oświadcza wręcz mężowi, by wybierał pomiędzy nią a ojcem, gdyż razem żyć wszyscy nie mogą.

Starzec dalejże w płacz i prośby, gdy to nic nie pomaga, bierze w rękę żebraczy kosztur.

— Synu mój — rzecze, — zima zapasem, jeśli mnie Bóg wpród nie powoła, to przemarznię do kości, bo nie mam się czem okryć. Zaklinam cię, daj mi starą opończę....

— Nie ma w domu zbywającej odzieży — zawoła zła niewiasta.

Syn milczy zalekniony.

— Dajcież mi przynajmniej derę końską, — błaga ze łzami starzec.

Syn skinął na dziecię by przyniosło jedną ze stajni.

Posłuszne chłopię, bieży co tchu, wybiera najlepszą derkę, rozkrawa ją na dwoje, połowę przynosi dziadkowi.

— Wszyscy tu sprzysięgli się na mnie, nawet to biedne dziecko — zawoła starzec.

— Co to znaczy? — zapyta z gniewem ojciec.

— Przebac mi tateńku — odpowie dziecię, ale przyszło mi coś do myśli. Drugą połowę zachowałem dla ciebie kiedy się zesterjesz.

Powiatka ta z małemi odmianami, znana i u nas i u wszystkich europejskich ludów, pięknie świadczy o moralnych pojęciach Albańczyków, o poszanowaniu węzłów rodzinnych.

Wiele baśni albańskich zaczyna się od charakterystycznej formuły: „było nie było,“ wiele téż kończy się wyraźną wątpliwością, czy opowiedziana przygoda wzięta z życia, czy téż zrodzona w myśli. Tę cechę właściwą utworom ludowym trafnie określa wspomniony krytyk francuski. „Kto wie, pyta on, czy patrząc ze stanowiska wyższej filozofii, te przelotne widziadła wylęgte w duszy naszój nie więcj warte nad grubą rzeczywistość? Kto wie, czy marząca ludzkość dalszą jest od prawdy, niż ludzkość, która chce wszystko wyrozumować; a częstoć bredzi w najsmutniejszy sposób.“

Najważniejszym lubo nie najgłówniejszym zjawiskiem na polu dramatycznej poezji, jest niewątpliwie trzyaktowy dramat Henryka Borniera p. t.: „Apostoł“. Mimo powodzenia jakie znalazły poprzednie utwory poety „Córka Rolanda“ i „Attyla“, dramat ten nie ukazał się na scenie: żaden z teatrów nie śmiał go przedstawić, bo w rzeczy samej, sztuki osnute na przedmiotach religijnych, w których ukazują się czoła promieniejące aureolą, mogły tylko w wiekach głębokiej wiary, znaleźć godnych siebie słuchaczy. Już w XVII-tym wieku Polieukt Kornela wywoływał najsprzeczniesze sądy. Książę Conti w rozprawie o widowiskach, wyraża niezadowolnienie swoje z tego arcydzieła. „Bóg, mówi on, nie wybrał teatru; aby zaświecić na nim chwałą swych męczenników“. Jeśli za czasów Kornela, Polieukt przechodził już tak

ciężkie próby, cóżby dziś spotkać mogło „Apostoła?” Dla jednych nie byłoby to najwyższą zniewagą, ukazywać go, na tychże samych deskach, na których tylko co rozpościęrała czary swoje księżna Bagdadu, lub inna półświatowa bohaterka Dumasa? Dla drugich znów, to utwór zbyt religijny, trącający kościelną zakrytyją, a więc nudny i przestarzany. Dyrekcye głównych teatrów, nie przyjęły sztuki, by uniknąć skandalu, odczytał ją tylko publicznie utalentowany artysta Monny-Sully w obec wyborowych słuchaczy, którzy przyjęli ją z oklaskiem.

Poeta wziął sobie za cel odmalować w szczyptach ramach, walkę trzech religii: politeizmu, judaizmu i chrześcijaństwa. Politeizm kona, szydząc sam z siebie, przekonany o bezsilności własnej, nie chce i nie umie się bronić. Judaizm przeciwnie, broni się z całą zaciętością, porzostając na częście prawdy, zamyka oczy na całkowite światło. Chrześcijaństwo wreszcie, prześladowany, nieznan, okryty wzdargą i potwarzą, tryumfuje siłą zupełnej prawdy, którą czuje w sobie i daje światu.

Uosobieniem politeizmu jest w dramacie Afranius Duumwir rzymski; typ wzięty jak mówi autor, z „Dyalogów Lucjana”. Judaizm przedstawiony w Elymasie, zaciętym rabinie Sedycyuszów, sekciarzy pełnych nienawiści i okrucieństwa, Chrześcijaństwo wyobrażony w świętym Pawle, wielkim apostołe narodów.

P. Bornier wyznaje sam o ile zamiar przechodzi jego siły, ależ, dodaje: „każdy artysta godny tego imienia, powinien pamiętać na przepis Horacego: „Conamur tenues grandia”. Po takim wyznaniu autora, nie mamy prawa szukać niedostatków, które on sam dopatrył w dziele swoim, nie mamy także prawa zarzucać mu zuchwałości, w podjęciu przedmiotu, który jak sam uważa, przechodził jego siły. Poprostostajemy też na skreśleniu treści dramatu.

Akt pierwszy odbywa się w mieście Filipopolis w Macedonii. Teatr przedstawia „atryum”: przez otwartą galeryę widać gmachy wielkiej rękodzielni, właścicielką jej, bogata wdowa Lydya. Miasto obchodzi w tym dniu uroczystość Bachusa i Sylwana, frontony domów mają być ozdobione drogiemi makatami; tak rozkazały władze rzymskie. Lydya, lubo gorliwa Izraelitka, nie mogła wyłamać się z pod ogólnego prawa.

Za podniesieniem zastony, widzimy jak w głębi sceny Paweł z uczniem Faustusem, obaj wędrowni rzemieślnicy, przybijają do kolumn draperye. Święty Paweł jak wiadomo z Ewangelii, trudnił się szyciem namiotów.

Podczas gdy apostoł bije młotem, wchodzi do „atryum” Lydya, z młodą greczynką Megarą. Surowa Izraelitka gromi niewolnicę Glycerę, że zasnęła poranek, grozi jej chłostą. Poczem siada na łożu, zastanęm purpurą; na obliczu jej smutek. Greczynka patrzy na nią badawczym wzrokiem.

MEGARA.

Co tobie?

LYDYA.

Kiedy krew płynie z serca, gdy dusza w załobie,
 Mniejsza z jakiego kruszcu ulane te groty
 Co pierś moją przeszyły. Żelazny czy złoty,
 Oba jednak ranią!... jam piękna, bogata,
 Zakon mnie Izraelski wsparł w młodzieńcze lata,
 Surowemi zasady, których świat nie nagnie,
 Stóp moich, nigdy w ziemskim nie starzałam bagnie.
 Wszystkiego szczodrobliwie niebo mi udziela,
 Co czyni serce wolnym, co myśl rozwesela,
 A jednak cierpię, widzisz... łzy z powiek mych płyną,
 I pytam nadaremno: co tych łez przyczyną?

Tu przybywa Afranius i rabin Elymas; obaj wezwani na ucztę, zasiadają do stołu. Posługuje młoda Gliryna, wypuszcza z rąk drogocenną czaszę. Lydy uniesiona gniewem, wyciąga złotą szpilkę z włosów i wpycha ją w rękę niewolnicy. Widzi to Paweł, zstępuje z drabiny, staje pomiędzy Gliryną a okrutną jej panią. Afranius szydzi ze śmiałości prostego rzemieślnika, Elymas wybucha gniewem.

— Nie śmieję się Duumwirzel!— zawoła Paweł, — Rabinie, chciej posłuchać:

Czytałem w Senecie:

August zwan wprzód Oktawem, wezwan był na gody
 Do domu Wedyusza; tam, niewolnik młody
 Roztrzaskał przy biesiadzie czaszę kryształową.
 „Śmierć mu!”—woła pan wściekły— okrutnika słowo
 Będzie czynem;—nieszczęsny wnet zniknie bez śladu,
 Pograżon w głąb sadzawki pełnej ryb i gadu.
 Drży jak liść, pot śmiertelny pocieka mu z czoła,
 Pada u stóp cesarskich:—„Łaski! łaski!”—woła.
 Cezar dał znak liktorom:—„wziąć go ztąd co żywo!”
 Nim wpadnie w okrutnika paszczękę krwi chciwą:
 Na cząstki drogocenne potłuc te kryształy,
 Zawalić czerepami dno sadzawki całej“.

(do LYDYI):

Mnie brak siły Cezara,—ale twoja dusza
 Okrutna, czyn niestuszny, jak czyn Wedyusza!
 Ty złe obrałaś drogi..., one w przepaść wiodą:
 Bóg tobie niewolnicę powierzył tę młodą,
 By ci wiernie w domowej pomagała pracy,
 Ona siostrą jest twoją... my wszyscy jednacy
 Przed Bogiem!... O Lydyo, tyś gniewem zbłąkana,
 Szatan jest panem twoim!... tyś sługą szatana!
 Słowa te głęboko poruszają. Wzywa do stołu Pawła z młodym uczniem i Gliryną, którą obdarza wolnością. U stołu Elymas patrzy pilnie w oblicze Apostoła; widział go niegdyś, w pośród zawziętej rze-

szy co kamionowała Szczepana świętego... Słyszysz to Paweł ze zgrozą, objawia się chrześcjaninem.

Rabin wpada w szalony gniew; próżno podżega do zemsty sarkastycznego Duumwira. Nazajutrz wielkie święto Kippour, lud izraelski zbierze się w synagodze. Lydy stanąć ma przed starszyzną, niechaj się wytłumaczy.

Drugi akt odbywa się w pobliżu synagogi. Z głębi przybytku odrzmiwia chór pieśni religijnych. Elymas oskarża Lydy: Paweł występuje w jej obronie, śmiało wyznaje wiarę swoją:

Ludul jam chrześcjanin! w tém czerpię moc całą;

Nie hańbą mi to imię, lecz największą chwałą.

Dla tych, co z żył mych radzi wytoczą krwi zdroje,

Litość tylko przepętnia zbolatą pierś moję.

Rabinie! przez twe usta nienawiść wybucha,

Ale ja nienawiści nie mam w głębi ducha!

W twych słowach jam się poznał, bo niedawno jeszcze

Z ust moich takież słowa zbiegały złowieszcze.

Przebaczam ci, Rabinie! ty oczyma srodze

Śledzisz, czy nie zabrakło kamieni na drodze,

By zgnieść me nędzne ciało... jam, jak ty, złudzony,

Niegdyś, te obie ręce zboczył w krwi czerwonej!

Jam walił, gniótł i szarpał jak gadzina wściekła,

I nigdy łza wyrzutu z ocz mi nie pociekła.

Wśród jęku biednych ofiar, wśród bólu poryków,

Chrztem krwawym słałem w niebo tłumy męczenników.

Bóg mnie wreszcie oświecił... ja... wróg ich... morderca,

Krzyż Pański przycisnąłem z miłością do serca:

Co Bóg dla mnie uczynił, dla was spełnić może!

I któż zdoła przeniknąć tajemnice Boże?

— Dalejże, za kamienie! — woła Rabin, ale tłum nie spieszy z wykonaniem doraźnego wyroku. Słowa Pawła zachwiały umysłami. Wtém ukazuje się Afranius.

— „Do mnie samego — rzecze, — należy wymiar sprawiedliwości.“ I rozkazuje ustąpić tłumom.

— „Niechajże liktorowie zwiążą ich i pochwycą!“ — woła Rabin.

— „Lektorowie zostali w mieście, jestem tu sam,“ — odpowie Duumwir.

Elymas pospiesza po wojsko, Afranius tymczasem zniewolony prośbą Lydy, doradza ucieczkę chrześcjaninowi. Szepcze do siebie półgłosem:

Jeśli powinność moją złamałem w tej chwili,

Nie gani mnie Horacy, pochwali Wirgili.

Odchodzi Afranius, burza tymczasem nadciąga gwałtowna, pionury biją... Dwaj chrześcjanie i niewiasty chronią się między skały sterczące na pierwszym planie. Apostoł korzysta z chwili, gorąco przemawia do niewiast:

„Raz szedłem do Damaszku, do onego miasta,
 Gdzie liczba Chrystusowych uczeni się rozrasta,
 Otrzymałem od żydów zlecenie i prawo,
 Szczęśliwy, że mam służbę wnet wypełnić krwawą
 Idę... w miarę jak miasto do mnie się przybliża,
 Wymyślam straszne męki na wyznawców krzyża;
 Party siłą nieznaną, biegnę jak szalony,
 Pod niebem ołowianém, po ziemi spalonéj;
 Nagle, burza nademną groźna się rozsroży,
 Słyszę głos tajemniczy, zapewne głos Boży,
 Z błyskawicą i gromem przeszedł mi nad głową:
 „Czemu mnie prześladujesz Szawle?”... ach to słowo,
 Cud... cud żywy... upadam, biję w ziemię czołem,
 Odtąd jam Chrystusowym zostałem Apostołem.
 Niewiasty! niech dziś z wami ten cud się powtórzy,
 Bóg woła na was głosem piorunów i burzy:
 Na kolana! słuchajcie co mówi Pan z nieba!
 Niewiasty! wam szczególniej znać ten głos potrzeba.
 Wam! niestety ofiarom gwałtów i przemocy!
 Od dnia, kiedy w pomrokach długiej wieków nocy
 Rzekł człowiek: „ta kobieta własnością jest moją!”
 Od téj chwili przeklętéj, ci nawet, co stoją
 Na świeczniku dziejowym, Izraela dzieci,
 I Grecy i Rzymianie, wśród długich stóleci,
 Miłość, dar Boży, w hańbie starzali obrzydłéj!
 I kobieta, ów anioł z złamanemi skrzydły,
 Od lat czterech tysięcy... wieczną niewolnicą!
 Ojciec dowolnie młodą frymarczy dziewicą,
 Wdowa nie władnie sobą: z rąk syna lub brata
 Obcy człowiek ją bierze, straszno nią pomiata;
 Nie ma dla niéj na świecie kresu téj niedoli,
 Chyba śmierć dobroczynna z więzów ją wyzwoli.
 Jedyną jéj osłoda, gdy kornie schylona,
 Karmi swych przyszłych katów mlekiem swego łona.
 Lecz przyszedł Ten, co skruszył te więzy nareszcie,
 I rozbił jasną gwiazdę nad czołem niewieście.
 A z onéj niewolnicy przemocą zgębionéj,
 Uczynił wzór dobroci cnoty nieskończonéj,
 By tém pewniéj na wieki skruszyć ludzką pychę,
 Do męża, co ją dostał jak robactwo liche
 Rzekł: „tam gdzie z gwiazd utkana ku niebiosom droga,
 Króluje twoja matka, obok twego Boga!”

Lydia nie oprze się już tym słowom. Ręka tajemnicza zdziera z jéj oczu zastonę: Bóg zwyciężył w jéj duszy.

— Jam chrześcianką!— woła w najwyższém uniesieniu. Megara idzie za jéj śladem.

Burza ustała. Wszyscy czworo zabierają się do ucieczki, gdy nagle wpada Elymas: naddiegają wezwani liktorowie. Afranius wbrew woli własnej, rozkazuje okuć w pęta chrześcian, gotów jednak otworzyć im rygle więzienne.

Nim zdołał to uczynić, Rabin na mocy prawa wdziera się za kratę ze starszyzną Sedyceuszów. Afranius umywa ręce, jak nowy Piłat. Sędziowie izraelscy ciągną indagacyą. Paweł srogą odebrał chłostę.

Akt trzeci odbywa się w porcie Neopolis. Apostoł okryty ranami zbiegł nocą z więzienia. Lydia ułatwiła mu ucieczkę; wyprawiła go do portu pod strażą wiernej Gliryny. Sama z Megarą pośpiesza za nim. Uwiadomiony o wszystkim Rabin pędzi co tchu do Neopolis; przybywa tam i Afranius z liktorami: spotykają się w porcie. Zawzięty Elymas powołuje lud swój: niechaj wymierzy sprawiedliwość.

ELYMAS.

Synowie Izraela! czas pomścić się krwawo!

PAWEŁ (do liktorów).

Brońcie mnie liktorowie! wzywam was... mam prawo!
Jam obywatel Rzymu.

I apostoł składa dowody. Liktorowie otaczają go z poszanowaniem, a potem, na znak Duumwira, chwytają Elymasa, który śmiał znieważyc chłostą obywatela rzymskiego.

Oddalają się wszyscy, pozostaje tylko Paweł z Lydią. Napróżno Lydia usiłuje zatrzymać apostoła, napróżno ukazuje mu po trudach cichą przystań w swym domu, napróżno rozwija przed nim obraz szczęścia w związku dwóch dusz złączonych wspólną wiarą, uświęconych błogosławieństwem Bożem. Ale czyż wybrańcom Pańskim wystarczy to szczęście na ziemi? dla nich-że cichy, domowy spokój? Apostoł narodów w daleką wybiera się drogę.

LYDYA.

Gdzie chcesz iść?

PAWEŁ.

Do Rzymu!

LYDYA.

Do Rzymu? wiesz-li o tém?...

PAWEŁ.

Wiem, lecz się nie trwożę...

Jest tam ktoś, co dla żartu, wśród zabawy może,
Jeśli nagle oczyma spotka się z mym wzrokiem,
Wyrzecze: „niech z żył jego tryśnie krew potokiem.”

Chcę temu człowiekowi spojrzeć oko w oko,
 Co mu powiem, wnet rozbrzni po świecie szeroko.
 Niech umrę, byle prawda na wieki przeżyła!
 Do Rzymu tajemnicza pociąga mnie siła;
 Chcę ujrzyć cyrk, arenę, acz włos drży od grozy,
 Ujrzyć tryumfatorów zbluzgane krwią wozy,
 Widziéć lwy, okrucieństwem zdumione Cezarów!
 Pociągnion wyższą siłą wśród tych świata czarów,
 Obiorę do męczeństwa drogę niedaleką;
 Wiem o tém... wnet z żył moich strugi krwi wycieką.
 Niech okręt burzą party mknie rączo po fali
 Tam, gdzie śmierć jasną gwiazdą świeci mi z oddali!

Okręt czeka w przystani. Przy pieśni majtków apostoł wchodzi na pokład. Wyciągnął rękę, błogosławi tych, którzy pozostali na brzegu.

Na tém kończy się piękny dramat. Są tu zapewne niedostatki; uznajemy przecież zasługę poety, że szukał wielkiego ideału.

Od dramatu przejdźmy do opery. Ujrzeni nakoniec Paryżanie oddawna zapowiedziany utwór Masseneta, lecz nie ujrzeni go w Paryżu, tylko w sąsiedniej Brukselli. Dlaczego Herodyada nie znalazła miejsca w operze paryzkiej, zostało to podziś dzień tajemnicą: jedne dzienniki żalą się na opieszałość i skąpstwo dyrekcji, drugie powtarzają: „Nemo propheta” i t. d. Przeciw temu przysłowiu protestuje wszakże tak wielki napływ Paryżanów do Brukselli na pierwsze przedstawienie, że zabrakło dla Belgów łóż i krzeseł w teatrze.

Wszyscy krytycy muzyczni nazwali jednozgodnie operę Masseneta znakomitą kompozycją, nierównie wyższą od „Króla Lahory” i innych poprzednich utworów. Libretto pp. Milliet i Gremont ułożone zręcznie; musimy jednak wyznać, że zupełne przekształcenie ewangelicznej tradycji obraża nie tylko uczucia chrześcijańskie, lecz niemięj i smak artystyczny. Głos wołającego na puszczy: „Czyńcie pokutę! prostujcie ścieżki Pańskieli” zbyt donośnie brzmi jeszcze nad światem, aby nie miały tworzyć z nim dysonansu owe dueta z córką Herodyady, śpiewane na całkiem odmienną nutę.

Oto treść poematu w kilku słowach:

Herodyada obrażona na Jana Chrzciciela, że ją nazwał nową Jezabel, rozpasaną na wszelkie występki, poprzysięgła mu zgubę. Herod tymczasem radby zachować przy życiu proroka i wciągnąć go do spisku przeciwko władzy rzymskiej. Za podniesieniem zastłony widać wielki dziedziniec przy pałacu Heroda. Karawany kupców nadciągają z pustyni, przywożą dary dla Tetrarchy: purpurę z Tyru, bursztyn i kość sioniową, drogocenne kadzidła i balsamy.

Drugi obraz tegoż aktu przedstawia plac publiczny w Jeruzolimie. Herod powołuje lud, podburza go przeciwko władzy rzymskiej.

Lud gotów już ogłosić go królem, gdy wtém nagle zagrzmiały trąby. Prokonsul rzymski Witelius przybywa z wielką pompą: wchodzi na scenę; poprzedzają go liktorowie. Spiskowi osłupieli, jakby rażeni gromem. Przestraszony Herod łączy z głosem ludu okrzyk swój na cześć Romy i Cezara.

Witelius zapowiada kapłanom, iż wiara ich będzie uszanowaną. W końcu ukazuje się Jan z orszakiem Chananejczyków; wszyscy trzymają w ręku zielone palmy, wszyscy chórem śpiewają: „Hosanna.” Ale mściwa Herodyada umie zręcznie korzystać z chwili. Herod nie posłuchał jój głosu, posłucha go Witelius. Oskarża proroka o zamach przeciwko Rzymianom: strażę chwytają go, prowadzą do więzienia.

Nowy obraz ukazuje wnętrze świątyni Jerozolimskiej. Salome uciekła tu, aby ukryć swą boleść przed okiem ludzkim: sierota przygarbiona na dwór Heroda, nie wie wcale, że jest córką Herodyady. Podczas, gdy udęczona losem Jana, śpiewa żalną aryę, nadchodzi Herod, oświadcza jój miłość, lecz Salome odtrąca go ze wstrętem. Rozgniewany mocarz odgadł tajemnicę jój uczuć, przed pomstą jego nie zasłoni Jana. Wtém lud tłoczy się do przybytku. Uchyła się zasłona pokrywająca Sanktuarium. Przy dźwięku harf i chórze psalmów, taniec obrzędowy okrąża wkoło arkę. Poczém kapłani przystępują do sądu: Herod wraz z nimi ogłasza wyrok śmierci.

Akt trzeci rozpoczyna się w więzieniu. Salome ubłagała strażę, przyszła pożegnać Jana. Przerywa duet przybycie gońca Herodowego: przynosi słowo łaski z warunkiem, że Jan wspierać zechce działania Tetrarchy i skłoni do nich powolne mu ludy Judei. Jan odpowiada na to: „Jam sługą Boga Wszehmocnego, Herod nie moim panem. Czekam spokojnie śmierci.”

Ostatni obraz przedstawia wspaniałą ucztę w pałacu Heroda. Przy dźwięku charakterystycznych melodyj występują w balecie grupy Egipcyanek i amazonek, Fenicyanek i galskich dziewic. W pośród wrzawy i płasów, otwierają się nagle podwoje w głębi sali: staje w nich kat z czerwonym od krwi mieczem. Wyrok spełniony: wszyscy to zrozumieli. Salome rzuca się na Herodyadę.

— Stój! ja matka twoja! — woła przerażona kobieta. Sztylet zadrzał w ręku Salome. Odwraca go, zanurza w piersi własnej.

Partycya Masseneta zadowolila najsurowszych krytyków. Wszyscy podziwiają mistrzostwo kompozycyi i wielką oryginalność wprowadzonych do niej tematów.

Młody jeszcze, bo czterdziestoletni zaledwie kompozytor, ciekawą jest osobistością, wszystko bowiem, do czego doszedł, zawdzięcza sam sobie. Mało który z wielkich artystów tak ciężko, jak on, dokupywał się sławy.

Ojciec jego posiadał wielki zakład kowalski w Saint-Etienne. Zrujnowany skutkiem wypadków 1848 roku, zagrożony utratą wzroku, przybył z liczną rodziną do Paryża. Jedyném ich utrzymaniem były lekcye muzyki, dawane przez żonę, kobietę bardzo energiczną i biegłą

fortepianistkę. Dziewięcioletni Juliusz dostał się do konserwatorium. Tu odrzucał pozyskał względy mistrzów; ale życie w Paryżu stało się dla rodziców zupełnym niepodobieństwem. Zamieszkali z dziećmi w Chambery. Nauka matki wystarczyć nie mogła przyszłemu artyście. Nie wiele też myśląc, bez centima przy duszy, uciekł z domu: puścił się w drogę do Paryża. Poznany w Lyonie przez krewnego, musiał rad nierad zaniechać swych zamiarów. Krewny odprowadził go na pocztę, odesłał do Chambery.

Wkrótce potem matka prześlądana łzami syna, wyprawiła go do Paryża; tu znalazł przytułek w domu zamężnej, ale ubogiej siostry. Piętnastoletni chłopiec musiał pracować na kęs chleba. Po usilnych staraniach otrzymał miejsce cymbalisty w orkiestrze teatru lirycznego, z pensją sześćdziesięciu franków na miesiąc. Tak przetrwał lat sześć; przez ten czas pracował wytrwale w konserwatorium, co rok nowe zdobywał nagrody; w końcu przyznano mu stypendyum do szkoły rzymskiej.

Za powrotem do Paryża, Massenet wykonał nasamprzód partycyją do lirycznego dramatu: „Erynnie.” Większy jeszcze rozgłos dała mu pyszna symfonia: „Marya Magdalena,” ze słowami hr. Krystyna Ostrowskiego. W lat kilka potem, 1876, utworzył „Króla Lahory.” Piękna ta opera postawiła go w liczbie mistrzów. Wykonano ją nasamprzód w Paryżu, w teatrze Wielkiej opery, następnie na dwudziestu ośmiu scenach włoskich.

Od r. 1879 słynny już kompozytor, pracował wytrwale nad „Herodyadą.” Głos powszechny wyrzuca surowo dyrekcji opery paryzkiej, że wypuściła z rąk taki utwór, pozwalając wyprzedzić się Belgom. Mówią, że wkrótce „Herodyada” ukaże się w Paryżu i będzie dla panny Krauss polem do nowych tryumfów.

Na publicznym posiedzeniu królewskiej Akademii w Brukselli, członek tego naukowego ciała, Ludwik Hejmans, wyrzuca gorzko Belgijczykom ich upodobanie w publikacjach francuzkich, ze szkodą oryginalnych utworów.

„Kto temu winien? pyta mówca, pisarze nasi, czy publiczność? Teatr i romans francuzki zabijają literaturę naszą! Ostatnia komedia z teatru paryzkiego, ostatni wodewil z „Palais Royal,” to jedyny przedmiot salonowych pogadanek. Narodowe tymczasem utwory nie obchodzą nikogo. Dzienniki różnych barw i rozmiarów, aby zadowolić czytelników swoich, drukują w odcinkach wyłącznie francuzkie powieści. Ogół nie może otrząsnąć się z dawnego przesądu, że same tylko „Nowożytny Ateny” posiadają przywilej na zabawianie umysłów i ożywianie uśpionej wyobraźni.”

Pan Hejmans nie wątpi jednak, że wkrótce nastąpić musi zba-wienna reakcja.

„Braknież nam to—mówi dalej—przedmiotów do psychologicznych badań, na gruncie narodowym? Domowe cnoty mieszczaństwa

naszego, tradycyjny rozsądek i sarkastyczny dowcip naszych wieśniaków, wspaniała uroda niewiast naszych, bohaterstwo robotników, żarliwość w zapasach mężów politycznych, śmieszności dorobkowiczów; pogoi za honorami, współbieganie się o urzęda, cześć złotego cielca posunięta do szalu, walka upoczywa praw z obowiązkiem, fanatyzmu z tolerancją, pragnienia, żale i nadzieje społeczeństwa, nacechowanego odrębnym charakterem: oto szerokie pole badań, bogata kopalnia typów ludzkich, dla zdolnych autorów, którzy pragną literatury swojskiej, pełnej życia i samodzielności; dla czytelników, którzyby chcieli przejrzeć się jak w zwierciadle, w dziełach swych utalentowanych pisarzy.

„Taką literaturę musimy zdobyć, kończy Hejmans; nie brak nam pracowników do spełnienia wielkiego dzieła.”

Nigdy jeszcze Belgia nie wystąpiła tak silnie przeciwko wpływowi francuzkiemu. Nie dziwi nas to, gdy rzucimy okiem na obrzydliwy stek powieści, wypełniający odcinki dzienników tutejszych, na skandaliczne farsy i dramata ściągające poklask tłumów, w kraju który wydał Kornela i Moliera.

Poważne głosy patryotów francuzkich, ostrzegają naród aby czuwał nad sobą tém pilniej, że Niemcy śledzą go argusowym wzrokiem, i usiłują odebrać mu wpływ zdawna wywierany. W wielu naprzykład miastach holenderskich istniały teatra francuzkie; dziś zastąpiono je niemieckimi. Daleko nawet poza obrębem Europy, Niemcy usiłują wydrzeć z rąk francuzkich pochodnię cywilizacyi i stanąć na świeczniku. Zobaczmy co się stało w Japonii.

Rząd japoński spostrzegł, że wysyłanie uczniów na naukę do Europy zbyt wiele kosztowało, a co ważniejsza, że młodzież oderwana od kraju, nie miała dostatecznej opieki. Postanowiono więc założyć w Jeddo własny uniwersytet. Profesorowie francuzcy, niemieccy i angielscy mieli wykładać w nim nauki w swoich językach. Ten poliglotyczny wykład zrazu wprowadzony został, lecz stał się niepraktycznym i wielu znalazł przeciwników. Bądź że profesorowie niemieccy okazali się zdolniejszymi od innych, bądź że zręczniejszymi umieli działać, skończyło się na tém, iż oddalono z Jeddo wszystkich Francuzów i Anglików— zostali tylko sami Niemcy.

Tysiąc uczniów uczęszcza na wykłady; przygotowawcze nauki pobiera młodzież przez lat sześć w gimnazyum niemieckim, założonem téż w Jeddo. Każdy profesor niemiecki otrzymuje rocznie 25000 franków i mieszkanie z ogrodem; podróż odbywa kosztem rządu.

Legenda napoleńska mało dziś znajduje zwolników we Francyi, a jednak od czasu do czasu, pojawiają się jeszcze w druku jakieś ustępy z tych olbrzymich zapasów, które naznaczyły odrębnem piętmem początek XIX stulecia. „Bitwa pod Laon, w r. 1814;” Alfred Assol-

lant skreślił zajmujący obraz ostatnich wysileń wielkiej armii, dziesiątkowanej już poprzedniemi klęskami.

Trudno nam iść w ślad za autorem; przytoczymy tylko pełną życia i fantazyi opowieść starego wiarusa o przeprawie przez Berezynę. Ustęp ten nie może być dla nas obojętnym, zwłaszcza że główną rolę odgrywa w nim nasz ziomek.

„Biegam na wszystkie strony—opowiada wiarus—szukam głównej kwatery cesarza, a unikam spotkania z kozakami, którzy ciągle kręcą się po dolinie. Nagle spotykam się oko w oko z kwatremistrzem: był to Polak nazwiskiem Karpowicz; znałem go w Hiszpanii.

— Kogo szukasz?—zagadnie Polak.

— Cesarza!

— Odjechał; jest teraz w Paryżu, grzeje się przy kominie.

— A któż go zastąpił?

— Król Murat.

— I gdzież jest Murat?

— Odjechał; wrócił do Neapolu, tam trochę cieplej niż tu...

— A po Muracie?

— Księżę Eugeniusz.

— Gdzież on?

— W Prusach, z całym sztabem i z niedobitkami Berezyny.

— Berezyna! cóż to jest? czy ładna dziewczyna? czy piękne miasto?

„Śmiałem się, ale zgrzytałem zębami. Widziałeś kiedy kota jak pije ocet? Otóż ja w podobnym byłem położeniu.

— A więc wszyscy się rozjechali?—pytam znowu.

— Tak; połowa starszyny—odpowie Karpowicz.

— A nasi towarzysze?

— Czterech na dziesięciu leży pod śniegiem na drodze od Smoleńska do Moskwy, czterech na dziesięciu spoczywa na dnie Berezyny, téj głupiej rzeki, którą przeszliśmy po moście ruszając do Moskwy. Gdyśmy wracali, w połowie już zamarzła. Trzeba było przeprowić się bądź co bądź! Przed nami armia nieprzyjacielska, poza rzeką. Druga armia na karku naszym popycha nas naprzód bagnetami. Mostu ani oko. Ten, któryśmy zbudowali dwa miesiące temu, zburzony już do szczętu. Zato ogromne bryły kry, długie na czterdzieści stóp, szerokie na dwadzieścia. Płyną pomału z góry, siekają ludzi przez pół, jak brzytwa siecze włos na brodzie. Wesolyż to był widok! Każdy pisze testament.

— A cesarz, cóż wtedy robił?

— Cesarz—odpowie Karpowicz—oparł głowę na rękę, wypił kieliszek szambertyna, z przyjacielem Berthier: tak rozgrzany rzecze do drugich:

— No, przyjaciele moi, czas zanurzyć się w wodę. Naprzód! to

nie żarty! Gdzie pontonierzy gwardyi? Eble mój stary, ty będziesz budował most!" Czy ty znałeś Eblego?

— Nie znałem wcale; Eble, jak wiem był inżynierem, ja służyłem w kawaleryi; owóż jazda i inżynierya, to nie chodzi do pary z sobą. Ale i cóż zrobił twój Eble?

— Co zrobił?—odpowie Karpowicz—to, czego ani ty, ani ja nie bylibyśmy zdolni uczynić! Oto patrzył na cesarza i nie pisnął słówka jednego. Trzebaż to było widzieć! Brwi jego zmarszczone mówiły: „ty postawiłeś nas w takich opałach, a my umrzeć mamy za ciebie.” Uczuł to cesarz, odwrócił oczy; zdawało się że patrzy na rzekę. Wówczas Eble zwołał pontonierów. Z dwustu, którzy weszli do Rosyi, na apel stawilo się trzydziestu. Reszta nie żyła. Eble rzekł tedy do nich:

— Towarzysze moi! patrzcie, tam nieprzyjaciel, tu rzeka. Trzeba zbudować most lub zginąć. Czyście gotowi?

Gdybyś ty widział jak szczękali w zęby od mrozu, w podziurawionych mundurach, zadrżałbyś jak oni! Gdy myślę o tém, dreszcz zimny przebiega mnie po skórze. Najmłodszy Mateusz, Prowantczyk Montpeiller, odezwał się na to:

— Mój generale, tak czy tak, musimy zginąć! czy kozaki czy Be-rezyna, wszystko nam jedno; od nich przynajmniej mozem się bronić. Jeśli nas zabijają, toć i my zabijem nie jednego.

Inni milczeli, znać tego samego co i on byli zdania. Stary Eble zawołał na to:

— Idzie tu o armię, o trójkolorową chorągiew; idzie tu o naszą ojczyznę! Patrz...

To rzekszy, zrzucił płaszcz, zostawił go na śniegu, wszedł pierwszy po pas w wodę, pomimo lat z górą sześćdziesięciu i reumatycznych bólów.

— No, dalej Mateuszu—zawołał śmiejąc się—kiedy stary żołnierz Rzeczypospolitój wchodzi w zamarzłą wodę, godził się cofać młodym?

Wtedy wszyscy rzucili się do rzeki. Stał most w mgnieniu oka. Zbudowali nawet dwa mosty, jeden dla artyleryi i podwód, drugi dla piechurów. Eble dwanaście godzin siedział w rzece; raz że kierował robotą, a potem dla przykładu. Gdy ukończono rzecz, z trzydziestu pontonierów, zostało tylko sześciu. Reszta pomarła; w niektórych jeszcze duch słabo się kołatał. Położono Eblego na noszach; wówczas przystąpił doń jakiś starszy z wielkiego sztabu.

— Generale!—rzecze—opowiem jego cesarskiej mości twój bohaterski postępek.

Eble zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— Moi dzielni pomarli—rzecze—i ja też umrę z nimi. Od was nic już nie potrzebuję.

Kazał potem przywołać marszałka Ney'a, uściskał go za rękę.

— Skończona rzecz — wyszeptał — stare wiarusy odchodzą, ty zostań w aryergardzie; bo jak pójdziesz naprzód, reszta rozbiegnie się po polach, jakby stado kuropatw.

Ney uściskał go i rzekł: „licz na mnie, stary, dopóki zostanie garstka w aryergardzie i ja tam będę!... Żegnaj!...”

Nazajutrz potem, czterdzieści tysięcy ludzi przeszło most; reszta została w śniegach i lodowiskach!

PÍSMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Sbornik slovansky” etc. (Zbiornik słowiański, artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów życia literackiego i towarzyskiego). Redaktor Edvard Jelinek, 1881, w Praze. 8 maj, str. 128.

Stowarzyszenie literacko-krasomówcze „Slawia,” w Pradze, postanowiło wydawać, na podobieństwo wyszłych już w Kijowie i Petersburgu, roczniki zbiorowe artykułów o literaturze, cywilizacji, dziejach i żywocie ludów słowiańskich. Redakcją owego „Sbornika,” powierzono młodemu pracownikowi Edwardowi Jelinkowi, znanemu dobrze ze swych artykułów czeskich o Polsce i innych krajach słowiańskich, oraz polskich i serbskich o Czechach, artykułów, pisanych z zapałem i gorącym zamiłowaniem swego przedmiotu. Otrzymawszy pomoc od różnych autorów słowiańskich, p. Jelinek wydał pierwszy rocznik, który, jako początek, oraz praca nieco kwapiona, bardzo obiecująco się przedstawia. Z naszych autorów, dopomogli mu A. H. Kirkor, W. Mickiewicz, oraz Francuz z pochodzenia, ale zarazem pracownik i w naszej literaturze, Juliusz Mien.

„Sbornik Slovansky” dzieli się na dwa oddziały i na krótsze „rozhledy.” W pierwszym oddziale znajdujemy aż cztery, bliżej nas obchodzące. A. H. Kirkor podał rozprawkę „Groby i mogiły przedhistoryczne w Polsce, na Litwie i Rusi,” umyślnie dla powyższego wydawnictwa, napisaną i z rękopismu przełożoną, przez F. A. Horę. Uczony badacz pomników przedhistorycznych, zebrał tu w jedno wyniki badań w przedmiocie prastarych grobowców. Przedewszystkiém mówi o pisarzach w owym przedmiocie i zbieraczach wykopalisk, a potem przebiega ważniejsze zbadane już cmentarzyska pogańskie. Edward Jelinek podał artykuł jeden z najdłuższych p. t. „Polskie panie i dziewczęce. Kartka z dziejów życia narodowego i towarzyskiego.” Entuzjastyczny autor zebrał tutaj nader wiele danych, charakteryzujących znaczenie polskiej niewiasty w społeczeństwie naszym, oraz rozwój kwestyi kobiecój

u nas. P. Jelinek sądzi, że w obecném stóleciu trojaki duch panuje w kwestyi kobiécój w Polsce. Mówi on: „najprzód widzimy Klementynę z Tańskich Hofmanową, którój życzeniem było, aby Polki, w rodzinnej skromności, główną pieczę poświęcały ognisku domowemu i przy nióm szukały jedynój działalności swego żywota. Później, gdy do życia przeniknęła działalność publiczna „entuzyastki” Narcyzy Zmichowskiej, z zapamiętanością troszczono się o równe stanowisko niewiasty z mężczyzną w ruchu umysłowym, a w końcu w dobie najnowszej, mianowicie od r. 1864, wyszła na jaw kwestya praktyczna, t. j. ta, która nadaje kobiecie równe prawo i równe znaczenie w życiu obywatelskiém.” P. Jelinek, opierając się na starannie zebranych i przestudyowanych źródłach polskich, kreśli w zajmujący sposób, barwami iście poetycznemi, żywot i działalność Hofmanowej, Zmichowskiej, księżnej Czartoryskiej (autorki „Małwiny”), pań Dobrzyckich matki i córki, Klaudyny Potockiej, Róży Sobańskiej. Wspomina o działalności literackiej naszych autorek, których liczy w naszym stuleciu najmniej 250; mówi jeszcze o wykształceniu kobiet (o Muzeum Baranieckiego w Krakowie), o salonach polskich, a potem o indywidualności Polek. Przytacza pełne czci i wymowne słowa Hawliczka o Polkach i rozpowiada żywot Honoraty z Wiśniowskich Zapowej, która wniosła do Pragi zadatki szlachetniejszego i podnioślejszego życia u kobiet. Na zakończenie wspomina o wrażeniu, jakie Polki czyniły na poetów i innych literatów czeskich i kończy serdecznym wierszem Tupego:

Śliczna Polko, uciech zdroju...” i t. d.

W odsyłaczach znajdujemy nader ciekawy wiersz Prawosława Koubka, rozmowę Czecha „nieczeskiego” z Polką, ułożony tak, że Czech mówi po czesku, Polka odpowiada mu po polsku. Cały artykuł p. Jelineka napisany gorąco, serdecznie, a ułożony pracowicie z dobrych źródeł, stanowi snadź najprzedniejszą całość książki ozdobę.

Dr. Antoni Rezek podał krótką notatkę o kandydaturze Zygmunta I na tron czeski, wykazując, że niedbałe wzięcie się do rzeczy, nie mogło zjednać należytego skutku tam, gdzie przeciwny kandydat, Ferdynand rakuzki, rozwinął całą energią i zabiegliwość, dzięki czemu, obrano go królem czeskim. Praca ta zawiera wiele nowego materiału i przedstawia poglądy, z którymi publiczność polską nie omieszkamy dokładnie obznajmić.

Okrom tego, znajdujemy tu jeszcze sprawozdanie W. Lewickiego o „Wystawie etnograficznej w Kołomyi.”

W starannym artykule J. K. Stańka p. t. „V carské wierzejné knihovnic v Petrohradie,” obok wielu ciekawych danych, co do dzisiejszego stanu biblioteki publicznej w Petersburgu, autor nie zapomniał, mówiąc o bibliotekach, które w skład jej były weszły, nakreślić szkicowo dziejów biblioteki Załuskich.

Ks. Michał Hórnik, podał w „Sborniku” krótki przegląd działalności u Serbów łuzyckich w ostatniém pięcioleciu (1876—1880), gdzie

wymownie kreśli obraz mrówczej pracy tego maleńkiego narodu i nielitośne postępowanie Niemców, zwłaszcza Prusaków, zmierzające ku zatarciu tego szczytku Słowiańszczyzny nadelbiańskiej.

Chorwatom poświęcono dwa artykuły. Młody Chorwat, Bronisław Breżki, w artykule „Istrya i Chorwaci istryjańscy,” w sposób nieco suchy, ale wyrazisty, maluje stan obecny kraju, w którym mniejszość włoska, popierana przez Niemców cislejtańskich, utrzymuje w stanie nicości politycznej większość słowiańską, niedostatecznie rozbudzoną jeszcze i utwierdzoną w swém poczuciu narodowém. Obok tego, pilny pracownik, obznajmiający Czechów z Chorwatami, za pomocą osobnych artykułów i przekładów, Józef Kouble, podał przegląd literatury chorwackiej za rok 1880. Materiał zebrano tutaj nader pracowicie, szkoda tylko, że zbyt mało rozwinięto żywioł krytyczny, tak, iż przegląd ów przeważnie przedstawia się nam jako przegląd bibliograficzny. P. Kouble o niektórych zjawiskach literackich mówi obszerniej, ale niektóre, co zasługiwały na dokładniejszą charakterystykę, zbywa przechodnią tylko wzmianką; tak postępuje np. z nader cenną powiastką Szenoi „Kananincewa ljubowca” (którą sam był tłómaczył), oraz ze ślicznym obrazkiem psychologicznym z życia dalmackiego p. t. „Geranium,” którego zagadkowy autor (podpisany Sergij P-a) zapowiada niepospolity talent na owém polu.

Część belletrystyczną w „Sborniku,” reprezentuje obrazek czarnogórski Józefa Holeczka: „Pojedynek Marka Miljanowa z Pekiem Pawłowiczem.” Holeczek bawił czas jakiś w Czarnogórze, w Hercegowinie, w dobie wojennej, i z upodobaniem kreśli obrazki z tych miejsc, w formie energicznej, wyrazistej i wielce charakterystycznej, w czém niesłychanie przypomina Jeża. Nieznający życia czarnogórskiego, zarzucają mu trochę bombastycznej przesady, w najgorszym nawet razie, obrazki jego czytają się z niesłychaném zajęciem i stawiają nam przed oczy żywo i wyraziście ludzi z tych ziem, gdzie nie przeniknął jeszcze ogładzający, ale też nieraz i rozstrajający wpływ cywilizacji, gdzie istnieje dotąd byt patryarchalny i oryginalna moralność, oraz pogląd na życie, przechowane w starosłowiańskiej prostocie. Holeczkowi należy przyznać wysoką oryginalność i niepowszedni talent.

W „rozhledach” jest wiele ciekawych notatek literackich i artystycznych. Dr. Mirosław Tyrz, zany estetyk, pisze dość trafnie o „Albumie malarzy polskich,” wydania Robiczka, jest tam tylko wzmianka o królowej Bonie „Savoyské,” co poczytujemy za lapsus calami lub memoriae. Juliusz Mien, w liście swoim charakteryzuje stanowisko Francji do obcych literatur europejskich, zwłaszcza słowiańskich. Są tam słowa nader trafne, np.: „Niema wątpliwości, że narody słowiańskie zdobyły sobie we Francji stanowisko wielce sympatyczne. Między plemionami: łacińskiem i słowiańskiem było zawsze pewne duchowe pokrewieństwo i podobieństwo co do ideałów i celów. Niestety, stosunek ów nigdy jasno nie był przedstawiony. Śledząc nawet za najważniejszymi zjawiskami naszej cywilizacji, przywłaszczając sobie

wszystko, co w nich odpowiada charakterowi i potrzebie duchowej każdego narodu słowiańskiego, Słowianie znają Francją i żyją poniekąd jej życiem, lecz zbyt mało dbają o to, aby przedstawili się za granicą w należytym świetle." P. Mien zdaje się być tego zdania, że obowiązkiem samych Słowian jest obznajmiać Francją ze sobą; cokolwiek moglibyśmy i chcielibyśmy napomknąć przeciwko temu, faktem jest, że najlepsze rzeczy o Słowianach napisali po francuzku sami Słowianie (np. Waleryan Krasieński, Leonard Chodźko), a Francuzi z wyjątkiem kilku sumienniejszych pracowników, jak sam Mien, Denys i Rambaud, piszą albo tak bezczelną nieznajomością rzeczy nacechowane książki, jak „Historia literatur” Couvièra, lub rzeczy tak niedorzecznie tendencyjne, a przytém powierzchowne, jak prace znanego Légera. Do listu J. Miéna przyłączono bibliografią dzieł francuzkich o Słowiańszczyźnie, wydanych ostatnimi czasami, ułożył ją Władysław Mickiewicz.

Pod napisem „Polska literatura w Czechach,” Edward Jelinek wyliczył imiona autorów naszych, których tłómaczono po r. 1880, oraz imiona tłómaczy z naszego wieku; pierwszych jest 176, drugich 145. W XVI i XVII w. przekładano na czeski, najchętniej nasze kazania (np. Skargi i Wujka); pierwszym przekładem w odrodzonej literaturze czeskiej była „Myszeisz” Krasieckiego.

Pomiędzy innymi drobnymi wiadomościami, ciekawymi są sprawozdania o czynności stowarzyszeń słowiańskich w Pradze, w latach 1880 i 1881, między innymi i naszego „Koła polskiego;” sprawozdań tych dostarczyły same owe stowarzyszenia. Przykro nam się robi, czytając, że obok tego „Koła” istnieje jeszcze drugie stowarzyszenie polskie „Ognisko,” którego zasady bytu, obok dawniejszego „Koła,” nie pojmujemy, tém więcej, iż wiadomo, że „Ognisko” założenie swoje zawdzięcza warcholskiemu separatyzmowi, rzeczy niezaszczytnej dla nas wszędzie, a tém bardziej w Pradze.

Ogólnie biorąc, „Slovansky sbornik” przedstawia się bardzo dobrze i nadzwyczaj obiecująco, życzymy więc gorąco, aby wytrwawszy na swoim stanowisku wychodził dalej i cieszył się powodzeniem. A stanowisko jego zasługuje na zupełne uznanie, jest ono wolne od wszelkich politycznych tendencji, nie dworuje jednym narodowościom, aby poniżyć inne (nie schlebia np. szowinizmowi Serbów, z ujmą słusznych praw Chorwatów). Coś podobnego nie o każdym „Zbiorniku słowiańskim” powiedzieć można. Obecny, zredagowany przez Edwarda Jelinka, stanowi książkę staranną, zajmującą i prawdziwą chlubę przynoszącą redaktorowi swemu.

Bronisław Grabowski.

„Najlepsza metoda języka niemieckiego,“ do nauczania się czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w trzech miesiącach, bez pomocy lub z pomocą nauczyciela; poczęści na sposób Ollendorfa a poczęści na sposób Toussaint-Langenscheidta; opracował dla użytku Polaków Plato v. Reussner, nauczyciel języka niemieckiego. Wydanie pierwsze. Kurs niższy i wyższy. Prawo przedruku i tłómaczenia zastrzega sobie autor i nakładca. Warszawa. Nakład i własność autora. 1881.

Oddawna już pragnąłem poznać książkę do nauki języka niemieckiego, któraby w krótszym stosunkowo czasie uczyła tego języka, niż to się dzieje teraz; któraby utwierdzała lepiej swoich uczniów w gramatyczném wysłowieniu się i uposażała w potrzebny do swego zawodu życia zasób wyrazów i koniecznych, a każdemu językowi właściwych zwrotów. W obec postępu, jaki w tym względzie w nauce innych języków uczyniono, w obec istotnie dobrych owoców, jakimi terazniejsze metody poszczycić się mogą, dziwiłem się nie pomalu, że dla polskiej publiczności jeszcze nie postarano się o coś podobnego, zwłaszcza że nasze stosunki i wewnętrzne i zewnętrzne koniecznie tego wymagają. Słowem, wielka jest potrzeba książki, z którejby się i dobrze i w krótkim czasie można po niemieku nauczyć. A to tém więcéj, że zakłady publiczne nie są w stanie doprowadzić ucznia do takiej znajomości języka niemieckiego, aby nim ustnie i piśmiennie poprawnie był w stanie władać.

Z tego powodu ucieszyłem się z książki pana Reussnera; lecz po przeczytaniu jój doznałem bardzo przykrego zawodu i rozczarowania.

Aby się to twierdzenie ani autorowi ani czytelnikowi nie wydało nieuzasadnioném, będę się starał postawić na to dosyć dowodów, oceniając tę książkę.

Przedewszystkiém wydanie jest liche, lichy papier, liche druk. Rzecz rozpoczyna się stronicą piętnastą, poprzedzających mimo reklamacyi przez księgarnię nie otrzymałem, a zamiast nich poraz wtóry dwie kartki myłek drukarskich. Ani spisu treści, ani abecadłowego nie ma. Rzecz kończy się w drugim tomie stronicą 352. Nie wiem jednak czy to istotny koniec dzieła. Przedmowy żadnej. Wskazówek, jak książki używać, prawie żadnych, bo „Przestroga“ na str. 20 § 16, jest zbyt szczupła; a te wskazówki, które zawiera „Rozmowa z nauczycielem“ na str. 96, są post festum. Należało je na czele umieścić, bo wcale się nie nadają do ćwiczenia.

Wspomina p. Reussner, że książkę ułożył poczęści podług Toussaint-Langenscheidta. Otóż co się tyczy technicznego wykończenia książki, p. R. pozostał daleko za tym autorem. U tamtego nie ma błędów drukarskich, jak w takiej książce, przeznaczonój do nauki, być

koniecznie powinno, papier i druk wyśmienity. Pan R. w „Ostrzeżeniu” na trzech stronicach, a w dodatku na str. 116 podaje sprostowania omyłek drukarskich. Jeszcze gdyby je był wszystkie podał! lecz daleko większą część pominął. Pan R. podaje 60 sprostowań dla całej książki; niżej podpisany referent znalazł prócz tego w samym pierwszym, czyli niższym kursie, to jest na 100 stronicach jeszcze 80. Gdyby taki stosunek przyjął na dwa zeszyty następne, natenczas urosłoby to do niepraktykowanej liczby 300 myłek drukarskich, w książce naukowej, przeznaczonej, jak z wszystkiego wnosić można dla wieku młodocianego.

Niepodobna nam w tém miejscu drukować całej listy „erratów;” ale nadmieniamy, że znajdują się tam nie tylko myłki drukarskie, ale i błędy, pochodzące jużto z nieznamomości przedmiotu, jużto z niedbałości.

Bylibyśmy w niemałym kłopotcie, gdyby nam kto kazał dać odpowiedź na to pytanie: w którym z dwóch języków, w polskim, czy niemieckim jest p. R. bieglejszym; zdaje się jednak, że jednakowo w obydwóch, jak o tém świadczą następujące faktyczne dowody.

Najprzód przedstawię polszczyznę p. R. Str. 15: cały miesiąc pierwszy pisany bę d z i e literami łaćcińskimi, zaś drugi i trzeci gotyckimi; str. 17: rzeczownik pisany jest dużą literą; str. 15: samogłoski brzmią jak w polskiem (ten zwrot i podobny mu: tłumaczyć na polskie, powtarzający się bardzo często, jest przeciwny duchowi naszego języka); str. 18: używać rzeczowniki (powinno być: rzeczowników); str. 19: uczyć się słowniczków (raczej słówek ze słowniczków); str. 20: jeżeli się lekcy odbywają przy pomocy nauczyciela, to powinien tenże zalecać i t. d. (p. R. widocznie dosłownie podług języka niemieckiego mówi: *so soll derselbe*; ale takie zwroty są nie polskie, a jest ich w téj książce bez liku, jak np. na téj saméj stronie: jeżeli uczeń nie może odpowiedzieć, to trzeba i t. d.); str. 22: lecz gdy się zaś zaprzecza (albo lecz, albo zaś zbyteczne); str. 26: co sprzedaje pański ojciec? on sprzedaje i t. d.; (na co tu on? wszak sam autor nie słuca własnych swych reguł § 7 i § 28, w których każe te zaimki opuszczać. A błąd ten popełnia i w słowniczkach i w rozmówkach i w ćwiczeniach i w kluczu). Str. 26: czy mi darujesz, ojczy, trochę pieniędzy? (jestto germanizm; my mówimy: dasz, udzielisz. Przy téj sposobności nadmieniam, że p. R. bardzo niedbale używa interpunkcyi, która przecież dla ucznia bardzo jest ważną; i tak wokatywu nigdy prawie nie odznacza przecinkami). Str. 30: życzę sobie od pana kawałek papieru (jest nie po polsku; mówi się: żądam, proszę; bo życzę sobie składa się z infinitywem nie z rzeczownikiem). Jadam talerz rosołu, kawałek mięsa z chrzanem, a kawałek pieczeni z kapustą (powinno być i nie a, bo tu żadnego przeciwieństwa nie ma, zwłaszcza między mięsem i pieczenią). Str. 31: co kupujesz jutro? (czy p. R. nie zna różnicy znaczenia słów dokonanych i niedokonanych; podobnie str. 33: kiedy pan przychodzisz do mnie? ja przychodzę

i t. d.); str. 33, późno na dzień! chyba że ma znaczyć, że dzień wybrał się zapóźno!); str. 35, mam głód (tak nie mówimy, lecz: jestem głodny, bo właściwie głód ma nas); teraz już w pół do dziesiątej (czy w można uważać za omyłkę drukarską?); str. 38, czy ten zegar dobrze pokazuje? (dotąd u nas tylko skazówka trudniła się tą czynnością, zegar w to się nie wdawał); str. 38, mój zegarek jest zły, za t^{em} (*also*) nie idzie. Za t^{em} jest spójnikiem wnioskującym; tutaj nie ma czego wnioskować: zegarek jest zły, dlatego nie idzie. Ten sam błąd w ćwiczeniu 18 zdanie 2, a później bardzo częsty); str. 40, co mi pan przynosisz dobrego z Wiednia? (my zwykliśmy z tak daleka nie przynosić, lecz przywozić. Ten sam błąd na str. 41 dwa razy, bo ktoś przynosi coś ładnego aż z Paryża); str. 45, donikąd (nie znamy tego wyrazu). Str. 47: któż jest większy niż mój przyjaciel? Mój brat jest większy, ty jesteś największy; (gdyby tu chodziło o wielkość moralną, wtenczas byłoby po polsku, ponieważ zaś idzie o wzrost fizyczny, mówi się: wyższy, najwyższy; również i po niemiecku: *höher* nie *größer*); str. 61, sądzę, że twój przyjaciel z Paryża do ciebie przyjdzie; (ja sądzę, że nie; bo nogi nie wytrzymają; przecież mówimy: przybędzie); str. 62, on wcale to nie wie; str. 66, deszczochron (o tym wyrazie raczy p. R. pouczyć się z dziełka Skobla: „O skażeniu języka polskiego”); str. 69, nagleco (to samo Skobel); str. 69, daj mi swego parasola (p. Mał., § 343); str. 71, lwu, t^{em} zając^{om}, twoj^{em} ciotk^{om} (ditto Mał.); str. 81, dziś mamy piątego, wczoraj mieliśmy szóstego, a za tydzień będzie dwunasty (osobliwy kalendarz!); str. 86, zapomocą pletwy pływają ryby, (najprzód musimy nadmienić, że ryba i ryby mają więcej pletw niż jedną; powtóre, my mówimy: pletwami; podobnie str. 85, pisać piórem, atramentem. Niemiec nie mając instrumentalu, pomaga sobie prepozycją); str. 87, w czasie (podczas) ryku lwa, uciekają (*fliehen*) wszystkie zwierzęta; (i my przed taką polszczyzną umykamy!); str. 88, (góry dzielące Francją od Hiszpanii mają teraz do wyboru, bo podług p. R. mogą się nazywać (po polsku): Pireneje i Pyryneje; str. 91, deszcza; str. 96, czy masz tyle od wagi, aby złamać to drzewo? (co tu ma do czynienia odwaga? Czy p. R. sądzi, że to połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem?). Trudno jest mu pomódz, bo nie chce słuchać. P. R. raczy zajrzeć do Mał. o znaczeniu spójników; a rzecz to nie małej wagi te spójniki; stosowne ich użycie wskazuje nam albo logiczność albo nielogiczność myślenia.

Następuje teraz „Rozmowa nauczyciela z uczniem,” której rozbiór podamy niżej, przy ocenieniu biegłości autora w języku niemieckim.

Str. 20: ani ciasta ani ciasto nie jest *Kuchen*, lecz *Gebäck*, *Teig*; niech kupują! nie może być: *kaufen sie*, tylko: *sie sollen*, *mögen kaufen*; str. 23, bulion nie jest *fleischbrühe* (rosół, juszka z mięsa); 26, czytamy w słowniczku: buraki, jakoby ten wyraz nie miał liczby pojedynczej; podano *Retlich*, *Meerretlich* zam. właściwego: *Rettig* (str. 26 i 27); półkorca jest *halber Korzetz* a nie *halb Koretz* (trzy razy); str. 27, *Mein Nachbar trinkt Bier und Met gern*, raczej:

trinkt gern Bier und Met; podobnie mylnie w ćwiczeniu 7-ém, w drugiém zdaniu; str. 27, ćwiczenie 7, zd. 6: *Kartoffel* ma w l. mn. *die Kartoffeln* nie *Kartoffel*; str. 29, dwie szklanki jest *zwei Gläser*, nie *zwei Glas*, chyba że szklanka oznacza pewną miarę napoju w niej się znajdującego np. wody, wina; rano nie jest zawsze *Morgen*, lecz *früh*; jeść obiad nie jest *speisen*, bo to oznacza wszelkie jedzenie, ale *zu Mittag speisen*; panu i pani sobie, ma być podług p. R. *Ihnen!* Zupełnie niezrozumiale a nawet fałszywie podaje p. R.: ktoś kupuje, *man kauft*; ktoś ma, mają, *man hat*, i ten zwrot bardzo często się powtarza; raczj: kupuje się, ma się i t. d., lecz i to wymaga wyjaśnienia; któz z nas mówi: jadam na południe—chyba w południe, *zu Mittag*; a na południe jest: *nach, gegen Süden*; str. 31, rzemień nie jest *das Leder*, lecz *der Riemen*; str. 32, zaraz nie jest *bald* lecz *gleich*; str. 34, inny, *ander* (niestety, tego wyrazu niemieckiego jeszcze nie poznałem); str. 42, mówi się: *ich esse mit dem Löffel, mit der Gabel*, a to podług § 60, bo przecież trzymając te narzędzia w ręku znamy je dokładnie; (ten sam bład str. 43, *mit Schere, mit Messer*, tudzież w ćwiczeniu 17, zd. 14); str. 43, polskie wyrażenie dosyć, określające mierny stopień, tłómaczy się przez *ziemlich*, a nie *genug*; to drugie znaczy: dostatecznie, iż więcej nie trzeba. Zresztą *genug* może stać i przed i po przymiotniku. Czy p. R. powiedziałyby dość dobry: *gut genug* czy *genug gut*, zawsze byłoby źle; jedynie tylko: *ziemlich* (lub *hinlänglich gut*). Pyta się p. R. w rozmówce: *Womit (mit was) trinken Sie Milch?* jaby'm na to odpowiedział up. *mit Brod, mit Semmel* i t. p., ale nigdy nie byłbym tak dowcipnym, że można odpowiedzieć: *mit Glas, mit Tasse*, bo mléko ze szkłem lub z filiżanką... no, dobrego apetytu! Przecież mówi się *in Glas, in einer Tasse*. Polskie szklanką, filiżanką (instrumentalis) Niemiec tłómaczy rozmaicie, bo tego przypadku nie ma, w skutek czego ustaliły się pewne właściwe zwroty; (ten sam bład w ćwiczeniu 17, zd. 16). Jadę tam, fałszywie tłómaczy p. R.: *ich fahre da*; jakoż sam się sprostegł, bo w kluczu nr. 18 (mylnie 17) tłómaczy *dahin*; str. 45, najstarszy nie jest *am ältesten* lecz *der älteste* (ten sam bład ćw. 19, zd. 4; ćw. 25, zd. 5 i częściój); niż, niżeli słusznie p. R. tłómaczy przez *als*; lecz od (przy 2 stopniu) przecież nie jest *als*, lecz *von*. Inaczj należałoby zdanie np. 6 w ćw. 20 tak tłómaczyć: *Er ist weicher von ich*; słota nie jest *schlechtes Wetter*, lecz *Regenwetter*; ból jest wprawdzie *der Schmerz* ale nie *das Schmerzen*, tylko *die Schmerzen* (patrz Janota, § 44, s. 3); str. 46, słówko *es* niepotrzebnie p. R. wtrąca w takie zdania z rzeczownikami: *Heute ist es schönes Wetter; was für Wetter* (lepiój *was für ein Wetter*) *ist es heute, gestern war es nicht nur Wind; war es gestern Wind* (raczj *windig*); (ten sam bład w ćw. 19, zd. 7, 8, 11); prawie, nie jest *beinahe*, tylko *fast*, tamto jest blisko. Z, ze, *mit*, należało objaśnić: z kim, czém? bo z, ze (z kąd) jest *aus, von*; str. 50, co pan będziesz kupował? tłómaczy: *was wollen Sie* i t. d. naciągając do swojej reguły, zam. *was werden Sie* i t. d. To samo w zdaniu następném: *Ist das goldener oder silberner Ring*;

str. 56, p ójść, fałszywie tłómaczy przez *holen* i ztąd nieporozumienie w rozmówce na str. 57 tém większe, że tam nawet posłać także jest *holen lassen*. To samo w ów. 26, zd. 2. Str. 63, prawdziwy jest istotnie *wahr*, lecz prawda nie jest *wahr* tylko *Wahrheit*, jak zaraz niżej podano. Cóż biedny uczeń ma wybrać? Słuszność, racya, nie jest *das Recht*, lecz *Recht* bez rodzajnika (to samo str. 93); str. 66, prepozycją *o* wyklada przez *für*, jakoby to było zwykłym znaczeniem; a w słowniku str. 77 podaje przykład: o mnie, *für mich*. Obie rzeczy fałszywe; wykładając *o* przez *um*, należało dodać o co? bo o czém? inaczej np. mówię o krowie, przecież nie powiemy: *ich spreche um die Kuh*. Str. 67 tam, tamtędy, *da* jest mylne, a nawet trzy wiersze niżej, sam p. R. tłómaczy przez *dahin*. Str. 72 *z, ze, aus* dodać należało z czego? str. 72 do *entgegen, gegenüber, zuwider* należało dodać, że stawiają się po wyrazie. Oprocz mylnie *nebst*, bo jest *ausser*; str. 73 *Wir werden fleisigen Schüler... bringen*. Widać, że p. R. z temi artykułami poradzić sobie nie może. Wieś, prowincya *das Land*; wszak to tylko w znaczeniu przenośném! Jakże uczeń powiedziałby podług tego: ojciec kupił wieś? Str. 77: *Er liegt nicht darauf, aber er hängt*; a własna reguła, czy poszła w zapomnienie? Przecież musi być *sondern. Sie geht an den Brunnen, denn sie ist durstig*. Ponieważ podług p. R. *an* oznacza tylko zbliżenie się, dotykane, więc biedna krowa padnie z pragnienia, chybaby poszła *zum Brunnen*; ścieszka (co do ortografii raczy się p. R. poradzić) prowadzi nie jest *geht* lecz *führt. Mein freund wohnt bei der Strasse Długa. Bei welcher Strasse wohnen Sie? Ich wohne bei der Strasse Królewska*. Co za klasyczna mowa! Mówią podobnie: *Geh' powoli in die bloto*. My powiedzielibyśmy: *in der Langen Gasse*. Są to polonizmy, które tak są fałszywe w języku niemieckim, jak germanizmy w polskim. Podobny błąd rażący jest: *ich wohne auf dem 2 Stokwerke*; chyba że p. R. każe tylko z wierzchu mieszkać na 2 piętrze, a do środka nie wchodzić. Tak bowiem objaśnia tę prepozycją *auf* § 83; str. 81: bo mi pan także nie oddajesz książek, *denn Sie geben mir keine Bücher ab*, jest niedokładnie; pojutrze, *Morgen*; jakże będzie jutro? Str. 83, czyż można powiedziéć uczniowi, że *damit* jest nim? *Bist du der Künstler, welcher... zurückkehrst*; przecież w takich zwrotach nie używa się *welcher* lecz *der ich, der du* (vide Janota § 60, 2); str. 84: *mittels, vermittelt, diesseit, jenseit* raczej: *mittelst, seits.-halben, halber, um-willen*; nie dodano, że stawiają się po wyrazie; a potem co uczeń pocznie z tą kreską w *um-willen*? Str. 88: *das Galizien, das Ungarn* i t. d., któż tu używa rodzajnika? *Die Bewohner von Berlin sind Deutschen*; albo *die Deutschen*, albo lepiej *Deutsche* (p. Cwicz. 44); str. 90: *das Gebirge von Karpaten* nigdy się nie mówi; również nie: *hoffen Sie einen Brief*, tylko *erwarten*; str. 91: *Du gibst mir ein etwas, aber*; str. 94: dzień dobry! jest *guten Tag*, nie tylko *Morgen*; str. 95: *Haben Sie Vorsatz* (zam. *den V.*); *du borgst* (kredytujesz), *ohne mir je zu zahlen*: *borgen* jest tutaj pożyczać (od kogo), więc nie jest: kredytu-

jesz, bo to znaczy: pożyczać komu; a to gruba różnica; str. 96: Przyniesź dzbanek do nalania wody i wazoniki do polania (*begiessen*, zepewne *Begiessen*) kwiatów. Raczy p. R. do tego zdania dodać komentarz, bo ja nie wiem, czy wazoniki są do polania, czy kwiaty, czy dzbankiem, czy wazonikami. A nawet tłómaczenie w kluczu str. 115 nie usuwa tego zamieszania: *Bringe einen Krug, um das Wasser zu giessen* (nie wiedzieć czy do tego dzbanka, czy z niego), *und die Blumentöpfe, um die Blumen zu begiessen!* Bądźże tu mądrym!

Na str. 96 rozpoczyna się powyżej wymiankowana „Rozmowa nauczyciela,” która roi się błędami przeciw obu językom. Ograniczę się i tutaj na ważniejszych tylko usterkach.

W tęto rozmowie p. R. daje wskazówki, jak się należy uczyć z jego książki. Postuchajmy. Uczeń. Umiem dopiéro trochę, lecz niewiele (uczeń widocznie niegrzeczny; sądzi, że nauczyciel wyrazu trochę nie rozumie i objaśnia go). Mówi się: wprawiać się w mówieniu, a nie w rozmowie). Nauczyciel. Bądź pan tylko spokojny (ja), panu dam bardzo dogodną (a tłómaczy: *sehr trefflich*) radę. Otóż p. R. jako dogodną radę daje swemu nieszczęśliwemu uczniowi, który dopiéro trochę umie, lecz jeszcze niewiele: 1-mo: aby od początku wszystkie lekcy powtórzył! 2-do: słowniczek nieznanych słów, spisany przy sobie nosił i z niego, nawet na ulicy, się uczył! 3-io: nie uczył się dalej, aż poprzedniój lekcy się nie nauczył; 4-to: ułożył sobie alfabetyczny spis wszystkich wyrazów tój książki!!! Otóż jest rada dogodna! Padam do nóg!

Str. 97: umiem lekcy, jest: *ich kann die Lection*, nie *ich weiss*, bo można wiedziéć, ale nie umiéć; uczenie się jest *das Lernen*, *Studium*, a nie *Unterricht*. Jak się nazywa wytrwałość? przecież *Ausdauer* nie *Ausdauer* (to samo str. 98); str. 98: *Demostenes war von Natur schlecht beschaffen* (ma znaczyć: uposażony!); *er redete* (zamiast *sprach*); kilkanaście *einige*, a jak kilka? nauka jest *Studium* nie *Wissenschaft*; *Vorrat der Worte* (ma być: *von Wörtern*; *ich habe einen noch so kleinen Vorrat* (*einen noch sehr kleinen*); ucź się najpierw jednego, późniój (potém, następnie) drugiego wiersza, *lernen Sie zuerst ein* (*Zeile*), *nachher zwei* (*die zweite*).

Na str. 100 rozpoczynają się „Anegdutki” (p. R. nazywa *Anegdotte* zam. *Anekdote*), pierwsza nie ma sensu: *Vorübergangen*, przechodzili mimo (na co tu mimo?); str. 102: *der Diener des Generals bürstete seine Kleider...* czyje były suknie? przecież generała, więc *dessen*. P. R. widocznie mylnie sobie tłómaczył jego; jednak tu nie jego, lecz jest tegoż, więc nie zaimk dzierzawczy, lecz wskazujący; str. 103: *der Rock* jest surdut, więc nie u którój, lecz u którego.

Na str. 105: Klucz, czyli rozwiązanie ćwiczeń polskich, które podobne ma błędy. Przemawiając do niewiasty (pani), stanowiskiem nam równój, nie wyrażamy się tak, jak p. R. zaleca: *meine Frau*, to chyba do niższój, coś jakby: moja dobra kobięcino; lecz mówimy: *gnädige Frau*, *meine Gnädige* lub poufalój *Sie*.

Z tego przeglądu, raczy każdy sobie wnioski wysnuć. Ja twierdę, że od takiego języka polskiego i niemieckiego „bieleje włos.” P. R., w polskim języku popełnia germanizmy, w niemieckim polonizmy; co jednemu bierze, oddaje drugiemu.

Ale zapytajmy, jakie owoce nauki?

Przechodzę teraz do układu książki i do metody naukowój.

Autor mówi, że ułożył ją „po części na sposób Ollendorfa, a po części na sposób Toussaint - Laugenscheidta.” Dwa te sposoby są jednak wręcz sobie przeciwne. Ollendorf postępuje syntetycznie, Toussaint analitycznie, t. j. tamten od słówek, zdań, do obszerniejszych ustępów, ten od obszerniejszych ustępów, zdań, do słówek. Że tego drugiego sposób jest odpowiedniejszym, jest drogą wskazaną nam przez samą naturę, każdy to uznać musi, a najlepsi dydaktycy, począwszy od Amosa Komeniusza, potwierdzają. Sposób bowiem ten polega na tych samych zasadach, mutatis mutandis, na jakich uczymy się języka ojczystego. Już nasz Kopczyński w „Przypisach” do swój „Gramatyki łacińskiej” ten sposób zaleca, mówiąc: „Ten jest przyrodzony, powszechny, łatwy i niezawodny sposób uczenia się języków: słuchać lub czytać i naśladować przykładów” ¹⁾. Tymczasem, kto się w książce p. R. rozglądnie, nic podobnego nie zdoła dopatrzeć do sposobu Toussainta, chyba to jedno, że p. R. podzielił swą książkę na „kurs niższy i wyższy.” Toussaint atoli w swoim kursie niższym naucza przynajmniej tyle, że obcym językiem można się od biedy rozmówić; p. R. zaś tak mało i niezdarnie, tak bez wszelkiego systemu, iż się nie dziwię, że uczeń jego, po ukończeniu tego kursu, wyznaje: że umie tylko trochę, lecz jeszcze niewiele. Toussaint w tym kursie ma pewien cel jasno wytknięty, pewien system; p. R. wcale się o podobne rzeczy nie troszczy. U Toussainta oba kursa są równej objętości, a właściwie pierwszy obszerniejszy. Wszelako, gdybym nawet przypuścił, że p. R. o Toussaincie, li tylko dla jego rozgłosu wspomniął, a li tylko naśladował Ollendorfa, wtedy każdy, kto zna dziełko Ollendorfa, musi przyznać, że p. R. nawet i po za tym daleko pozostał w tyle. Musiałbym się szeroko rozpisać, chcąc błędy wytaczać, poprzestam tedy na tém twierdzeniu, a później przy rozbiorze metody rzecz wyjaśnię.

Ollendorf, a osobliwie Toussaint, podają dokładne skazówki, jak sobie w nauce postępować; Toussaint podaje nawet „Plan każdej lekcji,” podług którego w samouctwie postępować należy. U p. R. nie znajdziesz nic podobnego.

Trudną jest rzeczą, żebym oba kursa roztrząsał krytycznie, bo musiałbym całą książkę napisać, dlatego ograniczę się na ocenieniu kursu pierwszego, niższego.

Naukę całą rozkłada p. R. na trzy miesiące, t. j. kurs niższy, jeden miesiąc; wyższy, dwa miesiące.

Kurs niższy składa się z „Uwag przedwstępnych” i z 24 „lekcji,” wreszcie z onój „rozmowy,” „anegdotek” i „klucza.”

¹⁾ Por. S. Sobieski: „Metoda uczenia języków obcych,” 1878.

Co do „Uwag przedwstępnych.” Te zawierają: „O Akcencie,” „Wymawianie samogłosek i spółgłosek.” Uwagi do akcentu są niedostateczne, bałamutne. Tak np. twierdzi p. R., że tylko w wyrazach cudzoziemskich spoczywa akcent tam, gdzie w obcym języku, a zresztą pada na pierwszą zgłoskę w wyrazach niezłożonych. Jakich uczniów miał p. R. na oku? Z wszystkiego widać, że wcale dopiero początkujących, którzy nawet nie znają liter niemieckich. Czyż są w stanie rozpoznać wyraz obcy od niemieckiego? Ale nawet, do swojskich wyrazów nie da się podobna reguła akcentowa zupełnie zastosować. Jakże uczeń ma np. akcentować te wyrazy: *indem, nachdem, zurück, verdruss, arbeiten, lebendig* i mnóstwo innych?

Wymawianie jest w każdym języku bardzo ważną rzeczą. Tymczasem rzecz tę przedstawia p. R. i niedostatecznie i tak fałszywie, jakgdyby umyślnie chciał w błąd wprowadzić. I tak np. fałszem jest, że *oe (ö)* wymawia się jak *e* długie ścieśnione, a *ü* jak *i* ścieśnione (składając usta jakby do gwizdania; niech p. R. próbuje gwizdać, wymawiając *ö, ü* jak należy). Fałszywie każe p. R. *au, eu* wymawiać jak *aj*; a dla większego obałamucenia dodaje, jak się wymawiają w narzeczcu wyższoniemieckim (!) i płaskoniemieckim (!). *G* przed *e*, mówi p. R. brzmi jak *gje (!)*, na szczęście o *he* nic nie wspomina. Gdzież to p. R. słyszał takie wymawianie? Jest ono właśnie najfałszywszém i mamy się przed niem wystrzegać ¹⁾. *Ph* każe p. R. wymawiać jak *f* (ale sam nie używa *ph*); *g* na końcu brzmi jak *h* (?); *h* w środku i na końcu się nie wymawia (!).. Same fałsze. Na dobitek, aby ten swój sposób wymawiania ustalić, do wyrazów niemieckich dodaje literami polskiem i po polsku wymawianemi objaśnienie wcale niefortunne. Prosimy np. zrozumieć następujące zdania, zalecane przez p. R. i obrazowaną wymową: *Geben zü mir Gjeld! Fünf, züben, ceen und fürceen sind zecht und drajsih. Majn oor ist krank. Flajszbrie, Flejsz mit Meerrettih und wenih essih szpajzet ür soon!* Niechby sobie był p. R. wziął wzór obrazowania wymawiania z Toussainta; ten np. wymawianie nawet angielskich głosek tak dokładnie, nawet na podstawie fizyologicznej, przedstawia, że kto je sobie przywłaszczy, może prawie być spokojnym, iż nie pobiądzi.

W skutek tych fałszywych skazówek, każdy, kto z téj książki się będzie uczył, przywłaszczy sobie zupełnie nie niemieckie wymawianie.

Od str. 17 rozpoczynają się „Lekcye.” Każda lekcyja zawiera: a) reguły; b) słówka luźne; c) rozmówki (zwroty, zdania); d) ćwiczenia, zwykle jedno niemieckie, drugie polskie. Pominąwszy, że taki porządek nie odpowiada zdrowym zasadom dydakty-

¹⁾ E. Czerkawski: „Uwagi o nauce języka niemieckiego.” Lwów, 1880. „Polacy, idąc za układem własnej głosowni, często także prejutują *e* po gardłowych spółgłoskach, mówiąc: *machjen, kjennen, wirkjen, gjeben*, zamiast *machen* i t. d. Jestto przyzwyczajenie, któremu należy od początku nauki przeszkadzać, bo raz przyswojone, tylko z trudnością da się wykorzenić.

cznym, i winien być odwrotny ¹⁾, inne jeszcze okoliczności, czynią przedstawienie rzeczy przez p. R. zupełnie iluzorycznym.

Naprzód każdy się słusznie spodziewa, że postawiona na czele reguła, będzie miała swoje praktyczne zastosowanie w słówkach, w rozmówkach, w ćwiczeniach; powtóre, że te słówka tylko to będą zawierały, czego potrzeba do rozmówek i ćwiczeń; że wreszcie rozmówki staną się podstawą ćwiczeń: w końcu, że ćwiczenia zbiorą wszystko to, ale też i nic więcej, co się w poprzednich trzech powyższych działach powiedziało.

Tymczasem rzecz ma się inaczej.

a) Reguły. Te należy podawać podług z góry nakreślonego planu; w dawkach szczupłych, któreby można zaraz praktycznie zrobić; w określeniu ścisłym, logicznym a zrozumiałym. Otóż p. R. postępuje zupełnie inaczej. Zaraz w 1-szej klasie w 11 (jedenastu) paragrafach sypnął regułami, tyżącemi się najrozmaitszych rzeczy: o rzeczowniku, zaimku, zakończeniu Infinitiwu i I-szej osoby; znaczeniu *sie*, rzeczownikach materyalnych; o zdaniu pytajnym!! Wystawmy sobie ucznia pod nawałem tych prawideł, ucznia, który może nie jest w stanie dobrze rozpoznać części mowy. A choćby nawet już dojrzalszym był na umyśle, z takim galimatyzaszem rady sobie nie da.

W następnych lekcyach nie ma wprawdzie téj mnogości reguł, ale są inne wady, o których później.

Czy p. R. nakreślił sobie naprzód, jaki plan w podawaniu reguł? Wątpię. Bo przepatrzywszy je wszystkie, stanowczo muszę wyznać, że uczeń, ukończywszy ten kurs niższy, nie wyniesie choćby ograniczonych wiadomości deklinacji i konjugacji; nie mówię już o wyrazach nieodmiennych. Ale co najwięcej razi, jest ta okoliczność, że p. R. nie zwrócił uwagi na pewne zwroty, bardzo często używane w języku niemieckim, a różniące się od polskich; zwroty, mianowicie takie, bez których nawet początkujący, ani się obyć, ani prawdziwego zdania niemieckiego złożyć nie może. Takimi są np. Różnica przypadku orzeczenia polskiego (I i VI-ty) a niemieckiego (I); przymiotnik przydawkowy i orzekający w języku niemieckim; przypadek przedmiotu (biernika); książka jest, książki nie ma; pięciu, kilku uczniów pisało; ja mam swój, ty swój, on swój, my swój, wy swój, oni swój... dom; podobnie: ja sobie; ty sobie, on sobie i t. d.; *und* kiedy *i* a kiedy *a*; można, pisano; znaczenie *man*; słyszałem, widziałem go grającego i t. p. konieczne nawet dla początkujących.

Reguły powinny być określone ściśle, logicznie, zrozumiale. Z wyjątkiem kilku, mówię wyraźnie kilku (a jest ich 101 w paragrafie),

¹⁾ Zob. Sobieskiego. Czerkawski tak się wyraża: Trudno przypuszczać, aby uczniowie zaraz na wstępie nauki i niejako przed jej rozpoczęciem, z pierwszej części uczyli się na pamięć szeregu słów bez logicznego związku, jaki im może nadać, połączenie w zdaniu i t. d.

są nadzwyczaj niezdarnie ułożone. Czasu i papieruby nie starczyło, gdybym każdą chciał ocenić; podaję tedy nie umyślnie dobrane, lecz np. te, których liczba porządkowa ma cyfrę drugą jedynek, więc 1, 11, 21 i t. d.

§ 11. „Każde pytanie w języku niemieckim zaczyna się od czasownika (lepiej: czasownikiem), polski wyraz czy nie tłumaczy się.” Czy polski wyraz „czy” zawsze się kładzie? wszak te wszystkie pytania, które jako przykłady w rozmówce są umieszczone, wygodnie mogą się obejść bez tego „czy.”

§ 21. (Streszczone)... w najnowszej ortografii wyrzuca się *h* po *t*, jako do niczego nie potrzebne. To jest fałsz. Być może, że dla własnej wygody p. R. to *h* powyrzucał; lecz fałszem jest, jakoby to uczyniono powszechnie. Widocznie nie zna on, lub znać nie chce gramatycznej literatury niemieckiej; bo wtedy nie ośmieliłby się twierdzić czegoś podobnego.

§ 31. „Każda czynność odbywa się (chyba: może się odbywać) w różnych chwilach, czyli czasach, których się bierze (?) zwykle trzy (a niezwykle?), i tak: dziś, czyli w czasie teraźniejszym; wczoraj, czyli w czasie przeszłym; jutro, czyli w czasie przyszłym.” Jakże p. R. wytłumaczy podług tego np.: dziś piszę, dziś pisałem, dziś będę pisał?

§ 41. „Niemcy rozmawiając z kim o familii lub przyjaciółach, używają przez grzeczność wyrazu (może: wyrazów): *Herr, frau, frau-lein*, w pytaniach, czego się na polskic nie tłumaczy.” Do czegoż ta reguła, do której sam p. R. się nie stosuje, podając na str. 47 w rozmówce takie zdania: *War gestern Ihr Gemal irgendwo? War Ihre Gemahlin vormals so gesund, wie gegenwärtig?* (Zresztą *gegenwärtig* jest obecny, przytomny, tu powinno stać *jetzt*).

§ 51. „Z (chyba: od) rzeczowników materialnych, czyli podzielnych (?), tworzą się przymiotniki przez dodanie końcówki: *en, ein*.” Ileż takich rzeczowników poznał uczeń?

§ 61. W liczbie mnogięj używa się w niemieckim języku tylko jednego rodzaju (?), który się oznacza rodzajnikiem *die*, zaś *ein* nie ma liczby mnogięj.” Jeżeli tedy używa się tylko jednego rodzaju, raczy nam p. R. powiedzieć jakiego, czy męskiego, czy żeńskiego, czy nijakiego? To przecież nie rodzaj, ale jedna forma na wszystkie trzy rodzaje.

Na tém poprzestaję, chociaż mógłbym rzeczy daleko więcej rażąco przytoczyć, albo wcale niezrozumiałe, albo fałszywe.

ad b) Słó w k a lu ż n e. Te podawać należy w takiej ilości, jaką zdoła uczeń objąć na jedną lekcję pamięcią; powtóre: tylko te i takie, które mają być praktycznie przerobione w następném ćwiczeniu, lub służą za przykłady do reguły. Co do ilości p. R. bardzo grzeszy: są już w 4 lekcyi podane zbyt obficie, bo jest ich zwyż 60; np. w lekcyi 13 około 110; w 19 do 70 i t. d., a pamiętać należy, że uczeń ma się

jeszcze uczyć rozmówek. Co do względu drugiego, prawie w każdej lekcyi, a im dalsza, tém więcej znajduje się słówek, które żadnego nie mają zastosowania praktycznego, ani do poprzedzającej reguły, ani do następnego ćwiczenia. Często znajdują się słówka w niewłaściwym miejscu, bo odnoszące się do jakiegoś lekcyi innéj; często jest ich dla wyjaśnienia reguły zamało. Tak np. § 50 mówi: „Rzeczowniki zakończone na *chen, lein, tum, niss, sal*, są rodzaju nijakiego.” Otóż dla wyjaśnienia przytacza p. R. w słówkach, rozmówkach i w ćwiczeniu raptem po jednym rzeczowniku na *chen, tum, niss, sal*, a trzy na *lein!* W rozmówkach lekcyi 14 są zwroty niemieckie na: ile masz lat? a reguła do tego jest dopięro w lekcyi 15. W lekcyi 17 do § 71, mówiącego o rzeczownikach męzkich na *e* i tychże w 4-tym przypadku na *n*, uderza straszne bałamuctwo. Rzeczowników na *e* w słówkach ani jednego nie ma, a tymczasem kilka innych powtórzono w lekcyi 16. Te powtarzania, wcale nie metodyczne, są liczne i dowodzą wielkiej niedbałości. I tak: w słówkach str. 104 podano: *gab*, dał, to samo na str. 102 i 101; pletwa, *das floss* (str. 85), powtór. str. 81; piec, *der Ofen* (str. 76 i 63); okno, *das Fenster* (str. 76 i 59) i t. d. W wielu lekcyach słówka przytoczone wcale nie wiedzieć w jakim celu, chyba żeby mężczy mechaniczném uczeniem się na pamięć.

ad c) Rozmówki. Te powinny służyć do dwojakiego celu: do wskazania zastosowania słówek, a potem do wyposażenia ucznia takimi zwrotami, któreby dały mu możność przynajmniej w życiu potoczném rozmówić się jakotako. Co do punktu pierwszego, to o nich to samo da się powiedzieć, co o słówkach; często rozmówki idą sobie luzem, bez względu na prawidło, a nawet na poprzednie słówka. Co do drugiego, to śmiało rzec mogę, że już treść ich sama czcza, obracająca się w ciasném kółku, nie może tego drugiego celu dopiąć. Jeszcze dobitniej pokaże się to

z d) Ćwiczeń. Te są wyskokiem nauki każdej lekcyi, sumą poprzednich szczegółów i powinny być pod każdym względem wzorowe. Idzie tu tedy o język wzorowy i o treść poważniejszą, a do potrzeb ucznia zastosowaną. O języku mówiliśmy już. Co do treści, osobiwą predylekcyą ma p. R. przedstawiać nam życie ze strony najtrywialniejszej; i tak lubuje się w jedzeniu i picciu; ztąd np. mnóstwo zwrotów o pieczeni, mięsie, kawie, herbacie, a osobiwie o piwie i winie. Z drugiej strony, jeżeli chodzi o przytoczenie jakiej przeszkody w czynności, to znowu zwykle choroby są powodem, osobiwie ból nóg, ócz i t. d. Zabawy ograniczają się na grze na fortepianie, w karty i t. d. Prócz tego często ćwiczenia nie są zastosowane do rzeczy poprzednich, tak patrz ćwiczenie 4 do lekcyi 21. Zdanie 1 i 2 należy do lekcyi 20-téj; zdanie 20-te do 16-go również tam. A takich przykładów mógłbym wiele przytoczyć. Mowa w ćwiczeniach jest prosta, brak jéj już nie ogłady, ale grzeczności; treść czasem niedorzeczna, a dowcipy płaskie. Oto kilka przykładów: Ćwiczenie 6: Co sprzedaje stolarz? Stolarz

sprzedaje owoce. Ćwiczenie 12: Ile godzin dziennie (?) przesypiasz pani. Ćwiczenie 22: Ja nie chcę kupić ani papieru, ani bibuły, ale mój brat chce kupić sukna (cóż-to za sklep?) Ćwiczenie 24: Co pan wolisz, czy 24 arkusze, czy jedną libę papieru? Ja wolę 24 arkusze, bo to jest przecież więcej, niż jeden (!). Ćwiczenie 28: Ile okien kupujesz pan? Ja kupuję 4 okna. Ćwiczenie 30: Czego (co!) pani potrzebujesz? (Ma zapewne chęć za drzwi wyrzucić). Ćwiczenie 31: *Können Sie ohne Feder schreiben?* i t. p.

Że te ćwiczenia bardzo niedbale ułożono, dodatkowo dowodzą powtarzania się, np. ćwiczenie 8: Ile szklanek herbaty pijesz pani dziennie. To samo zdanie w ćwiczeniu 12. Ćwiczenie 10: Kiedyż pan przyjdiesz (przychodzisz) do mnie. To samo w ćwiczeniu 12. Ćwiczenie 8: Ile piwa pijasz pan dziennie; i w ćwiczeniu 10.

Wreszcie kilka słów o „Kluczu,” czyli „Rozwiązanie ćwiczeń polskich.” Zawierają one ostatnie pouczenia ucznia; do nich-to ma on się udać, kiedy własne jego siły nie wystarczają, do nich, jeśli chce sprawdzić, czy dobrze, czy źle mówi. I ten klucz znowu pełen jest błędów. Oto dowody.

2 Uebung. *Wir kaufen Schinken nicht* (raczej *keinen Schinken*). 10 Uebung. *Kaufen Sie Messing?* (powinno być: *kaufen Sie*). *Jetzt ist es drei Viertel auf zwei* (opuszczono *erst*, dopióro). Podobnie w 14 Uebung, zd. 16, opuszczono *nur* (tylko). 16 Ueb. *Fahren Sie nach Deutschland* (powinno być: *reisen*, bo tak w słowniczku podano). 24 Ueb. *Ich will lieber 24 Bogen als ein Buch, denn es ist das mehr als ein* (przecież *einer*). 26 Ueb. *Zuerst bringen Sie mir...* (a w słown. podano: *holen*). *Was soll ich denn* (a w polskiem ćwic. stoi w nawiasie *nun*). 28. *Mein Vetter ist ein Schuster und meine beiden Bruder sind Schlösser* (zatkami!) *Die Birne und Pflaume ist eine frucht (Obst)* (to ma znaczyć: Gruszka i śliwka są owocami). 32. *Man solso sie nicht nur lieben, aber* (powinno być: *sondern*). *Seien Sie gütig und lassen Sie den Arzt und die Arznei holen* (powinno być podług tekstu polskiego: *schicken Sie nach dem Arzt und nach der Arznei*).

Co się tyczy „Kursu wyższego,” tego szczegółowo rozbierać nie będę.

Główną jego wadą jest, że nauka w nim obyć się nie może bez nauczyciela, lubo na kartce tytułowej p. R. to przyrzeka. Ćwiczeń bowiem, jakie każe tam odbywać (w swój „informacyi”), żaden uczeń, choćby dojrzały, bez obcej, ustawicznej pomocy, dobrze przerobić nie jest w stanie.

Kurs ten podzielony jest na „dwa miesiące;” pierwszy od str. 1—122, drugi od str. 123—194. Potem jeszcze następuje „Rozszerzenie kursu wyższego.” Miesiąc II zawiera: Rodzaj.—Rzeczownik.—Rodzaj-

nik.—Deklinacye rzeczowników.—Przymiotnik.—Stopniowanie.—Liczebnik.—Zaimek.—Czasowniki posiłkowe.—Konjugacyą słabą. Miejsię III: Dalszy ciąg czasownika.—Przymyki.—Przysłówki.—Spójniki.—Składnię.—Szyk. „Rozszerzenie” zawiera rozmaite dopełnienia.

W tej części autor zupełnie zmienił metodę, którą postępował w kursie niższym. Kurs wyższy jest poprostu gramatyką systematyczną, do której dodano przykłady (ćwiczenia), rozmówki i ustępy do czytania; w „rozszerzeniu” są rozmówki i opowiadania (bez przykładów). Jest tedy w jednej książce to razem zebrane, co zwykle bywa w dwóch lub trzech książkach (gramatyce i wypisach) zawarte. Tak np. Janota ma osobną gramatykę, a osobne wypisy. Ani śladu tutaj metody Toussaint-Langenscheidta. Ta tylko zachodzi na pochwałę autora różnica, że i przykłady i rozmówki i opowiadania są w lepszym wyborze, mają treść więcej zajmującą, bo te nie wynikły z dorywczego natchnienia, ale wyjęte są z dobrych dzieł.

Z tém wszystkiém i tutaj liczne znajdują się błędy. Miejsca nie starczy na przytoczenie wszystkich. Oto więc kilka na chybił trafił.

Str. 41: „Tymczasem może pan raczysz mnie zaszczycić swoją godnością w odwiedzinę; str. 46: daj mi wody na miednicę; str. 177: ruski porucznik Pful, w dzień po bitwie pod Chocimem, z hufcem dragonów jechał na paszę (!) (ma to być: *auf Fütterung*); str. 197: Ta powieść... stanowi urywkę z jego opisów podróży. Str. 329. (Rozwizanie polskich ćwiczeń). Nr. 98. *Wisse das, dass wo immer du sein kannst, sieht dich Gott überall* (zamiast: *Wisse, dass wo... kannst, dich Gott überall sieht. Nero verbrennte Rom* (zamiast: *verbrannte*). Str. 329. (Próbka tłumaczenia polskiego). Teraz ujrzał znowu wylot (ustęp) (*Felsabsatz*) skały niemal 20 stóp ponad sobą, z którego miał wygodne stanowisko strzału (chyba: do strzału), tam się więc wzbil (*arbeitete sich empor*; jak orzeł pod obłok!). Już go dosięgał prawą ręką i chciał się właśnie na niego śmignąć (*hin aufschwingen*), gdy nagle pod jego dobrze opartą nogą skała się usunęła i od spadnięcia tylko tém się uratował, że prędko uchwycił lewą ręką suchy krzak cierniowy. Pod nim zaś zsunęło (złóźniło) się kilka kamieni, te szarpnęły i drugie z (*nach*) sobą i runęły z grzmiącym łoskotem w straszną przepaść. Rudi wisił teraz tylko rękami uczepiony o skałę ponad przepaścią; zimny dreszcz przeszedł mu przez wszystkie członki... wtenczas wsunął się mozolnie w górę i jednym zwinnym zamachem był (raczej: stanął) na płaskości skały, która przedstawiała obszerny punkt stanowiska (*einen geräumigen Standpunkt darbot*)... Zrobiło mu się czarno w oczach, spoglądając... w straszną otchłań (przecież: gdy, lub spoglądającemu)... przeszukał torbę myśliwską, aby zobaczyć, czy tam nie można coś znaleźć; znalazł młot kończasty (*Spitzhammer*) na ten wypadek, że w gładkim przestanku (odstepie) muszą wybijać (często?) dziurę, ażeby nogą zaczepić można (*Fuss fassen*). Oglądał strzelbę, była wprawdzie mocno zardzewiała, jednakże rurka za-

palna miała jeszcze tyle powietrza, że można było widzieć, iż z niej wystrzelono. Także i panewka była jeszcze otwarta, i młotek (kogutek!) był jeszcze odciągnięty (*abgeschnarrt*, więc właśnie przeciwnie: kurek spuszczone), jak to myśliwy ma zwyczaj robić parę minut ze strzelbą (co za szyk!) zaraz (bezpośrednio) po wystrzale... (*wie der Jäger das Gewehr unmittelbar nach dem Schusse einige Augenblicke zu lassen pflegt*) i t. d.

Rozpatrzywszy całą książkę, która, przyznać muszę, w takiej objętości sporo czasu wymagała, przychodzę do ostatecznego wniosku takiego: Te części książki, przy których autor nie wiele swój pracy własnej poświęcał, są dobre; jednakże są one w takiej prawie samej formie już opracowane w wielu podobnych podręcznikach; nie przysporzył tedy autor dla nauki nic nowego, ani lepszego; te zaś części, które z własnej autora pracy wynikły, jak cały „Kurs I-szy,” jak jego tłumaczenia, są złe pod wieloma względami... więc wynika z tego... że... lecz proszę czytelnika samego... konkluzyą zrobić.

S. S.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,
NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Styczeń, 1882.—Prasę naszą peryodyczną w Królestwie Polskiem zubożyły w roku bieżącym dwie gazety (jedna w Warszawie pod napisem „Słowo,” druga prowincjonalna w Łomży pod nap. „Echo Łomżyńskie”) i jedno pismo specjalne, poświęcone nauce wychowania p. n. „Przegląd pedagogiczny.” Chociaż dotychczasowym organom prasy codziennej nie można odmówić zasłużonego świadectwa, że wedle możliwości zadanie swoje troskliwie i przezornie spełniają, to czujemy powszechnie, że atmosfera publicystyczna, jaka nas otacza, nie odpowiada jeszcze pod wielu względami warunkom zdrowia społecznego. Są prądy, dezorganizujące nasze społeczeństwo, są aspiracje kosmopolitycznego radykalizmu, wykrzywiające gwałtem istotę naszego charakteru narodowego; są objawy niejasnych na polu ekonomiki pojęć, z których, niby z wiatrów lekkomyślną ręką sianych, niebezpieczne burze powstać mogą. Wszyscy się zapewne na to zgodzimy, że są to symptomata ciężkiej choroby, którą gruntownie leczyć trzeba. Lecz dopiero gdy chodzi o ideę i zasadę, która ma kierować naszą pracą, pokazuje się wielkie rozbicie pomiędzy nami; wychodzi na jaw pewna bezsilność i szamotanie się w ciasnych szrankach doktrynerstwa i różnorodnych kółek nawet w jednym i tym samym „obozie;” pokazuje się niebezpieczeństwo skrajności i potrzeba kompromisów, które mogą wprowadzić zażegnać burzę chwili i przypadku; ale, podlegając warunkom każdorazowej niejasnej konstelacji, tworzą chaos i zamieszanie elementarnych nawet pojęć, zamieszanie, z którego wyjście prawie niepodobne. Rezultat zaś tego szamotania się bywa nicomal zawsze dla nas szkodliwy, na korzyść wrogich społeczeństwu naszemu żywiołów wypadający. Zjawisko to tłumaczy się tą okolicznością, że dotychczas nie ma pożądaną łączności organicznej między prasą a jednolitą większością kraju. Z tego faktu wynika niezwalczona prawie trudność oryentowania się w kwestyach potrzeb realnych naszego społeczeństwa. Zadaniem prasy w daną chwilę, jest właśnie stworzyć tę większość, szeregować w jeden wielki zastęp ludzi jednej myśli i dobrej woli, bez pod-

niecania wstrętnej nienawiści między wsią a miastem, między przemysłem i handlem z jedną a rolnictwem z drugiej strony; między społecznością chrześcijańską a niechrześcijańską; między kapitałem a pracą; między filantropią a racjonalną ekonomiką społeczną; między poważną nauką a mamidłami jaskrawej frazeologii o postępie, o wszechpotężnej wiedzy i t. p. Różnicy tych prądów nie wypędzi nikt z dzisiejszego naszego społeczeństwa zapomocą samej deklamacji, choćby jaknajskrawszej; chodzi o to, żeby szkoła i prasa, szerząc niewzruszone zasady moralności, nauki i oświaty, pracowały nad złagodzeniem téj wrogiej walki, przez co możnaby je utrzymać w szlachetnej emulacji, która nie będzie podszczuwała kryjących się tu namiętności do otwartéj ze sobą wojny pod groźném okiem silniejszych potęg zewnętrznych, które przy tych zapasach kosztem naszym rosną i coraz bardziej się wzmagają. Nie sięgając w zbyt daleką przeszłość, spostrzegamy, że np. ostatnie smutne wypadki na ulicach Warszawy i ujawnione w dalszej konsekwencji konieczne ich skutki wykazały dowodnie, że poważne nader zadania groźnie zagładają nam w oczy. Od racjonalnego rozwiązania tych trudności nie tylko społecznej, narodowej, ale i politycznej natury, zależy przeważnie kierunek naszego dalszego rozwoju, zależy obrona moralnego majestatu naszej cywilizacji i oświaty chrześcijańskiej, niemniej i ochrona dobrobytu materialnego kraju. Tymczasem każdy ważniejszy wypadek wywołuje u nas jaknajrozmaitsze teorye, wkraczające bez jasnego pojęcia w sferę idei prawa, polityki i oświaty, w sferę idei filantropii i ekonomiki społecznej; teorye odbiegające często od zasad racjonalnych; a to dlatego, że wypadek ów zastał nas w rozbięciu nie na stronnictwa, bo te nie mają warunków niezbędnych do normalnego ukonstytuowania swojego; ale na koła i koterye, nie umiejące objąć wszystkich potrzeb kraju, unikających inicjatywy w wyjaśnianiu każdorazowej sytuacji naszego społeczeństwa na gruncie narodowym, z zachowaniem ciągłości pracy społecznej przy pomocy niewątpliwych rezultatów nauki i oświaty chrześcijańskiej. Kierunek bowiem i cel naszej pracy obywatelskiej nie może zależeć od żadnych fantazyjnych porywów i mamideł abstrakcyjnych formułek; ale od jasnych i ożywczych promieni światła gruntownej nauki, wskazującej prostą drogę rozwoju naszego moralnego i materialnego dobrobytu. W obec takiego położenia rzeczy, witamy z radością organ, który w programie swoim (zobacz numer 1 „Słowa” z dnia 2 stycznia r. b.) obiecuje rozbierać wskazane co tylko kwestye na szerokiej podstawie interesów ogólnych, przychodząc przez to w pomoc obywatelskim usiłowaniam dotychczasowych naszych pism codziennych. Redakcja „Słowa” oświadcza, że pragnie „brać inicjatywę w sprawach społecznych.” Lec otuchę, jaką ta deklaracja w nas obudziła, podkopuje do pewnego stopnia zastrzeżenie: „Nie będziemy organem żadnej koteryi, ani nieupoważnionych przez ogół partyi,” bo to nasuwa nam ideę, którą żaden poważny, o dobro kraju dbały publicysta kępować się nie może; ideę jakiegoś specjalnego upoważnienia, czyli mandatu, którego o-

gół w naszym położeniu nikomu dać nie może; a często, gdyby się o to kusił, mógłby nawet fałszywą i szkodliwą dać plenipotecyą. Tak jak żaden statysta, wypowiadając swój pogląd na kierunek interesów danej chwili, nie może rościć sobie pretensyi przemawiania w imieniu ogółu, ale w imieniu swojego przekonania; tak też żaden organ publicystyczny nie powinien czekać na upoważnienie ogółu. Żaden bowiem ogół, zawsze z jaknajróżnorodniejszych pierwiastków złożony, nie może, nie ma po za publicystyką sposobu udzielenia prasie jakiegokolwiek upoważnienia; ale w wygląd a właśnie od prasy światłej i dokładnej informacyi co do kroków, jakie w danej chwili stawiać mu należy. Publicystyka nie może zależeć od niejasnych i nieświadomych często instynktów ogółu; ale badając gruntownie fakta i zjawiska chwili, powinna oświecać ten ogół z własnej inicjatywy, z poczucia obowiązku obywatelskiego, zgarniając w jeden wielki szereg wszystkich tych, co jej zasady i opinie podzielają. Pogląd publicystyki może nie podobać się pewnym kołom i koteryom w danej chwili i te nie zaniebają w takim razie wystąpić ze swoją opinią i krytyką, która podnosząc odmienne widoki, do gruntowniejszego zbadania sprawy przyczynić się tylko może. Inaczej otwiera się obszerne pole jak najrozmaitszym podmuchom i wpływom, którymby prasa, wbrew swojemu przekonaniu, ulegać musiała. Zmieniłyby się tedy zupełnie role i pożytek prasy stałby się bardzo wątpliwym. Każdy obywatel broni swego przekonania i nikt mu tego prawa nie może zaprzeczyć; dlaczegobyśmy mieli upośledzać pod tym względem organa prasy? W kwestyach dobra publicznego, którego wszystkie pisma bronić obiecują, służy każdemu organowi prawo głosu, chociażby w niem odzywała się krytyka działalności innych organów: przyjęcie zasady poprzedniego upoważnienia przez ogół wywołałoby właśnie pretensyą panowania koteryi. Stworzona w ten sposób ambicya przemawiania w imieniu ogółu osłabiłaby nietylko jasność, ale zamąciłaby i czystość głosu dobrze ugruntowanych przekonań. Dotychczasowe N-ra „Słowa” dowodzą, że w praktyce podziela i Redakcja ten pogląd, a chociaż nie potrafiła jeszcze zupełnie wygładzić owęj szczerby, jaką w prasie naszej powyżej wskazaliśmy, to możemy się spodziewać, że poważny ten nowy organ w prasie naszej ku temu celowi w ybitniej zdążać będzie. Artykuły rozumowane omawiają najważniejsze kwestye bieżące, tak krajowe, jak i zagraniczne; korespondencye z wszystkich ważniejszych ognisk życia politycznego i społecznego tak w kraju, jak i zagranicą, przedstawiają materyał obfity i starannie obrobiony; zasobny dział literacki i widoczna staranność pod względem czystości języka, każą nam mieć nadzieję, że i pod tym względem odпові „Słowo” poważnemu zadaniu dziennika polskiego.

Znaczenie prasy, jako jednego z ważniejszych czynników życia społecznego naszego wieku, jest tak wielkie, że promienie organów stołecznych nie zaspakajają dostatecznie potrzeby światła w odleglejszych zakątkach kraju; dlatego pojawiają się w niektórych miastach gubernialnych od kilku lat osobne gazety, które uwzględniając interesa

najbliższej miejscowości, dostarczają mieszkańcom danej okolicy za tanie pieniądze nie tylko potrzebnej informacji, ale i pożądaną rozrywkę. Lublin, Kalisz, Piotrków, Płock, Kielce, mają już od kilku lat swoje miejscowe organa, obok których stało w r. b., i to bardzo obiecująco „Echo Łomżyńskie,” wychodzące raz na tydzień w Łomży, pod redakcją p. Wiktora Szumańskiego. Artykuł w 1 N-rze p. n.: „Zadanie i kierunek prasy prowincjonalnej,” odpowiada bardzo trafnie na dane pytanie, a wyszłe dotychczas N-ra świadczą bardzo korzystnie o wszechstronnych staraniach redakcji.

— „Przeglądu pedagogicznego,” zapowiedzianego w obszernym prospekcie w końcu r. z. (zob. „Bibl. Warsz.,” 1881 r., zeszyt grudniowy, str. 470), wyszły dotychczas dwa zeszyty i zawierają artykuły rozmaitej treści z dziedziny pedagogiki i rozmaitej wartości, tak, że naukowego znaczenia tej publikacji dotychczas jeszcze dokładnie ocenić niepodobna. P. Tad. Żuliński, zwracając uwagę czytelnika na „potrzebę stałego higienicznego nadzoru nad zakładami wychowawczo-naukowymi,” nie uwzględnił dostatecznie warunków edukacji publicznej w naszym kraju, tak, że wywód jego teoretycznie wymotywowany, spotkaćby się musiał u nas z wielkimi przeszkodami. Zresztą czekamy na ostateczne konkluzje, bo artykuł jeszcze nie skończony. Pomiędzy resztą artykułów znajdziemy i takie, które nie opierają się na podstawie naukowej, ale są wyrazem samej tylko obserwacji. P. Wernic np. pisząc traktat p. n.: „Osobistość nauczyciela,” zwraca uwagę na różne przywary i wady młodzieży i wskazuje przymioty, które w tych rzeczach pożądaną są u nauczyciela. W taki sposób nie poznamy charakterystycznych, niezbędnych warunków osobistości nauczyciela, bo osobistość nauczyciela powinna odpowiadać celom nauki i zadaniu szkoły i nie można jej dopasowywać do słabości uczniów. Artykuł p. K. na zagadkowy temat: „Los historii Grecji w naszych zakładach naukowych żeńskich,” domaga się tego, aby „historia Grecji była wykładaną powtórnie po ukończeniu kursu historii powszechnej.” Żądanie to nie wynika z zasad dydaktyki, która mogłaby się zgodzić na wykład historii sztuki greckiej ze względu na wykształcenie estetyczne; ale osobny szczegółowszy wykład historii greckiej po wyłożeniu historii powszechnej jest zupełnie zbyteczny. Znajdują się w tym artykule ustępy zapewne pomieszczone w druku, bo ich w żaden sposób zrozumieć nie można, np. str. 16, wiersz 13—16 od góry. Trudno także odgadnąć znaczenie tego zdania (str. 14): „wtedy historia Grecji, ściślej traktowana, była udziałem klasy V-tój. W artykule, również pod zagadkowym napisem: „Czy wychowujemy kobiety?” znajdziemy wiele zarzutów przeciwko zakładom żeńskim. Dlaczego obarczać temi zarzutami same zakłady żeńskie? które, o ile nam wiadomo, w znacznej części odznaczają się bardzo korzystnie wszechstronną troskliwością o dobre wychowanie powierzonych sobie pańienek. Czy zakłady męskie zadawalniają autora w zupełności? I tutaj należało rozważyć gruntownie zadanie szkół żeńskich, jak je nauka pedagogiki pojmuje i na tym gruncie do-

piéro dochodzić, czy nasze zakłady odpowiadają temu zadaniu lub nie i dlaczego nie odpowiadają. Czy wina leży w organizacyi szkoły, czy w przełożonej, czy w nauczycielach, czy téż w rodzicach? W dziale krytycznym zastanowił nas artykuł: „Jakie wypisy polskie pierwsze uważać należy za dobre?” Zapewne autor chciał tu mówić o Wypisach dla początkowej nauki języka polskiego. Mówiliśmy o téj kwestyi w r. z. (zob. „Bibl. Warsz.,” 1881, zes. paźdz., str. 139), a tutaj nie możemy się godzić z autorem na to, żeby w takich wypisach „należało spożytkować autorów najnowszych przeważnie,” bo dlaczegoż mielibyśmy wykluczać autorów dawniejszych, jeżeli ci pisali rzeczy dobre i lepszym nawet stylem od najnowszych. Po wiadomości o szkołach ludowych na Węgrzech, czytamy zbiór różnych urywkowych myśli z dziedziny pedagogii, gdzie zastanawia niejasna sentencya Komeniusza (str. 29): „Szkoła jest warsztatem ludzkości;” przecież w szkole nie chodzi o samą zręczność mechaniczną.

Odpowiedź, jaką nie sama Redakcyja „Przeglądu Pedagogicznego,” ale „Redakcyja prospektu” do „Biblioteki Warszawskiej” wystosowała z powodu naszej opinii o „Prospekcie” niniejszego wydawnictwa (zobacz „Biblioteka Warszawska,” 1881 rok, zeszyt grudniowy, Wiadomości), zostawiamy bez szczegółowego rozbioru, a to z następujących powodów: 1-ód) dlatego, że z tak głośnego wyróżnienia „Redakcyi prospektu” możemy przypuszczać, że Redakcyja samego „Przeglądu Pedagogicznego” nie podziela ani objawionej opinii, ani sposobu pisania „Redakcyi prospektu;” 2-re) że zajmując się sprawami naukowemi, a nie osobistemi ułomnościami, nie umielibyśmy nawet za przykładem „Redakcyi prospektu” znaleźć odpowiedniej drogi do królestwa Ezopowego. 3-ie) że w obec różnych zdań nieuzasadnionych i niewłaściwie nam podsuwanych musielibyśmy zawiele rozprawiać o elementarnych kwestiach z zakresu gramatyki i stylistyki, niemniej i wychowania domowego, co dla Redakcyi „Przeglądu Pedagogicznego” uważamy za zupełnie zbyteczne, a dla „Redakcyi prospektu” za bezowocne; 4-e) że nie przypuszczaliśmy, aby „talent pisarski nie był właściwością redakcyi prospektu, więc nie mógł być jój obowiązkiem” (str. 31, Nr. 1 „Przegl. Ped. u góry), i dlatego ośmieliliśmy się powiedzieć słów kilka w obronie czystości języka i poprawnego stylu polskiego. Że nas za to obelga spotkała od „Redakcyi prospektu,” nie martwimy się wielce, mając to przekonanie, że przyrodzoną własnością wszelkiej obelżywości jest to zjawisko, że ona pada na tych, którzy nią w rozdrażnieniu miotają; a z drugiej strony mamy już dziś dostateczną satysfakcyą, bo widzimy w odpowiedzi „Redakcyi prospektu” troskliwsze unikanie konstrukcyi biernej. Dosyć będziemy mieli nagrody, jeśli wskazany błąd szerzyć się cokolwiek przestanie!

W drugim zeszycie „Przeglądu Pedagogicznego” czytamy oprócz dalszego ciągu i dokończenia rozpraw: zeszytu pierwszego ważny artykuł p. Harwota pod napisem: „Szkolna kasa oszczędności ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej. Dalej wiadomość o zebraniu nauczycieli francuzkich w Sorbonie w Paryżu 1881 r., tudzież o szko-

łach ludowych włoskich i dwa rozbiory krytyczne. Nie możemy powiedzieć, aby publikacya ta odpowiadała nadziejom, jakieśmy sobie obiecywali: są w niej obok kilku rozpraw, odpowiadających zadaniu, słabe artykułiki pod względem naukowym; ale szczególniejsz pod względem stylu i poprawności języka dopraszamy się o większą staranność i nie wątpimy, że z dalszym postępem tak pożądanego wydawnictwa utyskiwanie nasze okaże się zbytecznym. W przeciwnym razie wołania naszego nie stłumić nie potrafil!

— S. Dickstein wydał p. t.: „Rocznik pedagogiczny,“ Warsz., 1881, rok I, dzieło nadzwyczaj pożyteczne. Nie możemy w tej chwili i na tém miejscu zapuszczać się w obszerne sprawozdanie z bardzo rozmaitéj treści, jaką ta książka zawiera; ale nadmieniamy, że jakkolwiek większa część artykułów jest tylko opisowej, informacyjnej natury, nie zapuszczającéj głębiej krytycznego oka, to całość przedstawia się korzystnie i daje dokładny prawie obraz całego ruchu pedagogicznego w literaturze polskiej w ostatnim czasie. Jako w pracy zbiorowej nie można żądać koniecznej jednolitości; ale po zrobionéj próbie życzylibyśmy sobie, abyśmy tak pożyteczne wydawnictwo w latach następnych z wszechstronniejszą wdzięcznością witać mogli!

— Posiedzenie komisji antropologicznej Akademii umiejętności w Krakowie, dnia 16 stycznia 1882 roku. Porządek dzienny: złożenie nadesłanych prac naukowych i darów wykopaliskowych; badanie zabytków przedhistorycznych w Radziminiu, przez p. Z. Luba-Radzimińskiego; o średnim trwaniu życia u żydów krakowskich, przez doktora Buszka; wybór nowych członków. Po zagajeniu posiedzenia przez przewodniczącego komisji, prezesa Akademii umiejętności, doktora J. Majera i po odczytaniu protokołu z posiedzenia poprzedniego, sekretarz komisji doktor J. Kopernicki, zdał sprawę o pracach naukowych i o darach wykopaliskowych, złożonych do rozporządzenia komisji przez rozmaite osoby. Z nowych prac naukowych złożono na tém posiedzeniu: 1) „Zbiór 84 baśni i podań z Litwy i Mazowsza,“ przez Karłowicza; 2) „Opis wesela w Zalewańszczyźnie,“ zawierający 269 odnośnych pieśni obrzędowych, przez B. Popowskiego; 3) „Zbiór podań o roślinach i zwierzętach,“ przez L. Hodulę; 4) część druga pracy: „Podania, przesady, gadki i nazwy ludowe w dziedzinie przyrody,“ przez B. Gustawicza; 5) „Zbiór zagadek ludowych,“ przez Z. Glogera. Już z samych tytułów przytoczonych rozpraw widać, że one, należąc przeważnie do etnologii krajowej, dotyczą zarazem kwestyi dla téj wiedzy nader ważnych i pożądaných. Wszystkie téż powyższe prace (z bardzo małym wyjątkiem) postanowiono ogłosić drukiem w szóstym i w następnych tomach organu komisji: „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej.“ Z darów wykopaliskowych, oprócz licznych i nader cennych wyrobów kamiennych, złożonych przez p. Z. Luba-Radzimińskiego, o których nieco niżej mówić szczegółowiej będziemy, złożył p. Berzowski, między innymi okazy paciorków kamiennych wyrobionych z czerwonego łupku kaolinowego, znalezionych we wsi Bukach. Paciorki kamienne tego rodzaju, znajduwane w wielu bardzo miejscowo-

ściach na całej przestrzeni międzyrzecza Wisły i Dniepru, oraz sięgające na wschód i zachód poza te nawet granice, przedstawiają szczególniejszy interes pod względem archeologicznym. O ile z dotychczasowych badań geologicznych całej przestrzeni tego międzyrzecza nam wiadomo, materyał kamienny, z którego paciorki te wyrabiano w czasach przedhistorycznych, to jest ów czerwony łupek kaolinowy, znajduje się w jednej tylko miejscowości, mianowicie w okolicy leżącej pomiędzy wsiami Kamińszczyzną, Nahoranami, Klińcem i Zbrańkami w powiecie owruckim. Pokłady tego kamienia w tych stronach, oraz wyroby tam z niego wykonywane, odkrył i opisał G. Ossowski w roku 1869 ¹⁾. W okolicy Kamińszczyzny istniała widocznie fabryka tego rodzaju wyrobów, gdyż znajdują tam na polach rok rocznie znaczną ilość takich paciorków, między którymi bardzo często przytrafiają się okazy niewykończone, wpółobrobione, a nawet ledwo rozpoczęte. Znajdowanie przeto wyrobów z tego rodzaju kamienia we wszelkich innych miejscowościach, wskazuje na bezpośrednie lub pośrednie stosunki ich ludności przedhistorycznej z przytoczoną miejscowością powiatu owruckiego. Z dotychczasowych wiadomości pod tym względem wiadomo już nam, że wyroby te sięgają bardzo dalekich miejsc. Na północ zachodzą one w głąb gubernii Mińskiej i Grodzieńskiej, na wschód w gub. Czernihowską i Połtawską, a w kierunku południowo-zachodnim znajdują je w pobliskich okolicach Modlnicy, odległej na jedną milę na północ od Krakowa, po lewej stronie Wisły. Z powodu takiego znaczenia tych paciorków kamiennych, wielce pożądane też są wiadomości o wszystkich tych miejscowościach, w których one kiedykolwiek znajdowano. Dlatego też, dar pan Berezowskiego jest nabytkiem bardzo pożądanym i ważnym dla zbiorów akademickich. Z kolei nastąpił odczyt p. Z. Luba-Radzimińskiego o poszukiwaniach jego archeologicznych w Radziminiu na Wołyniu. Wykopaliska radzimińskie, o których referent zdawał sprawę na niniejszem posiedzeniu, mają bezpośredni związek z temi wykopaliskami i znaleziskami, które dokonane były także przez p. L.-Radzimińskiego w téjże miejscowości w ciągu kilku lat ostatnich (1876—1878), a o których sprawozdawca podał już wiadomość szerszą w kilku poprzednich sprawozdaniach swoich, zamieszczonych w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej” ²⁾. Na ten raz badał on głównie wielki wał, łączący mo-

¹⁾ Zob. rozprawę tego autora na trzecim kongresie archeologicznym w Kijowie, w r. 1874 („Prace III zjazdu archeologicznego w Kijowie,” t. I, str. 9), oraz rozprawę tegoż autora: „O niektórych zabytkach wieku kamiennego na Wołyniu,” zamieszczoną w „Wiadomościach archeologicznych,” Warszawa, 1876, t. III, str. 108). O takichże samych paciorkach znajdujących w wielu miejscowościach na Ukrainie, pisał E. Rulikowski w rozprawie: „O paciorkach kamiennych” etc., (Zbiór wiad. do antr. kraj., Kraków, 1881, t. I, str. 46.)

²⁾ Zob. „Poszukiwania archeologiczne w pow. ostroskim na Wołyniu w r. 1876,” (Zbiór wiad. do antr. kraj., t. I, str. 8); „Wiadomości o nowych

giłę przedhistoryczną (zbadaną już dawniej) z zamczyskiem Unijowskiem (Zamczyśko Winijewskie), a następnie, samo to zamczyśko, oraz grodzisk o téjże nazwy i przyległe obu tym zabytkom okolice. Wypadkiem tych badań było zdobycie kilkudziesięciu bardzo ładnych narzędzi krzemienych neolitycznych (dłutka, noże, siekiery i t. p. narzędzia szlifowane), oraz kul, klocków i odłupków. Jedne z tych wyrobów są szlifowane i polerowane nader starannie; inne zaś otłukiwane. Szczególniejszą tu uwagę zwracają piękne okazy nożów krzemienych, mających oryginalne, niemal wyłączne dla téj miejscowości kształty sierpikowate. Otłukiwanie narzędzi wykonane jest z nadzwyczajną starannością i dokładnością form. Pomiedzy klockami tego wykopaliska jest jeden niepospolicie okazały olbrzymi klocek, mający 22 cm. długości. Wydobyty on został z dna studni zwanéj bezodnią (studnia bezdena), leżącej u stóp téj góry, na której znajduje się zamczyśko. Zaznaczyć tu wypada, że wszystkie okazy wyrobów krzemienych znajduwane w Radziminiu i w pobliżu téj wsi, wyrabiane są ze szczególnéj odmiany krzemienia, odznaczającego się tém, że naturalna jego powierzchnia ma właściwy sobie równy, lśniący-szklisty połysk, co samym tym wyrobom nadaje pewny powab i ozdobną oryginalność. Oprócz wspomnianych narzędzi krzemienych, zdobyto także przy tém badaniu części i ułamki naczyń glinianych, oraz węgle, tynek gliniany i kości zwierząt domowych i leśnych (wół, koń i t. p.). Cały zbiór tych wielce cennych i ozdobnych przedmiotów, złożył szan. prelegent w darze do rozbiórów komisji antropologicznój Akademii umiejętności, a nadto, złożył także i wiele innych okazów podobnego rodzaju wyrobów krzemienych, zebranych przez siebie w okolicach wsi Sliwek (pod Radziminiu), Ostrożca, Horodyszcz (pod Łuckiem) i w Wołoskiem (w pow. Krzemienieckim). Pomiedzy temi ostatniemi wyrobami na szczególniejszą zasługuje uwagę jeden wielki, okazały, z niepospolitą zręcznością obrobiony grot krzemieny, znaleziony przed kilku laty w jednéj z mogił wsi Ostrożca. Dar p. L.-Radziwińskiego wywołał podziękowanie ze strony przewodniczącego i obecnych członków komisji, a rozprawę jego postanowiono ogłosić w VI tomie organu komisji antropologicznój: „Zbiór wiadomości do antropologii krajowój.” Następnie d-r Buszek przedstawił wypadki swéj pracy antropologicznój w ocenieniu „Średniego wieku życia u żydów krakowskich.” Praca d-ra Buszka jest dalszą kontynuacją, niejako dopełnieniem tego zadania, które w ostatnie lata zakresił nasz zasłużony antropolog d-r J. Majer i, w jednéj jego części własną pracą dokonał w niedawno o publikowanój rozprawie: „Trwanie życia w Krakowie, obliczone co do ludności chrześcijańskój” ¹⁾. Dr. Buszek, obliczając teraz trwanie życia lu-

wykopaliskach w pow. ostroskim,“ (tamże, t. II, str. 73, 1878); „Dalsze poszukiwania archeologiczne w tychże okolicach,“ (tamże, t. III, str. 62, 1879);

¹⁾ Zob. t. V, (1881) „Zbiór wiadomości do antropologii krajowój,“ dział II, str. 3.

dności żydowskiej, dopełnił tém całości zakreślonego zadania antropologicznego. Z obszernych materyałów, jakeimi prelegent przy tej pracy rozporządzał i które wyzyskał z najskrupulatniejszą dokładnością, doszedł on do wielu ciekawych w tym przedmiocie wyników. Ponieważ niemożemy w tej chwili szczegółowym poglądem krytycznym wyprzedzać ukazania się w druku całej tej cennej pracy d-ra Buszka, ograniczymy się przeto na przytoczeniu tu niektórych tylko główniejszych wypadków, a to według notaty łaskawie nam udzielonej od samego autora.—Dzieci żydowskich, do piątego roku życia, w dziesięcioleciu od 1859—1868, wymarło dw a razy więcej aniżeli chrześcijańskich; powyżej 60 roku, dożyło żydów o 4,9% mniej aniżeli chrześcijan; średnie trwanie życia dla noworodków żydowskich było o 6,0 lat krótsze aniżeli dla chrześcijańskich, lecz od roku szóstego, trwanie życia dzieci żydowskich stało się dłuższem o 2,5 lat, aniżeli dzieci chrześcijańskich. Od r. 1869—1880 umierało dzieci żydowskich o 14,5% więcej aniżeli chrześcijańskich w tym samym okresie czasu i wymieranie to w tymże okresie było o 1,1% większe, aniżeli w okresie od r. 1859—1868, gdy przyciwnie śmiertelność dzieci chrześcijańskich obniżyła się o 9,1%. Trwanie życia żydów od r. 1869—1880. wynosiło dla noworodków 19,8 lat, czyli opadło o 1,2 lat w porównaniu z dziesięcioleciem poprzedniem; powyżej zaś 5 lat, opadło o 1,6 lat. Trwanie życia obliczone z 22 lat (1859—1880) wynosi dla noworodków żydowskich 20,1 lat, czyli jest o 8,6 lat krótsze aniżeli noworodków chrześcijańskich; powyżej zaś 5 roku trwanie życia żydów wynosi 46,0 lat, czyli o 1,7 lat dłużej niż u chrześcijan. Rodzi się nakoniec dzieci żydowskich o 2,14% więcej na 100, aniżeli dzieci chrześcijańskich i ta nadzwyczajna płodność wynagradza straty wielkiej śmiertelności pięcioletniego wzrostu dzieci żydowskich. Na ostatek, na wniosek prezesa komisji d-ra J. Majera i sekretarza d-ra J. Kopernickiego, w uznaniu zasług położonych dla nauki, uchwalono zaprosić d-ra L. Dudrewicza z Warszawy i p. Gustawicza z Krakowa, na członków czynnych komisji antropologicznej.

G. O.

— Wydział historyczno filozoficzny Akademii Umiejętności w Krakowie, odbył posiedzenie, na którym doktor Franciszek Piekosiński czytał pierwszą część swój pracy pod tytułem: „Obrona hipotezy najazdu, jako podstawy ustroju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich z uwzględnieniem stosunków Słowian pomorskich i podolskich.“ W rozprawie tej, skierowanej głównie przeciw najnowszej pracy dra Smolki, pod tytułem: „Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej,“ starał się p. P. wyjaśnić znaczenie i stanowisko wolnych dziedziców drobnych gruntów, jako typu społeczeństwa lechickiego w rozwoju jego pierwotnym, a porównywając ustrój społeczny Słowian zaodrzańskich z ustrojem Polski Piastowskiej, wykazywał, że gdy za Odrą wolni dziedzice drobnych gruntów zachowali przez cały czas swego istnienia swe cechy charakterystyczne, mianowicie wolność osobistą i własność gruntów posiadanych, tudzież urządzenia społeczne, mianowicie

indywidualność rodów, czyli pokoleń (np. Redary, Dołączanie, Kicyni i t. d.) i wiece ludowe, do których się książę panujący stosować musiał, to w Polsce Piastowskiej w skutek podboju zeszedł dziedzic wolny gruntu drobnego do roli wieśniaka nieswobodnego, ograniczonego tak co do osoby jako i własności ziemskiej. Wiece ludowe, tudzież samodzielność rodów czyli pokoleń uległy supresyj zupełnej, a ich miejsce zajęła organizacja opolna z grodem i komesem grodowym, urzędnikiem książęcym na czele, który za pomocą przymusowej odpowiedzialności opolnej, nie znanej u Słowian zaodrzańskich, trzymał ludność podbitą w karchach posłuszeństwa. Inne też instytucje Polski Piastowskiej, noszące na sobie charakter podboju, jak urządzenie naroku około grodów, usunięcie ludności wiejskiej od obrony grodów, a nałożenie natomiast na nią daniny pod nazwą „stróża,” przeznaczonj na wyżywienie załóg grodowych, słowianom zaodrzańskim są nieznanne. Następnie zabrał głos dr. Smolka, wyjaśniając niektóre poglądy swoje oraz odpierając zarzuty przez p. P. jemu czynione.

— Wielka nader obfitość dzieł naukowych i literackich, które zalewają prawie rynek księgarski, wywołała potrzebę szeregowania i klasyfikowania tego bogactwa umysłowego, bo inaczej trudnoby się było w tym ogromnym lesie zorientować. Odpowiednie zatem i praktyczne podręczniki bibliograficzne są rzeczą nader pożądaną, nietylko dla samych czytelników, ale i dla uczonych badaczy, których obowiązkiem jest obznać się z całym materiałem naukowym przedmiotu, wchodzącego w zakres ich studyów. Gruntowna praca K. Estrejchera informuje nas co do dzieł dawniejszych, a dla bieżącej literatury wydaje p. dr. Wład. Wisłocki, kustosz biblioteki Jagiellońskiej, miesięcznie w Krakowie, od r. 1878 począwszy, bardzo pożyteczny „Przewodnik bibliograficzny.” Przedpłata roczna z przesyłką 1 złr. 24 cent. W roku bieżącym zaprowadził p. W. w tym miesięczniku nowy dział: „Kronikę bibliograficzną,” zawierającą treściwe sprawozdania z ważniejszych dzieł, tak, że wydawnictwo to, sumiennie i starannie prowadzone, zasługuje na wszechstronne poparcie. P. Henryk Gliński, zabiegliwy redaktor kalendarza polskiego „Gwiazda,” wydawanego przez Gr. Ungra w Petersburgu, w celu oświecenia tych, co w ciemnocie swojej odmawiają Polakom poważnego życia umysłowego i literackiego, niemniej w celu zwalczania pewnej oziębłości dla utworów literatury polskiej w pośród publiczności naszej, podjął bardzo „zmudną pracę dla obudzenia chęci czytania polskich książek” i wydał „Notatnik bibliograficzny” (za rok 1880 i pierwszą połowę 1881 r.), Petersburg, 1882 r., gdzie znajdujemy katalog książek polskich z wskazanego czasu. Podobnemu celowi służy praca w „Kalendarzu Powszechnym” na rok 1882. Nakł. T. Paprockiego (str. 75—89), pod napisem: „Literatura” (od 1 lipca 1880 do 30 czerwca 1881 r.), gdzie pod osobnemi rozdziałami mamy wskazane najważniejsze nowsze dzieła z każdej gałęzi nauk. W Pradze wydaje księgarz Fr. A. Urbanek: „Viestnik bibliografický,” miesięcznik literacko-bibliograficzny, bardzo starannie redagowany i o-

gół literatur słowiańskich uwzględniający. Między publikacyami francuzkimi tego rodzaju zasługują na uwagę: 1) „Le Livre, revue mensuelle,” pod kierownictwem p. Oktawiusza Uzanne. Paris. A. Quantin. Rocznik III. (Cena zagraniczna 46 fr. rocznie); 2) „Revue des livres nouveaux.” Red. M. Gaston d’Hailly. Paris, (zagranicą fr. 15). Podaje przeważnie treściwe przeglądy literatury beletrystycznej. Dla literatury włoskiej wydał prof. Gubernatis dzieło niezupełnie wyczerpujące, ale ogólne wymagania pod względem bibliograficznym zaspakajające p. n.: „Annuario della Letteratura italiana nel 1880, compilato da Angelo de Gubernatis.” Firenze, 1881. Całość rozpada się na 10 rozdziałów podług osobnych gałęzi utworów naukowych i literackich. W pierwszym tym roczniku zaniedbaną znajdujemy nieco literaturę beletrystyczną w porównaniu z literaturą naukową. Dzieło to ma i z tego względu swoją wielką wartość informacyjną, że stosunki księgarskie z Włochami są jeszcze w wielkiem zaniedbaniu. W literaturze niemieckiej posiadamy oprócz dawniejszego „Litterarisches Centralblatt” Zarncke’go w Lipsku, „Magazin f. d. Litteratur des In. u. Auslandes,” wyd. Edward Engel w Lipsku; i „Neuer Anzeiger f. Bibliographie u. Bibliothek-wissenschaft;” poważniejszy przegląd literacki p. n.: „Deutsche Litteraturzeitung,” wyd. p. dr. M. Roediger’a, docenta uniwersyt. berlińskiego. Berlin, 1880 i 1881. Ta gazeta literacka, przypominająca starą „Jenaer Zeitung,” podaje regularnie treść ważniejszych pism peryodycznych niemieckich, angielskich, francuzkich i włoskich.

— Wład. Nehring, prof. języków i literatury słowiańskiej przy uniwersytecie wrocławskim, którego 25-letnie pożyteczne prace nauczycielskie uczcili w dniu 20 stycznia składkową uczną i adresami koleżdy, profesorowie uniwersytetu, Towarzystwo literacko-słowiańskie we Wrocławiu, uczniowie i obywatele W. Ks. Poznańskiego, drukuje we Wrocławiu krytyczne wydanie psalterza Floryańskiego, z odnośnym aparatem naukowym.

— Pod redakcją dr. Iwana Bojnićić’a wychodzi od Nowego roku (kwartalnie) w Zagrzebiu „Przegląd południowo-słowiański,” poświęcony studjom na polu literatury kroackiej, serbskiej, bułgarskiej i słoweńców, który przy ważności politycznej tych ludów w danej chwili zasługuje na uwagę szerszej publiczności.

— Znany historyk niemiecki Leopold Ranke wydał 2-gą część swojej, w r. 1880 rozpoczętj „Historji powszechnj,” przedstawiającj dzieje Rzeczypospolitj p. n.: „Die roemische Republik u. ihre Welt-herrschaft.” Tomów 2. Lipsk, 1882.

— Pomnik ś. p. Aleksandra margrabiego Wielopolskiego. W połowie stycznia r. b., we wsi Młodzowcach, w powiecie pińczowskim, w kościele parafialnym, gdzie się znajdują groby hrabiów Wielopolskich, ustawiono pomnik, wykuty w Kielcach z czarnego marmuru dla ś. p. Aleksandra hr. Wielopolskiego, margrabiego Myszkowskiego, b. naczelnika cywilnego rządu Królestwa Polskiego. Łaciński napis, na pomniku umieszczony, jest następujący: „D. O. M. Alexander comes

Wielopolski, Marchio in Mirow Gonzaga-Myszkowski. In vico Sędziejowice 13 Mart. 1803 natus. Pietate erga Deum et Patriae amore insignis. Ingeni fortitudine, animi magnitudine Princeps. Artium et litterarum studiis praeclarus. Re familiari vindicata. Omnes curas non semel in rempublicam contulit. Alexandro II Imperante Regni Poloniae colonos a serva opera liberavit. Judeis civitatem dedit. Varsoviae universitatem condidit. Injurias pravorum temporum perpesus. Obiit Dresde 30 Decem. 1877. Sepultus Młodzoviae in agro suo. Patri optimo filius humillimus.”

W dosłownym polskim przekładzie wyraża ten monumentalny napis następującą osnowę: „Bogu Najlepszemu, Największemu. Aleksander hr. Wielopolski, margrabia na Mirowie Gonzaga-Myszkowski. Urodzony we wsi Sędziejowicach 13 marca 1803 roku. Bogobojnością i miłością ojczyzny znakomity. Potęgą umysłu i wielkością duszy odznaczający się. W sztukach i naukach sławny. Odzyskawszy mienie rodziny, niejednokrotnie wszystkie starania swoje na korzyść dobra ogólnego poświęcał. Za panowania Aleksandra II włościan Królestwa Polskiego od pańszczyzny uwolnił. Żydom obywatelstwo wyjednał. W Warszawie Szkołę Główną założył. Przecierpiawszy krzywdy złych czasów, umarł w Dreźnie 30 grudnia 1877 r. Pochowany w Młodzowcach, majątności swojej. Ojcu najlepszemu syn najpowolniejszy.” Rysunek pomnika jest dziełem p. Krupińskiego, budowniczego z Krakowa. Medalion brązowy z popiersiem zmarłego wykonał w Dreźnie p. Pollak. W Kielcach w miejscowym zakładzie pomnik wykuli zdolni pracownicy: krajowiec Czerniakowski i Wisner cudzoziemiec. Wypukło-rzeźba herbów hrabiów i margrabiów Wielopolskich jest bardzo staranna i nic do życzenia nie pozostawia.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

O G Ł O S Z E N I A.

OD REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Drukując liczbę egzemplarzy zastosowaną do liczby prenumeratorów, upraszamy o spieszne przesyłanie prenumeraty do Redakcyi, Nowy-Świat, Nr. 68, gdyż później moglibyśmy się znaleźć w niemożności dostarczenia pierwszych zeszytów.

Nadmieniamy przytém, że po skończeniu druku rozpoczętego w niniejszym zeszycie dramatu J. I. Kraszewskiego i K. Zalewskiego p. n. „Rodzina,” drukować będziemy ciekawą powieść K. Kraszewskiego p. n.: „Pod wyrokiem;” opowiadanie z lat 1706—1713; w dwóch tomach.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA,

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Skład główny i ekspedycya „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

Nowe pismo codzienne:

S Ł O W O,

wychodzić zaczęło z dniem 2 stycznia 1882 r., pod redakcją Henryka Sienkiewicza.

Słowo zawiera: artykuły w kwestyach społecznych, ekonomicznych i rolniczych, dające zawsze pierwszeństwo takim sprawom, które

bezpośrednio własnego kraju dotyczą; sprawozdania z bieżących wypadków politycznych; korespondencye z prowincyi, z cesarstwa i z zagranicy; wiadomości miejscowe, krajowe i zagraniczne; przegląd prasy krajowej, zagranicznej i rosyjskiej; sprawozdania naukowe, literackie i artystyczne; wiadomości urzędowe; telegramy; kroniki sądowe; wiadomości z dziedziny rolnictwa, handlu i przemysłu.

Szczególniejszy nacisk kładzie redakcyja na dokładne i szybkie sprawozdania giełdowe i targowe, przedewszystkiém z Warszawy, Petersburga, Kijowa, Odessy, Berlina, Gdańska i Królewca.

W fejletonie pomieszcza **Słowo** oprócz kronik tygodniowych Litwośa: powieści, opowiadania i szkice historyczne oryginalne, między innymi „Listy drezdeńskie“ J. I. Kraszewskiego i t. d.

Nareszcie co tydzień dołącza **Słowo** stałe dodatki naukowo-literackie, zawierające rozprawy, sprawozdania i utwory z dziedziny literackiej, naukowej i beletrystycznej.

W dodatkach tych drukują się obecnie między innymi studia Stanisława Tarnowskiego „O Balladynie i Lilli Wenedzie, o Niepoprawnych i Horsztyńskim“ Słowackiego i t. d., nadto kilka drobniejszych prac Lucyana Siemieńskiego nieznanych dotychczas naszej publiczności; sprawozdania z dzieł Brandesa, Zoli i t. d.

Cena prenumeraty w Warszawie: miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9 i 5 kop. miesięcznie za odnośnienie do domu.

Na prowincyi i w Cesarstwie: kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie 12.

Za granicą: (za markami pocztowemi) rocznie rs. 16, półrocznie rs. 8, kwartalnie rs. 4.

Prenumeratę nadsyłać należy pod adresem: Administracya **Słowa**, ulica Niecała (róg Wierzbowej) Nr. 1; rękopisma i listy pod adresem redakcyi tamże.

Również prenumerować można we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi, kioskach i kantorach pism; w Petersburgu: w księgarni J. Ungra, plac Kazański, Nr. 7.

OD REDAKCYI KRONIKI RODZINNEJ.

Kronika w roku bieżącym 1882, wychodzi w tymże samym kierunku i warunkach, obok rzeczy dotyczących kwestyi społecznych, naukowych i pedagogicznych, zamieszczając utwory beletrystyczne. W najbliższych numerach drukować będzie cenną pracę hr. Dzieduszyckiego p. t.: **Nieśmiertelność**, A. E. Odyńca ciąg dalszy **Wspomnień** z czasów

uniwersyteckich. Opowiadanie z drugiej połowy XVIII stulecia d-ra Antoniego J. p. t.: **Anna z Grabianków Raciborowska**. Opowiadanie Kajetana Kraszewskiego: **Towarzysz Mohorta**. Wreszcie nie wydane dotąd **Listy Zygmunta Krasieńskiego** i podobne korespondencye innych znakomitych ludzi. Prócz tego mieścić będzie równie jak w roku bieżącym korespondencye: z Paryża, Wiednia, Berlina, Londynu, Rzymu, Jerozolimy, Petersburga, Krakowa i Poznania. Prenumeratorowie otrzymać mogą po niższej cenie dzieła Kremera i Chodźki a w dodatku bezpłatnym: **Człowiek w obec Darwina**, **Kopernik**, dramat Szujskiego i inne broszury wydane nakładem Redakcyi. Nowo zaś przybyłym dodany będzie początek drukującej się w ostatnich zeszytach rocznych numerach powieści, p. t.: **Commentarium Kasztelanki**.

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE.

Rocznie	rs. 4
Półrocznie	rs. 2
Kwartalnie	rs. 1

W CESARSTWIE I KRÓLESTWIE.

Rocznie	rs. 5 kop. —
Półrocznie	rs. 2 kop. 50

Pieniądze nadsyłać najlepiej wprost do Redakcyi—ulica **Mazowiecka Nr. 8**.